

„ZASTANÓW SIĘ, O CZŁOWIECZE...”

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# ŚLĄSK

Nr 4 (221) • ROK XIX • KWIECIEŃ 2014

Kim jesteś, Świętosławie?

MAŁGORZATA MAŃKA-SZULIK: Zatrzymać młodych

HENRYK SŁAWIK – redaktor i silacz

TADEUSZ KIJONKA: Bylem patriotą tej sceny

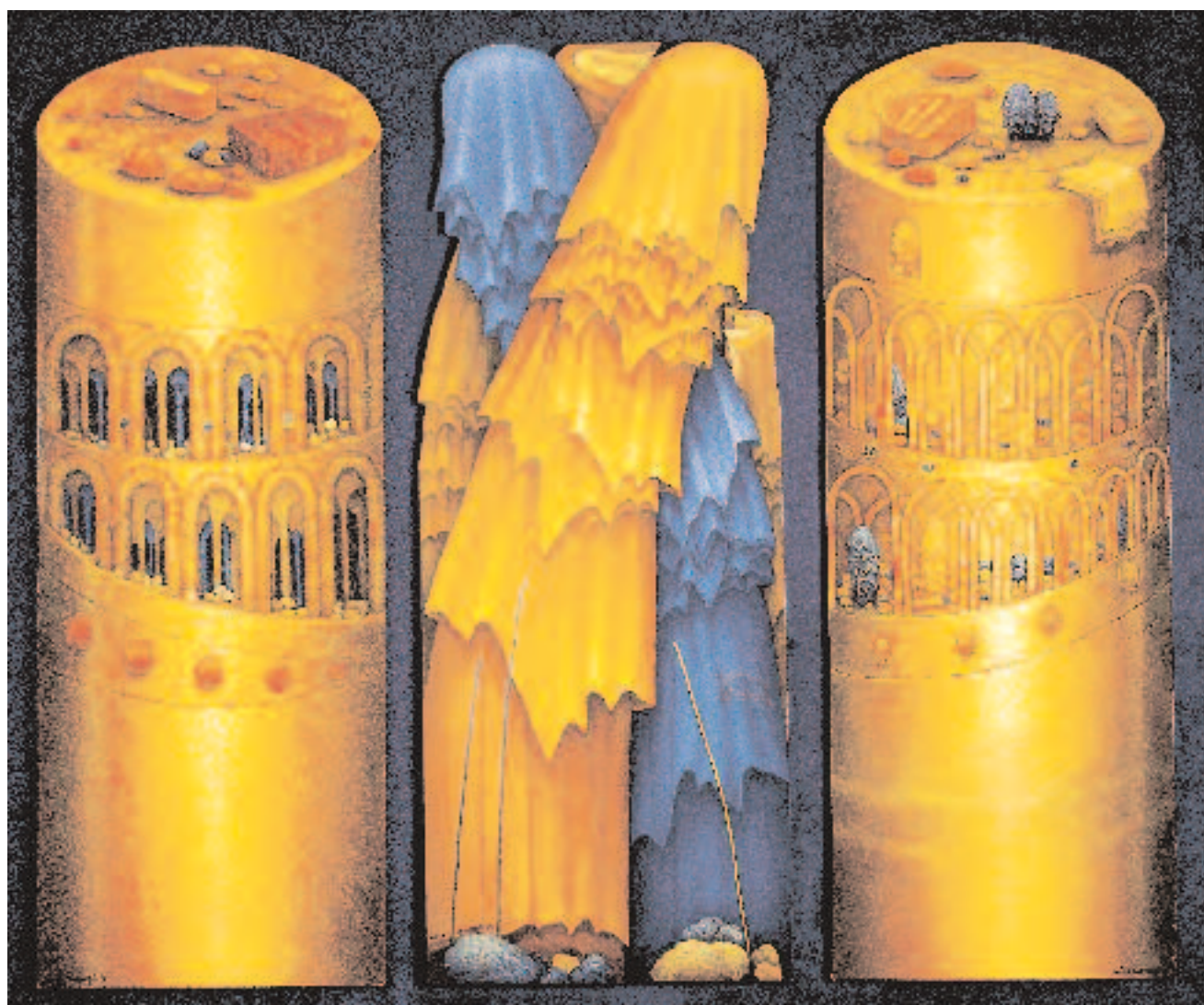
Moja Pasja – JANINA WALCZAK-BUDZICZ

Poezja KRYSTIANA HADASZA

ISSN 1425-3917



9 771425 391400



Zespoły Filharmonii Śląskiej znów są u siebie. Pierwszy koncert, a właściwie gala koncertowa, w zmodernizowanej Sali Koncertowej im. Karola Stryji, poprzedzony uroczystością odsłonięcia rzeźby przedstawiającej patrona Filharmonii – Henryka Mikołaja Góreckiego odbyła się 28 marca br. Solistami tego niezwykle muzycznego wydarzenia byli wirtuosi: organista Julian Gembalski i pianista Piotr Paleczny, którzy po raz pierwszy zaprezentowali brzmienie nowych instrumentów, a także własny, niepowtarzalny kunszt artystyczny. Wystąpiły także Orkiestra i Chór Filharmonii Śląskiej pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka.

*(Więcej o tym wydarzeniu na str. 67)*



Fot. Zbigniew Sawicki

Fot. Opera Śląska



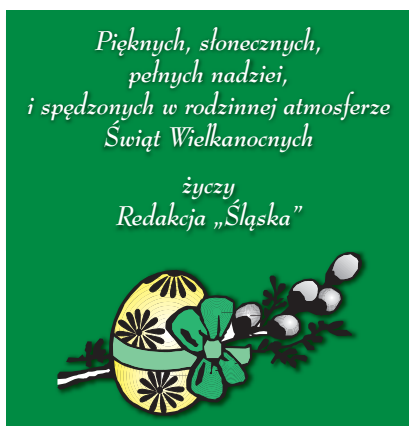
W Operze Śląskiej w Bytomiu, w Sali Koncertowej im. Adama Didura 15 marca br. odbył się benefis Tadeusza Kijonki, wierczący jego blisko 50-letnią działalność jako kierownika literackiego tej sceny. Benefis połączony był z prezentacją tomu wierszy Tadeusza Kijonki pt. „Czas, miejsca i słowa”. Na zdjęciu: Tadeusz Kijonka przyjmuje gratulacje od marszałka województwa śląskiego Mirosława Sekuły, a towarzyszą im prowadzący wieczór Joanna Kściuczyk-Jędrusik i Henryk Konwiński.

*(Rozmowa z Tadeuszem Kijonką na str. 22-26)*



Fot. Krzysztof Lisiak

Tegoroczna gala Nagród Artystycznych „Złote Maski” województw opolskiego i śląskiego gościła w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu, uroczyste spotkanie odbyło się tradycyjnie w poniedziałkowy wieczór poprzedzający Międzynarodowy Dzień Teatru (24 marca). Tytuł najlepszego spektaklu roku w województwie śląskim uzyskała „Piąta strona świata” Kazimierza Kutza w reżyserii Roberta Talarczyka (Teatr Śląski), w województwie opolskim – „Morrison/Śmiercisyn” w reżyserii Pawła Passiniego (Opolski Teatr Lalki i Aktora imienia Alojzego Smolki). W kategorii spektaklu dla młodych widzów zwyciężył na Śląsku „Sen nocy letniej” Williama Szekspira w reżyserii Mariana Pecko w Teatrze Lalek Baniałuka im. Jerzego Zitzmana w Bielsku-Białej. Na zdjęciu laureaci 46. edycji „Złotych Masek”.



*Pięknych, słonecznych,  
pełnych nadziei,  
i spędzonych w rodzinnej atmosferze  
Świąt Wielkanocnych*

*życzy  
Redakcja „Śląska”*

Kruszonki wykonane przez Ignacego Magierę zostały uhonorowane podczas 25. edycji konkursu „Górnśląskie kruszonki 2014” Muzeum Górnśląskiego w Bytomiu, nagrodą specjalną miesięcznika „Śląsk”.

*(Więcej o konkursie na str. 45)*



Fot. T. Szemalikowski/Muzeum Górnśląskie

Nasz partner



**Rybnik. Miasto z ikrą.**

# KRYSTIAN HADASZ

## *Ad Absurdum*

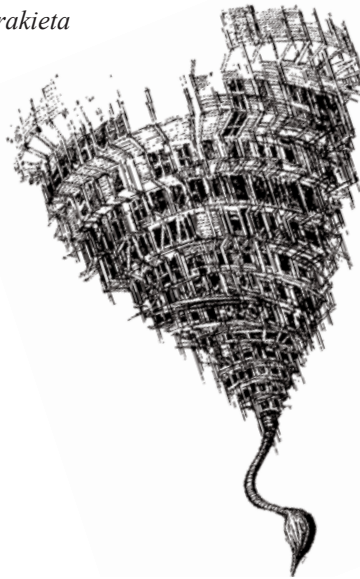
*Wtedy rzekł do nich:  
„Widziałem szatana spadającego z nieba  
jak błyskawica”  
Łk 10, 18*

stolica świata wieczny Babilon ukrywa  
twarze generałów  
weteranów wojny o wszystko co nasze a  
nasze jest wszystko

dobrze że generalissimus  
przerwał w momencie krytycznym  
taktyczną drzemkę nie nazwaną jeszcze  
przez teatrologów wojny

w stolicy świata zaciemnia się  
przede wszystkim parlament oraz banki przed  
atakami z powietrza  
którego nie było od czasów  
uniesienia Szymona Maga  
– z modlitwą świętego Piotra z przeciwka  
o jego piękny i słuszny  
upadek

*teza antyteza rakiet  
antyrakiet  
błysk krótki  
jak nic*



*Rys. Wojtek Luka*

**Krystian Hadasz** – ur. 1960 r. w Siemianowicach Śląskich; ukończył muzykologię na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Podyplomowe Studium Muzeologiczne UJ. Mieszka w Siemianowicach Śląskich. Jest dyrektorem tułtejszego Muzeum Miejskiego; pracuje także jako instruktor muzyczny w siemianowickim Młodzieżowym Domu Kultury im dr. H. Jordana. Debiutował w tygodniku „Radar” w 1985 r. Wydał cztery książki poetyckie: „Modlitwa niekontrolowana” (Katowice 1991), „Nie o Tym” (Katowice 1994), „Światowy Dzień bez Polski” (Chorzów 2003), „Rzeczpospolita od rzeczy” (Katowice 2006). Jest laureatem wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich (m.in. w Warszawie – konkurs Młodzieżowej Agencji Wydawniczej – 1986, Świdwinie, Katowicach, Chrzanowie). Jego wiersze były publikowane w Śląskim Almanachu Poetyckim (Katowice 1989), antologii poetyckiej „Jak smagnięcie gałązką” (Chorzów 2002), antologii poetyckiej „Godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem. Głos poetów po śmierci Papieża Polaka” (Kraków 2005) oraz w prasie literackiej i społeczno-kulturalnej – m.in. w miesięczniku „Śląsk”, „Dekadzie Literackiej”, „Akancie”. Jest członkiem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.

Nr 4 (221), Rok XIX, KWIECIEŃ 2014 r.

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel. 32 253-62-21  
e-mail: gtl@gtl.home.pl  
www.gtl.org.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
Tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bs@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WITOLD TURANT  
redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA  
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,  
sekretarz redakcji

MARIA SZTUKA  
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA  
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA  
dział graficzny

KATARZYNA BERETA  
redaktor periodyku internetowego  
www.slaskgtl.pl

MIROSLAW KORBEL  
nadzór techniczny i poligraficzny  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA  
ANNA STRUMIŁOWSKA  
korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
Tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcjask@onet.pl,  
msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48

Druk: PW „Tolek”  
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI  
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

**Prenumerata zagraniczna:** poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ  
pod adresem:

<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

6. Tomasz Kurpierz REDAKTOR I SIŁACZ. HENRYK ŚLAWIK W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM (I)
9. Grzegorz Sztofer KIM JESTEŚ, ŚWIĘTOSŁAWIE?
12. Rozmowa z prezydent Zabrza Małgorzatą Mańką-Szulik ZABRZE – MIASTO MOICH MARZEŃ
14. Maria Szuka RODZINA MIŁOŚCIĄ WIELKA
15. LISTY DO REDAKCJI
18. Karolina Paprocka MŁODZIEŻOWY FENOMEN W KRAJU NAD RENEM
22. Rozmowa z Tadeuszem Kijonką BYŁEM PATRIOTĄ TEJ SCENY!
28. Monika Wiszniewska KOMU (DZISIAJ) POTRZEBNY JEST KISIEL?
30. Rozmowa z profesorem dr. hab. n.m. JANEM PILCHEM, laryngologiem Szpitala Klinicznego w Katowicach ROZSADEK – LEK BEZ RECEPTY
32. Adam Kraśnicki OKRUCHY ZDARZEŃ... WSPOMNIENIE O BP. TADEUSZU SZURMANIE
36. Rozmowa z Aleksandrem Rozenfeldem CZEMU ŻYD JEST SMĘTNY?
37. ROZENFELD OPOWIADA CZYM JEST SZMONCES
38. Wiesława Konopelska ŻYJĄCY W ZACHWYCENIU
41. Maria Szuka TROPARION PASCHALNY. Święta Wielkanocne w Cerkwi prawosławnej
42. Rozmowa z Mieczysławem Chudziakiem NAJWAŻNIEJSZE JEST PATRZENIE
44. Marek Mierzwiać JEGO „CHARAKTER PISMA”
45. KROSZONKI, PALMY I WIOSENNE OBYCZAJE
46. Witold Kociński TAJEMNICA ŚWIĘTOŚCI
52. Jerzy Machura W KŁOBUCKICH ŁASACH SERWITUTY NADAL RESPEKTOWANE

## FELIETONY

3. EDYTORIAL
21. NOTATNIK SPÓZNIENEGO PRZYBYSZA  
Marek S. Szczepański DOŚWIADCZANIE PRZESTRZENI
27. Wojciech Grabowski KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO MUZEUM ŚLĄSKIEGO. JÓZEF CHELMONSKI
47. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYNA  
Jan Miodek KSIĄDZ EMIL SZRAMEK W DIALEKCIE ŚLĄSKIM
59. Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI. SONATA MIŁA I SONATA-ZAGADKA  
MEŚJASZ W WIELKIM SKRÓCIE. PIOSENKI LUTOSŁAWSKIEGO NA PŁYCCIE
65. Henryk Bzdok ANEGDOTY

## PLASTYKA

40. Bogdan Widera PODRÓŻ DO GRANIC RYSUNKU
48. Michalina Wawrzyczek-Klasik KLASYCY ŚLĄSKIEJ SZTUKI
49. CZAS SYNTETY
50. AKTUALIA
51. Wiesława Konopelska CZYM SĄ „AKTUALIA”?
76. Witold Kociński BOLESNA ROZMOWA. JANINA WALCZAK-BUDZICZ: MOJA PASJA

## FILM

56. Paweł Świerczek ODTWARZAJĄC AMERYKAŃSKI SEN

## TEATR

57. Danuta Lubina-Cipińska WIELKI HIT MUZYCZNY
58. Magdalena Figzał NA STYKU KULTUR I RELIGII

## KSIĄŻKI

60. Katarzyna Bereta PODRÓŻOWAŁEM, CZEKAJĄC NA PRZERZUT
61. Dariusz Kozłowski ODDAJĄC SPRAWIEDLIWOŚĆ WIDZIALNEMU ŚWIATU
62. Krystyna Heska-Kwaśniewicz CO MA KOZA DO TRZYSTKI, CZYLI O PASJACH  
PROF. PAWŁA ŁAMPEGO
62. Katarzyna Krzan ŚWIAT JUŻ NAS NIE POTRZEBUJE
63. Bogdan Widera MARSZAŁKOWA MATA HARI?
64. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH

## POEZJA

1. WIERSZ NA OTWARCIE  
Krystian Hadasz AD ABSURDUM
16. Krystian Hadasz WIERSZE
28. Grzegorz Słobodnik WIERSZE

## EKOLOGIA

54. Jolanta Karmańska TERENY POPRZEMYSŁOWE W SIECI

## STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK.  
Bożena Holesz NOWA SIEDZIBA – WIĘKSZE MOŻLIWOŚCI I NIEBANALNE POMYSŁY  
ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. FILHARMONIA ŚLĄSKA – NOWA PRZESTRZEŃ  
DLA MUZYKI
68. OPOLSKIE

## NOTATNIKI KULTURALNE

69. Janusz Wójcik OPOLE
70. Wiesława Konopelska KATOWICE
72. Maria Szuka SOSNOWIEC
73. Jan Picheta BIELSKO
74. Joanna Kotkowska CZĘSTOCHOWA
75. Jacek Sikora ZAOLZIE

## NA OKŁADCE:

Antoni Kowalski, *Medytacja złota II*, olej, płyta 120x142 cm, 1999, tryptyk



Fot. Bogdan Kulakowski

## *Drodzy Czytelnicy*

**K**wietniowy numer miesięcznika „Śląsk” postanowiliśmy opatrzyć mottem zaczerpniętym z jednej z wielkopostnych pieśni: „Zastanów się, o człowiecze...”. Jest się nad czym zastawiać, zanim zasiądziemy za wielkanocnym stołem i dzieląc się święconym jajkiem, złożymy sobie życzenia. Historia znów przyspieszyła kroku i wydarzenia za naszą wschodnią granicą budzą uzasadniony niepokój. Politycy dyskutują, poszukują skutecznych rozwiązań, a my... Zastanawiamy się, jak te wydarzenia przywołujące mało optymistyczne analogie wpłyną na nasze życie i solidaryzujemy się z tymi, których bezpośrednio dotyczą, o co apeluje w swym liście prezes ukraińskiego PEN Centrum, Myrośław Marynowicz.

W dramatycznych czasach objawia się prawda o człowieku. Ukazuje on często swą małość, ale bywa, że potrafi wznieść się na wyżyny, także poświęcenia. O tym traktuje trylogia autorstwa Tomasza Kurpiera opowiadająca o Ślązaku, który stał się bohaterem trzech narodów, o Henryku Sławiku, któremu zawdzięczało życie wielu ludzi, głównie Żydów. Jeśli ich liczbę określamy w tysiącach, nie ma w tym żadnej przesady. Pierwsza część tej opowieści traktuje o życiu i działalności Sławika w okresie międzywojennym. Inny wybitny Ślązak, którego na naszych łamach wspomina Adam Kraśnicki, to niedawno zmarły biskup diecezji ewangelicko-augsburskiej Tadeusz Szurman, człowiek niezwykle duchowości i wrażliwości, przyjaciel „Śląska”. Duchowość to pojęcie, które, wydawałoby się, nie cieszy się wielkim uznaniem wśród młodego, wstępującego w życie pokolenia. Temu obiegowemu twierdzeniu przeczy relacja Karoliny Paprockiej, autorki, która niejako „od środka” obserwuje życie wspólnoty polskiej w Niemczech, skupiając się w swym artykule właśnie na przejawach życia duchowego młodzieży. Grzegorz Sztoler natomiast pisze o kulcie pewnego średniowiecznego śląskiego mnicha, błogosławionego, który związany jest... No właśnie. Historie mające w sobie posmak tajemnicy należy opowiadać od początku, nie od końca, więc na tym poprzestane, odsyłając Państwa na nasze łamy. Maria Sztuka pisze o świętach Wielkiej Nocy w Cerkwi prawosławnej, a Wiesława Konopelska podpatrywała zachwycenie chasydów w Lelowie, miejscu niezwykle ważnym dla tego odłamu judaizmu. Z kolei Aleksander Rozenfeld odpowiada na nasze pytanie, dlaczego Żyd bywa smętny, a odpowiedź, jakiej udzielił, jest mocno okraszona tzw. szmoncesami, które bywały, a może i nadal bywają, uśmiechem przez łzy.

Proponujemy także niezwykle interesującą rozmowę z Tadeuszem Kijonką, Honorowym Prezesem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, z okazji jego pożegnania z Operą Śląską w Bytomiu, w której od pół wieku pełnił funkcję kierownika literackiego. Niezwykle połączenie wrażliwości muzycznej z wielkim talentem poetyckim przyczyniło się do sukcesu niejednej inscenizacji operowej. Pozostając przy tematyce muzycznej, zapraszamy także Państwa do Filharmonii Śląskiej, która ukazuje swoje nowe oblicze po wielkim remoncie.

Zmienia się krajobraz śląskich miast, a także styl i poziom życia ich mieszkańców. Jednak ojcowie tych miast na ogół wiedzą, że są to procesy, którym nigdy nie można powiedzieć „dość”. Można natomiast nadawać im właściwy kierunek, przyspieszać ich tempo oraz przewidywać ich skutki w przyszłości. Sprawom tym poświęcona jest rozmowa Marii Sztuki z prezydent Zabrza, Małgorzatą Mańką-Szulik.

Ponadto zapraszam do spaceru po galeriach sztuki i wystawach, bo interesujących propozycji śląskiego środowiska plastycznego nie brak. Zapraszam także do lektury interesujących wierszy autorstwa Krystiana Hadasza, licząc na to, iż przyjemności świątecznego stołu zostaną dopełnione przyjemnościami duchowymi, i życząc w imieniu zespołu redakcyjnego i swoim, by były to Święta Pokoju, Rodziny i Pojednania.

# ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń  
z miesiąca  
poprzedzającego  
zamknięcie  
numera

■ **BEZPRAWNIE** reaktywowana Spółka Giesche SA – orzekł w lutym Sąd Okręgowy w Katowicach – nie może zgłaszać żadnych roszczeń do dawnego majątku rodziny Giesche, który obejmował m.in. kopalnię, fabrykę porcelany, robotnicze osiedla w Nikiszowcu i Giszowcu. Jednocześnie w Warszawie toczy się proces karny wobec osób, które usiłowały wyłudzić od Skarbu Państwa majątek warty co najmniej 340 mln zł.

■ **MIELIŚMY** do czynienia z ordynarnym skokiem na publiczną kasę – tak Adrian Furgalski z Zespołu Doradców TOR podsumował to, co działo się w podległej Kolejom Śląskim spółce Inteko, której brakuje 35 mln zł i kilkunastu zamówionych pociągów. Publiczne pieniądze wydawano chętnie i bez jakiegokolwiek kontroli, a część z nich – jak się podejrzewa – została wypradzona do prywatnych firm.

■ **TYMCZASEM** Górnos Śląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów domaga się od marszałka zapłaty 20 mln zł, które wcześniej „utopiło” w podejmowanych interesach ze spółką Inteko, aktualnie w fazie upadłości. Dzięki temu GPW przejęło kilka... pociągów, ale ich stan prawny mocno się skomplikował, więc stoją na bocznicach.

■ **ZWIĄZKI** sprzeciwiają się restrukturyzacji Kompanii Węglowej. Dwieście osób okupowało siedzibę spółki w Katowicach przy ul. Poستاńców.

■ **NIE** bądź dłużnikiem, bo trafisz na czarną listę. I nie chodzi tu nawet o banki, czy parabanki. Zgłosić cię może nawet urząd i biblioteka. Możesz tam trafić za zaległy czynsz i nieopłacony mandat za jazdę bez biletu. W rejestrze dłużników jest kilkaset tysięcy mieszkańców województwa śląskiego. Więcej niż liczą stołeczne Katowice. Średnio każdy śląski dłużnik ma do spłaty 24 tysiące złotych. Ale wpis na listę to ostateczność – wcześniej wierzyciele polubownie, ale najczęściej nieskutecznie, starają się ściągnąć swoje należności.

■ **PRACY** szuka w województwie śląskim już 3300 nauczycieli, a będzie ich przybywać, bo panuje – jak wszystkim wiadomo – głęboki niż demograficzny. Poza tym samorządy zamykały i dalej chcą zamykać szkoły – szczególnie te małe. Wśród bezrobotnych pracowników oświaty jest m.in. 1049 pedagogów szkolnych, 244 nauczycieli języka angielskiego, 213 nauczycieli wuefu, 209 polonistów. Spórą grupę stanowią nauczyciele nauczania początkowego. Wojewódzki Urząd Pracy widzi dla nich szansę w zawodach związanych

z opieką nad seniorami, opiekunami rodzin. A jeśli zechcą mogą zostać florystami, czy operatorami wózków widłowych.

■ **POGRZEB** księdza biskupa Tadeusza Szurmana (ur. 1954 w Simeradzu) miał miejsce 3 lutego w kościele ewangelickim w Katowicach przy ul. Warszawskiej. Byłego biskupa diecezji katowickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, a także proboszcza tutejszej parafii ewangelicko-augsburskiej, wspomniano jako człowieka serdecznego, pełnego pokory i wiary.

■ **LECAŁ** głowy w śląskim NFZ. 4 lutego w ciągu kilku godzin stanowiska straciło dwoje wicedyrektorów, niepewny był także los dyrektora oddziału Grzegorza Nowaka, któremu już wcześniej w centrali NFZ składano propozycję samodymnsji (!). Ale twardy Nowak odmówił i sam postanowił rozprawić się ze współpracownikami, którym miał za złe, że podczas jego urlopu przedłużyli kontrakt dla szpitala EuroMedic.

■ **POSEŁ** John Godson pomógł w podpisaniu umowy między protestującym studentem z Nigerii a częstochowską Akademią Poloniją, która zobowiązała się zwrócić mu sumę sześciu tysięcy euro wpłaconych na poczet dwuletnich studiów. Adedeji Sunday Akintayo protestował bezskutecznie od kilku dni. Nie mógł podjąć studiów w Polsce, bo nie otrzymał wizy edukacyjnej.

■ **JACK STRONG**, czyli superszpieg pułkownik Ryszard Kukliński gościł wiosną 1998 w Katowicach, gdzie był w sali Sejmu Śląskiego na spotkaniu z opozycją. Przyjechał też pod kopalnię Wujek, gdzie złożył kwiaty. Ten epizod, z okazji premiery filmu Władysława Pasikowskiego, przypomnieli lokalne media.

■ **BYŁY** górnik, obecnie podróżnik Mieczysław Bieniek napisał list do Putina i dostał roczną wizę na zaproszenie Komitetu Olimpijskiego Rosji. Więc pojechał, wybaczył budując się igrzyska w Soczi. I napisał książkę – a jakże by inaczej – zatytułowaną „Hajer jedzie do Soczi”.

■ **ODPUST** św. Walentego obchodzone szczególnie uroczysto 14 lutego w Bieruniu, którego patronem jest św. Walenty, a w tutejszym drewnianym kościółku „Walencinku”, od średniowiecza trwa nieprzerwany kult tego świętego.

■ **PALAC** tow. Grudnia, Deziebler Palast, dawniejsze Centrum Kształcenia Ideowo-Wychowawczego Kar Robotniczych w Katowicach, a dzisiejsze Centrum Kultury Katowice, o nim teraz się dyskutuje – i zastanawia nad tym, czy zburzyć, czy zachować. Na razie w mediach zwycięża koncepcja zachowania. Wstępną koncepcję przebudowy gmachu opracował jego twórca architekt Zdzisław Stanik, który zaproponował m. in. nową elewację. Planowana przebudowa miałaby kosztować ok. 150 mln zł.

■ **UTWORZENIE** Muzeum Historii Medycyny, Farmacji i Kosmetologii planowane jest w tym roku w Sosnowcu w akademiku Uniwersytetu Medycznego. Ekspnaty już są – gromadzone od lat 60. – stare moździerze, wagi, descyulatory, sprzęt farmaceutyczny. Najcenniejszym ekspnatem jest manual z 1848 roku, czyli księga z receptami wykorzystywanymi przez farmaceutów.

■ **ZŁOTYM** medalistą Igrzysk Olimpijskich w Soczi został Kamil Stoch, skoczek z Zęb, który w pamiętną niedzielę 9 lutego skoczył z wymalowaną na kasku biało-czerwoną szachownicą. Nie udało się to nawet Adamowi Małyszwowi!

■ **NASI** skoczkiwe zajęli na olimpiadzie drużynowo zasłużone czwarte miejsce.

■ **KOBIETY** w Kompanii Węglowej chcą być traktowane na równi z mężczyznami. Pracuje ich tu ok. 5700 i coraz głośniej mówią o panującej dyskryminacji. Mówią o tym w liście otwartym, w którym dostaje się i zarządowi, i związkom. Kobiety twierdzą, że planowane oszczędności w administracji będą uzyskane przede wszystkim ich kosztem. Twierdzą też, że istnieje różnica w wynagrodzaniu, przyszłowiowy „szklany sufit”, którego kobiety nie mogą przekroczyć.

■ **KRAJ** żyje mordercą i gwałcicielem Mariuszem T., który przez beztrochę polskich polityków i prawników, wyszedł na wolność 11 lutego z obstawą iście prezydencką. W regionie mamy także swoich złoczyńców, o których było dziwnie cicho. Teraz zauważono, że dzień po Trynkiewiczzu, wyszła inna bestia, Bernard E., pedofil z Raciborza,

skazany m.in. za seksualne molestowanie 8-latk, który w opinii dyrektora oleśnickiego więzienia jest „osobą stwarzającą zagrożenie”. Ale sąd zagrożenia nie dostrzegł...

■ **ZBYTKIEM** zabytku chcą załatać dziurę budżetową w Bytomiu. Władze miasta zamierzają sprzedać słynną, monumentalną Elektrownię Szombierki, ikonę Bytomia, która wpisana jest do rejestru zabytków i ma tytuł jednego z siedmiu cudów architektury regionu. A pieniądze ze sprzedaży obiektu mają załatać 100-milionową dziurę w miejskim budżecie.

■ **PORTRET** cesarza Niemiec Wilhelma I wrócił do Rybnika – uspokajamy, tylko portret. Dawne czasy już się nie wrócą. Po 92. latach nieobecności przechowywany w gliwickim Muzeum cesarski portret uświetnił wystawę rybnickiego muzeum zatytułowaną „W Rybniku bez zmian. Miasto wiosną 1914 roku”. Powstało w 1899 r. dzieło wisiało do 1922 r. w rybnickim Starostwie Powiatowym.

■ **TRZYNASTEGO**, na dodatek z uszkodzoną stopą pobelega na olimpiadzie w Soczi Justyna Kowalczyk, zawodniczka AZS AWF Katowice, razem z podżywieckiej Kasiny Wielkiej, po złoty medal. Przebiegła rewelacyjnie te 10 km i została mistrzynią olimpijską w wielkim stylu.

■ **POGRZEB** Haliny Holas-Idziakowej odbył się w piątek 14 lutego w Katowicach na cmentarzu przy ul. Francuskiej. Mszę odprawiono w kościele Mariackim. Znana katowicka fotograf, matka wybitnego filmowca Sławomira Idziaka, dożyła 98 lat.

■ **ZIELONI** na wiosnę zamierzają postawić owadom hotele. To nie żart. W Polsce – zapowiada się też że i w Katowicach – w ramach akcji Greenpeace ma powstać sto ekologicznych hoteli zbudowanych z naturalnych materiałów – słomy, drewna. Mają w nich zamieszkać pszczoły, trzmiele, biedronki, motyle i inne „zapylacze”, których populacja drastycznie maleje.

■ **TANCE** w dawnej kopalnianej cechowni. Po dwóch latach remontów KWK Rozbark dostała nowe życie. Mieści się tu Bytomski Teatr Tańca i Ruchu Rozbark, którego otwarcie zapowiedziano na marzec.

■ **SZYBOWCOWY** mistrz świata Sebastian Kawa wrócił do Nepalu, aby powtórnie zmierzyć się z najwyższą górą świata, Mount Everestem.

■ **ŚLĄSKIE** województwo sprzymierzyło się z małopolskim i przyjęło wspólną „Strategię rozwoju dla Polski południowej”, ochrzczonej mianem Krakowic, wspartej przez rząd. Chodzi o kasę z Unii, ale także np. organizację wspólnej zimowej olimpiady w 2022 [choć to daleka perspektywa] m.in. w katowickim Spodku. Marszałek Sekuła jest orędownikiem przymierza z Małopolską, jego gorącym przeciwnikiem jest poseł Plura, który obawia się rozmycia śląskiej tożsamości.

■ **ZABÓJSTWO** Dietera Przewdzinga, znanego i szanowanego powszechnie burmistrza Dzieższowic w powiecie krakowickim, jakie miało miejsce 18 lutego, wstrząsnęło całym Śląskiem. Czy był to bandycki napad, czy też mord na tle politycznym? Burmistrz opowiadał się za autonomią gospodarczą górnos Śląskich samorządów, co przysporzyło mu zarówno sympatyków, jak i wrogów.

■ **KIM** jest Górnos Ślązak? – zastanawiali się uczestnicy debaty o Śląsku na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wśród prelegentów byli m.in. prof. Paul Betts i dr Hugo Service historycy z Uniwersytetu w Oksfordzie, dr Jim Bjork historyk z King's College w Londynie. Debatę „Polacy i Niemcy jako Ślązacy: masowe przemiany narodowościowe pod koniec XX wieku w Polsce” zorganizowano w ramach Programu Studiów o Współczesnej Polsce, które zainicjował prof. Norman Davies. To interdyscyplinarne studia adresowane głównie do obcokrajowców.

■ **WOJEWODA** Zygmunt Łukaszczyk ustąpił 27 lutego ze stanowiska. Podał się do dymisji – którą argumentowano rutynowym „prześlądem kadry” a nie żadną aferą – równocześnie z trzema innymi wojewodami. Jego następcą został Piotr Litwa, dotychczasowy przewodniczący Wyższego Urzędu Górniczego. Były wojewoda zapowiada, że wróci do branży górniczej. Łukaszczyk wcześniej był też prezydentem Żor.

KRONIKARZ

Najserdeczniejsze wyrazy  
współczucia  
prof. dr. hab. MARIANOWI  
KISIELOWI  
z powodu śmierci

Matki

składa

Zespół redakcyjny miesięcznika  
„Śląsk”



*Wiktor Ostrzołek, witraż Ukrzyżowania w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Łagowie Lubuskim*

# Redaktor i „siłacz” (I)

# Henryk Sławik

# w okresie

# międzywojennym

TOMASZ  
KURPIERZ

Pewnego marcowego dnia 1927 roku do znajdującej się w centrum Katowic przy ul. Teatralnej redakcji „Gazety Robotniczej” weszło dwóch mocno wzburzonych oficerów Wojska Polskiego, którzy od razu skierowali się do – jak to wówczas nazywano – redaktora odpowiedzialnego. Po krótkiej wymianie zdań doszło do szamotaniny, w ruch poszły pięści oraz krzesło, po chwili jeden z napastników wycelował w stronę dziennikarza rewolwer. W tym momencie wszedł redaktor naczelny gazety i poseł do Sejmu Śląskiego Józef Biniszkiwicz, co na szczęście ostudziło nieco wojskowych, którzy zaniechali ataku i szybko opuścili budynek. Jak się okazało, poszło o artykuł opisujący dezercję dwóch oficerów z Poznańskiego do Niemiec. Krewcy towarzysze broni w ten, dość gwałtowny, sposób zapragnęli dowiedzieć się, czy redakcja socjalistycznej „Gazety Robotniczej” krytyczne uwagi na temat ucieczki „rozciąga na wszystkich oficerów z Poznańskiego”. Zaatakowanym dziennikarzem okazał się niespełna 33-letni Henryk Sławik – wówczas doświadczony już redaktor i znany w regionie działacz socjalistyczny. Nikt nie mógł wtedy przewidzieć, że za kilkanaście lat wojenny los rzuci go na Węgry, gdzie okaże się jednym z najwybitniejszych przywódców wielotysięcznej rzeszy polskich uchodźców szukających schronienia nad Dunajem i na trwale wpi-

sze się w dzieło ratowania polskich Żydów.

## Odpowiedzialny

Codziennosc w „Gazecie Robotniczej” na szczęście nie wyglądała aż tak niebezpiecznie jak w owym marcowym dniu. Sprawa zakończyła się zresztą bez większych konsekwencji – oficerowie zostali skazani za napaść na karę grzywny, która mogła być zamieniona na krótki pobyt za kratami. Niemniej jednak Henryk Sławik już od początku swej kariery dziennikarskiej, a więc kilka lat wcześniej, na własnej skórze wiele razy odczuł, na czym polega praca w opozycyjnym, socjalistycznym piśmie. Redaktorem odpowiedzialnym „Gazety Robotniczej” – najważniejszego organu prasowego Polskiej Partii Socjalistycznej na Górnym Śląsku – został już jesienią 1922 roku. Co warto podkreślić, był samoukiem, pochodził z biednej wielodzietnej rodziny, ukończył jedynie pruską szkołę ludową w rodzinnej Szerokiej (obecnie dzielnica Jastrzębia Zdroju). Rozległą wiedzę i umiejętności, które pozwalały mu na piastowanie wielu odpowiedzialnych stanowisk, zdobył samodzielnie. Z ruchem socjalistycznym na dobre związał się po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Walczył w powstaniach śląskich, w 1921 r. brał aktywny udział w kampanii przed plebiscytem. PPS brakowało wówczas spraw-

nych agitatorów i Sławik znalazł się w grupie młodych działaczy, którzy przeszli szkolenie w centrali partyjnej w Warszawie, a następnie aktywnie organizowali i prowadzili wiece nawołujące Górnoszlązaków do głosowania za Polską. Jednocześnie młody Henryk rozpoczął współpracę z „Gazetą Robotniczą”, od 1920 r. drukując w niej swoje pierwsze artykuły o tematyce społeczno-gospodarczej, kulturalnej i sportowej. Dwa lata później, już jako redaktor odpowiedzialny, musiał stawać przed sądami za różne treści publikowane w piśmie. Prasa odgrywała w ówczesnej walce politycznej rolę pierwszorzędą. „Polityka i gazety – pisał Wojciech Korfanty – są dla mnie jednym i tym samym”. Temperatura sporów była bardzo wysoka, zaś „Gazeta Robotnicza” wśród organów prasowych legalnych stronnictw politycznych należała do bardziej prześladowanych przez różne ekipy rządzące pism. Świadczy o tym chociażby fakt, że Sławik jako redaktor odpowiedzialny już w 1926 r. doznał pięćdziesiątego procesu sądowego, a w następnych latach liczba rozpraw i konfiskat gazety jeszcze bardziej wzrosła. Zaskarżone artykuły dotyczyły różnych tematów – a to chodziło o zniewagę policji (np. skrytykowanie zbyt brutalnej interwencji stróżów prawa) czy też innych urzędników państwowych, a to część oskarżeń pochodziła od osób prywatnych, zwykle zajmujących jakieś poważniejsze stanowiska, których socjaliści atakowali np. za złe traktowanie robotników. Wiele spraw odnosiło się do regularnie prowadzonej na łamach „Gazety Robotniczej” krytyki duchowieństwa, np. w czerwcu 1923 r. przed Sądem Okręgowym w Katowicach toczył się proces przeciwko Sławikowi o znieważenie „urządzeń kościelnych” poprzez zamieszczenie w kąciku humorystycznym materiału „Pacierz na czasie”, w którym była mowa o związkach pewnego duchownego z dolarami i „biedną mareczką polską”. Redaktor bronił się, stwierdzając, że nie miał zamiaru nikogo znieważać, a „krytyki wybryków niektórych księży nie można uważać za obrazę religii, gdyż ksiądz nie przedstawia religii, lecz jako obywatel podlega krytyce jak każdy inny”. Sprawy kończyły się na ogół karą grzywny lub więzieniem, czasami uniewinnieniem. Za kraty Henryk trafiał zazwyczaj na kilkanaście dni, czas ten wy-



korzystując na dalsze samokształcenie.

## Silacz

**S**ławik sam potrafił nadrobić braki w wykształceniu, zdawał sobie jednak sprawę, że dla tysięcy górnośląskich robotników edukacja poza poziomem najbardziej podstawowym pozostawała niedostępna. Stąd też, od początku swej działalności publicznej, obok pracy dziennikarskiej, skupił się na podnoszeniu poziomu ich wiedzy. Pod koniec 1922 r. został prezesem powołanego w tym roku górnośląskiego Zarządu Związku Młodzieży Robotniczej „Siła” (na tym terenie „silacze” występowali potem pod różnymi nazwami, m.in. jako stowarzyszenie i wzorowali się na podobnej organizacji, która istniała na Śląsku Cieszyńskim już od 1908 r.). Działalność prowadzona była początkowo w ramach kilku sekcji – teatralnej, muzycznej, turystycznej i sportowej. Jakkolwiek socjaliści górnośląscy przed zamachem majowym w walce o wpływy wśród robotników przegrywali z chadecją Korfanteo i Narodową Partią Robotniczą, to „Siła” w pierwszym okresie swej działalności rozwijała się dość dynamicznie. W roku 1923 dały się jednak odczuć pierwsze symptomy utrzymującego się przez trzy lata załamania gospodarczego (co było niestety dopiero przedsmakiem wielkiego kryzysu gospodarczego w pierwszej połowie lat trzydziestych) i w efekcie organizacja siłacka musiała skupić się przede wszystkim na wymagającej mniejszych nakładów finansowych działalności sportowej. Bezrobotni lub słabo zarabiający robotnicy nie mieli pieniędzy nawet na skromne składki członkowskie i dlatego rzadziej organizowano, np. teatry ludowe czy też wycieczki. Mimo tych przeszkód, Sławik w tym czasie zaczął również działać ponadregionalnie – w 1923 r. został wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego „Siły” (ale ogólnopolska organizacja istniała niedługo i górnośląska struktura działała de facto samodzielnie), zaś w 1926 r. został członkiem Zarządu Głównego powołanego wówczas w Warszawie Związku Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych. W lipcu następnego roku był kierownikiem drużyn „Siły” na II Olimpiadzie Robotniczej w Pradze. „Wobec ogromu Czerwonej



Olimpiady – pisał Sławik w korespondencji do „Gazety Robotniczej” – wydają się śmieszne wszelkie docinki burżuazji o bankructwie programu idei socjalistycznej, a wprost kpinami można zbyć warcholską robotę komunistów, którzy zasilani sucie rublem moskiewskim, ze złością i zgrzytaniem zębów przypatrywać musieli się setkom tysięcy uczestników w pochodzie socjalistycznym”.

## Naczelnny

**P**rzelomowy w życiu Sławika okazał się rok 1928. Po przewrocie majowym w górnośląskiej PPS zarysował się podział na grupę propiłsudczykowską oraz najpierw dość neutralną, a z biegiem czasu coraz bardziej antysanacyjną frakcję,

której jednym z liderów był właśnie redaktor odpowiedzialny „Gazety Robotniczej”. Po kilkunastu miesiącach narastania partyjnych antagonizmów, w pierwszej połowie 1928 r. doszło do rozłamu i ostrej walki w łonie górnośląskiego ruchu socjalistycznego. Dotychczasowy lider regionalnej PPS i wydawca gazety, wspomniany już Józef Biniszkiwicz skupił wokół siebie grupę popierającą rząd Piłsudskiego i powołał odrębną Śląską Partię Socjalistyczną. Sławik pozostał w grupie opozycyjnej wobec rządów wprowadzonych w Polsce w 1926 r., co zgadzało się z linią polityczną całej PPS i w tej sytuacji mianowany został przez krajowe kierownictwo partii redaktorem naczelnym „Gazety Robotniczej”. Funkcję tę pełnił aż do wybuchu wojny. Wszedł również w skład ścisłego kierownictwa górnośląskich struktur PPS. W tym samym roku gór-

nośląska „Siła” stała się częścią ogólnopolskiej Organizacji Młodzieży TUR (Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych). Sławik zrezygnował wówczas z funkcji prezesa „Siły” (pozostając nadal w jej zarządzie), co spowodowane było znacznym zwiększeniem jego obowiązków na innych stanowiskach. Oprócz pełnienia funkcji w Okręgowym Komitecie Robotniczym PPS i kierowania „Gazetą Robotniczą”, w 1928 r. został członkiem Rady Miejskiej Katowic (początkowo wszedł do rady komisarycznej, w 1930 r. zdobył mandat w wyborach, choć potem szybko z niego zrezygnował). W następnym roku zasiadł w Śląskiej Radzie Wojewódzkiej. Sprawom oświatowym i sportowym nadal poświęcał jednak sporo czasu, regularnie pisząc o nich na łamach kierowanego przez siebie pisma. Rok 1928 przyniósł również zmiany w życiu osobistym Henryka – poślubił wówczas warszawiankę Jadwigę Purzycką, po dwóch latach urodziła im się córka Krysia. Mieszkali w centrum Katowic w kamienicy przy ul. św. Jana.

W latach trzydziestych „Gazeta Robotnicza”, będąc głosem opozycji wobec coraz bardziej autorytarnych rządów Piłsudskiego i jego współpracowników, wielokrotnie przechodziła trudne momenty. Na porządku dziennym były zarządzane przez Dyрекcję Policji konfiskaty wydrukowanych, a nierozkolportowanych jeszcze numerów. Sławika i podległych mu dziennikarzy regularnie oskarżano o „zniewagę” urzędów państwowych, a nawet zdradę stanu. Redaktorzy mieli kłopoty finansowe i techniczne, wiele razy pracowali za darmo, nie obojętne było również bezwładanie do redakcji i drukarni. Pismo periodycznie było nawet zawieszane lub wydawane na przykład jako regionalna mutacja krakowskiego „Naprzodu” czy warszawskiego „Robotnika”. Sam Sławik padał ofiarą wielu, niejednokrotnie bezpardonowych ataków prasowych, ponieważ gazeta, często w bezkompromisowy sposób, broniła praw robotników i innych znajdujących się w ciężkim położeniu grup społecznych. Redaktor aktywnie wspomagał między innymi strajkujących o poprawę swego ciężkiego położenia górników w Giszowcu, którzy w 1937 r. zorganizowali duży, podziemny protest w kopalni „Giesche” (Sławik zjechał do nich nielegalnie, przemycony przez policyjne bramki z pomocą komitetu strajkowego, efektem tej wizyty był obszerny reportaż *Tysiąc robotników ginie z głodu*).



W kamienicy przy ulicy Teatralnej 12 mieściła się redakcja „Gazety Robotniczej” – widok dzisiejszy.

Fot. Zbigniew Sawicz

Naczelny „Gazety Robotniczej” angażował się również w działalność samorządu dziennikarskiego – Syndykatu Dziennikarzy Polskich Śląska i Zagłębia. W latach trzydziestych był on kilkakrotnie prezesem i wiceprezesem tej organizacji, która zrzeszała kilkudziesięciu członków i wspierała znajdujących się w trudnej sytuacji kolegów po piórze – wypłacała zapomogi, pomagała w poszukiwaniu pracy, organizowała imprezy charytatywne. Systematycznie wzrastała też pozycja Sławika w PPS – od 1934 r. był nawet członkiem Rady Naczelnej PPS, a więc wszedł do ogólnopolskich władz partyjnych.

### W obliczu wojny

Wobec narastającego zagrożenia wojennego, Sławik nawoływał do ścisłej współpracy wszystkich antagonistyzowanych polskich stronnictw politycznych. Warto w tym miejscu zwłaszcza podkreślić – i jest to istotna sprawa także w kontekście jego działalności w czasie drugiej wojny światowej – że mimo udziału z bronią w rękę w powstaniach śląskich, Sławika cechował znaczny dystans do antagonizmów o charakterze narodowościowym. Wielokrotnie popierał i postulował współpracę z socjalistami niemieckimi, skupionymi między innymi w Deutsche Sozialistische Arbeiter Partei. Postawa taka w mocno podzielonym regionie z pewnością nie była łatwa, wymagała niemałej odwagi i narażała go na szereg ataków z wielu stron.

W ostatnich dniach przed wybuchem wojny Sławik wziął udział w przygotowaniach do obrony, jednak wobec błyskawicznych postępów wojsk niemieckich, w pierwszych dniach września 1939 r. musiał opuścić Górną Śląsk (wcześniej, jeszcze w sierpniu, wysłał rodzinę do Warszawy). Decyzja o wyjeździe była przemyślana, ponieważ za zdecydowane opowiadanie się za Polską, zaangażowanie w pracę społeczną i polityczną Sławik nie mógł liczyć – z czego doskonale sobie zdawał sprawę – na litość hitlerowskiego aparatu represji. I rzeczywiście – znalazł się na przygotowanej przez Urząd Kryminalny Policji Rzeszy *Sonderfahndungsbuch Polen*, czyli Specjalnej Księdze Gończej dla Polski, zawierającej listę osób, które ze względu na swą działalność społeczno-polityczną wzbudziły zainteresowanie służb policyjnych i miały być zatrzymane zaraz po wkroczeniu hitlerowców. Każde nazwisko w księdze opatrzone było odpowiednimi symbolami, oznaczającymi sposób potraktowania jego właściciela w przypadku ujęcia przez niemieckie formacje policyjne czy wojskowe. Przy redaktorze „Gazety Robotniczej” znalazł się zapis „Gestapa Berlin” (tak w oryginale), co oznaczało, że miał trafić w ręce śledczych do stolicy Rzeszy. 21 września 1939 r. Sławik przekroczył – jak się okazało, już na zawsze – polską granicę. Przybywał na Węgry jako doświadczony działacz społeczno-polityczny i dziennikarz. Zaczynał się nowy, najtrudniejszy etap jego życia.

**HAGIOGRAFIA POLSKA, tom drugi, rok wydania 1972 r. podaje: „ŚWIĘTOSŁAW MILCZĄCY, SILENTIOSUS, (I poł. XVI w. – 1489), zwany błogosławionym (...) pochodził, jak sam podaje, z miejscowości Shoczecz (de Shoczecz), którą dziś trudno zidentyfikować. Być może, że jest to Susiec (powinno być Suszec – gs) koło Pszczyny, zanotowany w Acta Cameracae jako Suczcz...”**

Siedzimy na suszeckiej farze, czyli Sprobostwie w Suszcu koło Pszczyny. Historyk, dr Przemysław Stanko, wykładowca krakowskiego Uniwersytetu Papieskiego, wyciąga komputer i uruchamia pierwsze zdjęcia.

– *To są łacińskie zapiski z papieskich kolektoriów świętopietrza, z XIV stulecia – mówi. – O, tu jest mowa o Suszcu – wskazuje. – Zapis nazwy tej miejscowości zawsze sprawiał problem. A to są fotokopie oryginalnych dokumentów z archiwów watykańskich.*

Dziwne, jak bardzo nazwa miejsca pochodzenia Świętosława i łaciński odpowiednik nazwy Suszca są zbieżne [„Shoczecz” – „Suczcz”]. Proboszcz Krzysztof Winkler i emerytowany sołtys, Alojzy Kuś są pod wrażeniem. Milczą. Dr Przemysław Stanko objaśnia zawiłości procesu kanonizacyjnego i tłumaczy, że Świętosław, choć „zwany błogosławionym”, w rzeczywistości nim nie jest. – Możemy jedynie modlić się o zatwierdzenie jego kultu – zaznacza.

W Suszcu Świętosława rozpropagował kilkanaście lat temu ówczesny wikary, ksiądz Michał Matysik, który obecnie jest misjonarzem w Zambii. Kiedy był jeszcze wikarym w parafii pw. Św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Suszcu dowiedział się od kolegów z seminarium, że jest jakiś Świętosław, i że na dodatek pochodzi z Suszca. Myślał, że żartują. Sprawdził w „Hagiografii...” wydanej jeszcze w 70. latach. I rzeczywiście, redagujący biogram Świętosława ksiądz Czesław Skowron, napisał, że średnio-wieczny mansjonarz mógł pochodzić z Suszca.

– Dopiero w tym momencie ręce mi opadły. W Suszcu nikt bowiem do tej pory o Świętosławie Milczącym nie słyszał. A jego sylwetka przedstawiana jest obok takich wielkich świętych, jak Stanisław Kostka, czy Szymon z Lipnicy. I co najważniejsze, w tej pracy wykluczono, aby pochodził on ze Sławkowa koło Olkusza, jak do tej pory utrzymywano w życiorysach – podkreślał ks. Michał.

**HAGIOGRAFIA POLSKA: „Świętosław nie pochodził natomiast ze Sławkowa, jak to utrzymywano dotychczas w jego życiorysach. Legenda o pochodzeniu z tego miasta powstała zapewne na przełomie XVI i XVII w., a podstawą jej była wzmianka w Długoszowym żywocie św. Stanisława o Świętosławie garbarzu, który miał widzenie świętego biskupa**



Bł. Świętosław, polichromia z Kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w Sławkowie

GRZEGORZ  
SZTOLER

# Kim jesteś, Świętosławie?

**krakowskiego. Długosz zaczerpnął ten opis dosłownie ze źródła XIII w., a mianowicie z «Vita maior» św. Stanisława, sam dodał jedynie imię Świętosław.”**

Jednak w Sławkowie, wbrew temu, co napisano o Świętosławie w „Hagiografii...” dalej mocno wierzą w to, że Świętosław jest ich, i że do tego, że jest błogosławionym, choć nawet w „Hagiografii...” ostrożnie podaje się, że „jest zwany błogosławionym”. Kult Świętosława jako błogosławionego ma się w Sławkowie dobrze, jego wizerunek

widnieje w miejscowym kościele, gdzie oddaje się mu cześć. Potwierdza to wydana w 1934 roku w nakładzie stu egzemplarzy książeczka księdza Jana Wiśniewskiego, proboszcza w Borkowicach, kanonika kapituły sandomierskiej, który pisząc o „Mieście Sławkowie w Olkuskim” przedstawił jego postać: „Błg. Świętosław ze Sławkowa urodził się w XV wieku w m. Sławkowie z biednych, lecz szlacheckich i pobożnych rodziców. Początkowe nauki otrzymał w Sławkowie, a gdy rodzice umarli, uczył się rzemiosła szewskie-



*Jak głosi legenda, Świętosław został pochowany w krypcie pod chórem w kościele Najświętszej Maryi Panny w Krakowie.*

go. Naśladował świętych Kryspina i Kryspiniana w tem, że pracując na własne utrzymanie, dzielił się zarobkiem z ubogimi, dając wszystkim przykład gorliwości o chwałę Bożą”. Że Świętosław był błogosławionym podaje nawet wydana w latach 70. monografia miasta opracowana pod redakcją prof. Feliksa Kiryka, wznowiona jako „Dzieje Sławkowa” w 2001 roku, na której łamach jego postać przewija się wielokrotnie, a szczegółowy jej biogram opracował Czesław Matuszczyk. Czytamy w nim m.in. „że według wielu publikacji błogosławiony Świętosław pochodził ze Sławkowa, prawy, szczerego serca, miał łaskę widzeń nadprzyrodzonych. Jedno z nich zostało utrwalone jako tło obrazu bł. Świętosława nad ołtarzem św. Mikołaja w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Sławkowie. W tle obrazu widać basztę, budowlę Sławkowa, a na moście procesję z Biskupem na czele. Na pierwszym planie jest w ornamencie postać bł. Świętosława w aureoli. Według legendy widzenie to było początkiem działalności jako duchownego w Krakowie”.

Barwnie legendę tę opisuje ksiądz Wiśniewski; „Pewnego razu wstawszy o świcie, Świętosław miał takie widzenie. Oto nad rzeką płynącą na Przedmieściu, ujrzał wielki tłum ludu różnej płci i stanu. A między ludem był poważny i okazały biskup w odzieniu liturgicznym, otoczony kapłanami i klerykami. Wszyscy zwrócone mieli oczy na Biskupa, a potem przyklekli na jego błogosławieństwa, które dał na wszystkie cztery części świata. Potem cała rzesza ruszyła procesjonalnie ku kościołowi śpiewając: Błogosławiony któryś przyszedł w imię Pańskie. Procesja szła obok domu Świętosława, ten zaś skrył się za śłup, szczeliną patrząc na postać świętego Biskupa otoczonego jasnością. Idący z tłumem starzec nagle zwraca się do Świętosława pytając go: „Wiesz co to za biskup i co znaczy tłum, który za nim idzie? Nie wiem! – odpowiedział Świętosław. – To święty Stanisław, biskup i męczennik krakowski, przemożny obrońca narodu polskiego, a ten tłum to ci, którzy za jego przyczyną są lub będą zbawieni.”

Ksiądz Winkler z Suszca zwraca uwagę na ten związek, widoczny właśnie

w tej legendzie – Świętosław i św. Biskup Stanisław Męczennik, zakatowany, poćwiartowany przez króla Bolesława Śmiałego – przecież kościół w Suszcu jest pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika. Brakowało jedynie... Świętosława.

Pięć wieków po śmierci Świętosława, w 1997 roku, rozpoczęła działalność komisja historyczna w sprawie jego beatyfikacji. Powołał ją 28 października kardynał Franciszek Macharski, metropolita krakowski. 22 stycznia 1998 roku w Kaplicy Arcybiskupów Krakowskich otwarty został proces kanonizacji. Niestety, z perspektywy czasu, ostatnich kilkunastu lat przyznać trzeba, że komisja, która miała zgromadzić materiał, dowody świadczące o świętości Świętosława nie wywiązała się ze swojego zadania, z różnych przyczyn, często losowych. Nie zachowało się żadne sprawozdanie z jej prac.

Na szczęście w gronie komisji znalazł się zafascynowany Świętosławem dr Waław Kolak, który przed swoją śmiercią zdążył przewertować kilka inkunabułów z krakowskiego klasztoru Karmelitów na Piasku, a wyniki swoich badań zamieścić w szóstym tomie „Krakowskiego Rocznika Archiwalnego”. Rozjaśniło to nieco legendę Świętosława. Bo jak ustalili krakowski badacz:

**„Świętosław nabywał dzieła teologiczne i ascetyczne, a także życiorysy świętych, bądź inne księgi o treści religijnej drukowane w owym czasie w Kolonii, Norymberdze czy w Strasburgu. Sprowadzane dzieła po pewnym czasie darowywał instytucjom kościelnym, klasztorom, a także Akademii Krakowskiej. W ten sposób, jak sam o tym mówi, chciał dzielić się bogactwem wiedzy z innymi, księga według niego miała być dostępna i użyteczna w kształceniu szerszego kręgu ludzi, a przede wszystkim młodych adeptów wspólnot zakonnych, miała służyć do studiowania na chwałę Bożą i Matki Bożej Rodzicielki.”**

Na ekranie laptopa krakowskiego wykładowcy oglądamy zapis poczyniony własnoręcznie przez Świętosława. Mówi o zakupie księgi za kilka florenów – co nie było wcale kwotą małą. Pismo kaligraficzne, gotyckie. Pytany przez księdza Winklera, dr Stanko charakteryzuje Świętosława – po dukcie używanego pisma – jako człowieka konserwatywnego w tym względzie, lekko pedantycznego, uprządkowanego.

Waław Kolak: „Pismo Świętosława, szczególnie w zapiskach wcześniejszych, jest kaligraficzne, prowadzone dużymi literami, posiada wybitne cechy minuskuły gotyckiej z końca XV w. Niekiedy wykazuje tendencję do naśladowania pisma kodeksów muzycznych, co jest zrozumiałe, jako że Świętosław był także psalterzystą, jak sam siebie nazywał „ribaldus”

I jeśli zastanawiamy się – tu na suszeczkiej farze – co możemy powiedzieć o Świętosławie, dochodzimy do wniosku, że są to małe, ale chyba w miarę konkretne informacje. Ślady po nim nie są wielkie, ale są jakoś czytelne, uchwytne. Jakby zgodnie z praktykowaną przez niego cechą roztrępnego milczenia – pozostało akurat tyle, ile trzeba, by powiedzieć tyle, co należy – i nic ponadto. Ale czy w obecnej dobie – gdy na procesach kanonizacyjnych – wymagane są sterty dokumentacji, te ślady, po Świętosławie, nie są zbyt skromne?

Co więc możemy powiedzieć o naszym bohaterze? Że był pobożny – bo jak każdy mansoniarz nieustannie się modlił, to było treścią jego życia, powołaniem. Otoczony był nimbem świętości – ze świątobliwymi mężami się zadawał, ze świętości słychał, choć sam świętym ani błogosławionym jeszcze nie jest. Miał jakiś jednak charyzmat w tym względzie, bo wyróżniał się z grona innych jakąś szczególną pobożnością – podkreślił suszecki proboszcz, który kilka dni później poinformował mnie, że znalazł informację o tym, iż Świętosław był „ojcem duchowym” innego średniowiecznego kandydata na ołtarze. Asceta, surowy zwłaszcza dla siebie. I uduchowiony, wykształcony – bo posiadał bibliotekę. Wiadomo, że był hojny, bo przecież „rozdawał” tę wiedzę, a było to kosztowne – w tym momencie nasza rozmowa skręca na temat kim był Świętosław – czy synem bogaczy – bogatych mieszczan, szlachty, czy też może miał możnych sponsorów, wspomożycieli? Nie należało to wcale do rzadkości. Nasz przewodnik po średniowieczu, dr Przemysław Stanko, zwraca uwagę na powszechną przemianę duchowości pod koniec XV wieku, na wzrost pobożności, podaje tu przykład suplik, które trzeba było osobiście przedstawić Ojcu Świętemu, bądź też dokonać stosownej, wcale niemałej opłaty za ich dostarczenie. Suplik w tym czasie było wiele, od przedstawicieli wszystkich niemal stanów, dotyczyły rzeczy – powiedzielibyśmy dzisiaj – błahych, które jednak uwiierały sumienia ówczesnych ludzi, świadczyły o ich wrażliwości.

– Odnoszę wrażenie, że dawniej ludziom bardziej się chciało wierzyć – to usłyszeliśmy.

Jednak mimo tego, że roboty przy Świętosławie na pewno jest na lata, jakoś nie widzę zniechęcenia po moich współrozmówcach. Pan Alojzy Kuś, dziarski 80-latek, który niedawno spisał dzieje Suszcy i wspominał o Świętosławie, którego sprawa leży mu na sercu, obiecał od razu przedstawić usłyszane informacje „odpowiednim czynnikom”. Bo Świętosława trzeba propagować.

– *Jego wizerunek jest w naszym kościele, przy bocznym ołtarzu, koło konfesjonalów, a witrażyk ze Świętosławem jest też w ministranckiej zakrystii* – informuje nas ksiądz Winkler, który

w sprawie beatyfikacji Świętosława wielokrotnie wydzwaniał już do krakowskiej kurii. Ale pan Alojzy myśli z rozmachem.

– *A może by tak rondo Świętosława? – zastanawia się. – Bo jeżeli ma coś z tego być, trzeba sprawę kultu Świętosława nagłośnić, poinformować społeczeństwo* – dba o to jako były, długoletni sołtys. To ważne, by ludzie wiedzieli, na czym stoją. Nasz krakowski gość podpowiada, że można i trzeba wyłożyć księgę, do której powinno się wpisywać łaski doznane z pomocą Świętosława. I można, i trzeba modlić się do niego, a raczej w intencji jego rychłej beatyfikacji, wyniesienia na ołtarze. Zresztą to się już dzieje. Portrety Świętosława wiszą w Bazylice Mariackiej, jeden w zakrystii, kolejny przy wejściu, obok kaplicy Matki Boskiej Jasnogórskiej, gdzie ciągle odbywa się adoracja, czuwanie modlitwne. Świętosław jest tego Milczącym świadkiem. A w kościele Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu znajduje się obraz Łukasza Porębskiego, zwany „Felix saeculum Cracovia” (*Szczęśliwy wiek Krakowa*), na którym znajduje się wizerunek św. Stanisława Kazimierczyka wśród innych świątobliwych tego czasu mężów: Świętosława Milczącego, św. Jana Kantego, św. Szymona z Lipnicy i Michała Giedroycia.

Kult Świętosława trwa też w Sławkowie – gdzie nieuprawnienie co prawda, ale zgodnie z wielowiekową tradycją – uważa się go za błogosławionego (co znajduje odbicie w publikacjach o przeszłości tego miasta). Wielu też mieszkańców Sławkowa nosiło i nosi imię Świętosława.

Kiedy dzwonię kilka dni później do pana Alojzego z bliskiego mi Suszcy, okazuje się, że postanowiono uczcić Świętosława inaczej, godniej nawet. Bo pomysł na nazwanie ronda jego imieniem upadł – zresztą, jak nazwanie Placu Odnowy, co uniemożliwiają podobno unijne przepisy. Mniejsza o to. Pomysł jest o wiele lepszy.

– *Postanowiliśmy* – mówi mi pan Alojzy – *że imieniem Świętosława nazwiemy Bibliotekę Publiczną, na jej 60-lecie. To chyba bardziej będzie pasowało.*

**HAGIOGRAFIA POLSKA: „Zamilowanie do książek, a może także zainteresowanie chronologią i oraz kronikarstwem zyskały mu w Krakowie sławę uczonego, czemu dał wyraz humanista, profesor Akademii Jan z Trzciany pisząc, że był on «doctrina conspicuus»”.**

**R**eczywiście, poświęcenie Świętosławowi gminnej biblioteki może się mu spodobać, w końcu sam upowszechniał wiedzę rozdając klasztorom cenne inkunabuły. Książd Winkler też zamierza wspomnieć parafianom w okresie wielkiego postu o postaci Świętosława, bo jak mówił nam na spotkaniu, to patron na dzisiejsze czasy – milczał, mało, ale

konkretnie mówił, był w opozycji do „świata”, całego tego szumu współczesności, który człowieka przygniata. Wyciszony, skupiony, pobożny, uduchowiony. Te cechy Świętosława zamierzał suszecki proboszcz podkreślić wzym parafianom. I wspomnieć, że był ojcem duchowym jednego ze sług bożych, którego proces beatyfikacyjny aktualnie trwa. Dzieciom zaś chciał przybliżyć Świętosława przez konkurs poetycki.

Działania w sprawie Świętosława nabrały jakoś [same] tempa.

– *Odnoszę wrażenie, że on sam się o to dopomina* – podzielił się wrażeniem suszecki proboszcz. – *Mamy przecież akurat 825 lat od jego śmierci, rocznica która przypadnie 15 kwietnia. Tak się jakoś to wszystko dziwnie zbiega.*

Może odbędzie się wykład o Świętosławie na sesji, którą ma zorganizować tutejszy Związek Górnośląski (a suszeckie sesje naukowe mają swoją długoletnią tradycję). Dobrze byłoby też opowiedzieć o nim parafianom w kościele, tak jak uczynił to dr Stanko nam, na suszeckiej farze.

I nawet, kiedy mówi o tym, jak w przypadku beatyfikacji św. Kingi ludzie wysyłali listy do Watykanu, i do kurii, że taki proces kanonizacyjny trwa latami, dziesiątkami lat, suszczanie się nie zniechęcają. Nawet jeśli ten Świętosław nie pochodził z Suszcy, to i tak jest już nasz. Tutejszy. Modlimy się do niego, czujemy jego obecność, działanie.

Chyba refleksja śp. pana Wacława Kolaka o tej tajemniczej postaci pozostaje wciąż aktualna: „Nie wiemy, z jakiego pochodził środowiska społecznego, szlacheckiego czy mieszczańskiego. Nieznana jest też dokładna data jego święceń kapłańskich. Dobra znajomość łaciny i posiadanie pokażnej biblioteki świadczą o jego wykształceniu. W Krakowie mieszkał w domu przy placu Mariackim należącym do Piotra Salomona – rajcy, bankiera i zarazem kupca, a także bibliofila. Zmarł 15 kwietnia 1489 roku i został pochowany w krypcie pod chórem kościoła Mariackiego”. Ale biografista Świętosława w „Hagiografii...” zaprzecza nawet temu ostatniemu, stwierdzając, że brak bliższych danych źródłowych, także napisu nagrobnego, nie pozwala na odszukanie miejsca jego pochówku. Nawet, że był mansoniarzem nie jest – w świetle „Hagiografii” pewne. Wiadomo, że ukończył jakąś szkołę, ale nie była to Akademia Krakowska, być może jakaś szkoła katedralna, klasztorna bądź nawet prowadzona na wysokim poziomie szkoła parafialna. Nie wiadomo. Pytań, wątpliwości, niejasności jest więcej niż informacji pewnych. Świętosław to fascynująca zagadka. Ni by tyle o nim wiemy, a w zasadzie, wiemy niewiele...

Poza tą jedną datą, datą śmierci, w zasadzie same domysły, legendy. Kim jestes Świętosławie?



# Zatrzymać młodych

– 17 maja rusza kolejna, już siódma edycja Metropolitalnego Święta Rodziny, to impreza, która zdumiewa swoim rozmachem, pani jest jej pomysłodawczynią.

– O powodzeniu tej imprezy zdecydowały przede wszystkim autorytety, które udało się nam pozyskać. Od początku orędownikiem święta w wymiarze metropolitalnym był ówczesny metropolita katowicki arcybiskup Damian Zimoń, a entuzjazm świętej pamięci Krystyny Bochenek wicemarszałkini Senatu zaraził nas chęcią rozszerzenia imprezy i wyjścia poza granice Zabrza. Wszyscy samorządowcy, niejako z obowiązku zajmują się na co dzień rozwiązywaniem problemów związanych z rodziną, jednak pomysł zorganizowania święta podchwycili natychmiast, uważając, że jest to coś wyjątkowego i oryginalnego.

– **Startowaliście z przekonaniem, że to początek cyklu?**

– Pamiętam rozmowę z Krystyną (Bochenek, *przyp. red.*) na lotnisku w Rzymie, bo to właśnie tam rodził się pomysł, myślałam wówczas o zaproszeniu jej do Zabrza na świętowanie z rodziną, wokół rodziny, ale w skromnym miejskim wymiarze...

– **Nie myśląc o kolejnych edycjach?**

– Ani o kolejnych edycjach, ani o przekształceniu święta w metropolitalną impre-

zę, a tym bardziej o tym, że stanie się to w tak błyskawicznym tempie, które przyznaję było wielkim i wręcz niezrozumiałym zaskoczeniem... ale wracałyśmy wtedy od grobu Jana Pawła II, myślę więc, że nie mogło być inaczej. Ten wielki Polak rodzinę miał w sercu. Niejednokrotnie przypominał, że przyszłość Europy idzie przez rodzinę a nawet dalej, że – przyszłość świata idzie przez rodzinę. Te słowa stały się fundamentem scenariusza święta. Atmosfera pielgrzymkowego powrotu do Polski, na Śląsk, czyli miejsca, gdzie w sposób szczególnie czujemy więzi rodzinne, to wszystko sprawiło, że z początkowego pomysłu niewielkiej imprezy zaczął wyłaniać się projekt wykraczający poza granice miasta, a co najważniejsze udało się nim zarazić i to błyskawicznie niemal cały region. Potraktowaliśmy to jako rodzaj wyzwania. W każdej kolejnej edycji jest nas więcej, to ogromnie cieszy. Na tegorocznym spotkaniu organizacyjnym obszerne sala „Benedyktyńka” w Bibliotece Śląskiej z trudnością nas pomieściła. Przybywa samorządów, instytucji, uczelni, ośrodków lokalnych i to jest cudowne. Dla nas Ślązaków rodzina ma wymiar świętości i właśnie dlatego chcemy pokazać wszystkie jej najcenniejsze wartości, jej nieprzemijającą, głęboko zakotwiczoną w tradycji moc tworzenia dobra, jej stabilność, wynikającą z bycia razem.

– **Nie wyłączając ludzi młodych? Przecież oni na pierwszym miejscu stawiają karierę zawodową, tak zwane „ustawienie” się w życiu...**

– Ja widzę to inaczej, uważam, że młodzi ludzie generalnie są orędownikami pozytywnych wartości. Proszę zobaczyć co się dzieje na przykład na spotkaniach młodzieży z Papieżem. Odnoszę wrażenie, że oni czekają na wszelkie pozytywne zawołania, lgną do nich, czują potrzebę jednoczenia się wokół dobrych idei, to nie są pojedyncze jednostki, to są tłumy. Bez względu na wykształcenie czy wyznawany światopogląd, wszyscy jesteśmy przekonani, że od tego, jaka jest rodzina, jaka panuje w niej atmosfera zależy dorosłe życie każdego człowieka. Doświadczenia wyniesione z rodzinnego domu rzutują na to jakich mamy lekarzy, prawników, nauczycieli, księży, polityków...

– **To niezbyt świetlany obraz...**

– A może zbyt szybko dokonujemy ocen i wartościujemy ludzi? Skoro wszystko robimy w pośpiechu, może więc bez zastanowienia także generalizujemy oceny. Staram się nie robić tego pochopnie. Mamy mnóstwo wzorcowych rodzin, z których wychodzą w świat ludzie wewnętrznie bogaci, naładowani najwartościowszymi drogowskazami życiowymi. Oczywiście bywa, że obok nich pojawiają się także ludzie płytki i powierzchowni, ale naszym zadaniem jest pokazywać dobre przykłady, a tych nie brakuje. Przepracowanie i brak czasu na wychowanie dzieci nie jest żadnym argumentem. Rolą rodziny jest wpajanie od najmłodszych lat trudnej sztuki porozumiewania się z otoczeniem, kształtowanie właściwych postaw moralnych i społecznych, uczenie szacunku do drugiego człowieka, miłości, poszanowania... Przyjrzyjmy się naszym rodzicom, czy oni nie byli zapracowani, czy ich życie było łatwiejsze, czy wszyscy byli znakomicie wykształceni i przygotowani do wychowywania? A jednak potrafili wszczepić w nas poczucie godności, które nie pozwala na bylejaką jakość życia. Mogę się zgodzić, że ogólnie panujący pośpiech sprawia, że zdarza się nam pogubić, że czasami zdradzą wpojone przekonania czy wartości, ale podkreślam, to zdarza się – czasami. Rzeczywiście dziś młodzi gonią za sukcesem, toczą walkę o wysoką pozycję w środowisku, aby w nim nie tylko funkcjonować, ale wspiąć się coraz wyżej. Wielu w tym pędzie nawet się zatracza, to jednak tylko utwierdza nas w słuszności i potrzebie organizowania tego święta. Przede wszystkim należy sobie i innym uświadomić jak potężnym bogactwem jest rodzina, jak ogromną wartość stanowi przekazywana z pokolenia na pokolenie wiedza i tradycja, jak cenne są więzi łączące pokolenia, czym jest dla każdego z nas radość ze wspólnego świętowania. Spróbujmy nauczyć się korzystać z tego potencjału. Do tego zachęca Metropolitalne Święto Rodziny. To powrót do dobrych wzorców i obyczajów, one przecież od wieków scalały bliskich sobie ludzi.

– Co, pani zdaniem, zagubiliśmy w tym przyspieszonym, czasem wręcz ekspresowym tempie życia?

– Zaganiani, rozpedzeni nie mamy zwykle czasu, aby wspólnie zasiąść do stołu, jeśli zdarza się przygotować domowy posiłek, co też już należy do rzadkości, to spożywamy go najczęściej osobno. Różne godziny pracy, powrotów ze szkoły, rozliczne zajęcia popołudniowe powodują, że domownicy zasiadają przy stole samotnie. To takie niby-być razem a w rzeczywistości osobno. MSR miało sprowokować do tego, abyśmy się na chwilę zatrzymali i spróbowali dostrzec piękno, które tracimy.

– To, co formalnie wciąż nie udaje się scalić, mam na myśli metropolię Śląska, nieformalnie ale znacznie silniej łączy święto rodziny...

– Taka właśnie jest metropolia, jestem Ślązaczką i wiem, że metropolia to coś więcej niż zapis w ustawie, metropolia to jest to, co... widać z góry. Patrząc na Polskę z lotu ptaka od razu widać najjaśniejszy świecący region. To jest Śląsk, to jest na pewno metropolia. Czy my ją nazwiemy, czy pozostanie bez nazwy, to ona i tak jest. Miasta przenikają się wzajemnie, ludzie przemieszczają się z zachodu na wschód, z południa na północ, nie widać granic między miastami, osiedlami, nie widać, bo ich tam nie ma. A tak przy okazji – ten widok z góry napawa wielką radością. Gdzie nie spojrzeć powstaje coś nowego – drogi, stadiony, baseny, kościoły, szkoły... Kiedyś czekało się na pojedyncze inwestycje latami, teraz ogromne obiekty rosną błyskawicznie, żebyśmy tak jessekty umieli się z nich cieszyć.

– **Malkontentstwo mamy w naturze...**

– Kocham Śląsk, bo tu się urodziłam. Jestem przekonana, że Ślązacy potrafią jednocześnie się wokół wartościowych celów. My to potrafimy. Proszę przyjrzeć się rozmaitości ofert podczas Metropolitalnego Święta Rodziny. Koncerty, wystawy, spotkania, festyny, pikniki, sympozja, konferencje. A wszędzie tłumy.

– **Nie w każdej rodzinie panuje nastrój do świętowania...**

– To prawda, dziś śląskiej i nie tylko śląskiej rodzinie nie jest łatwo, ale niezwykle dramatyczna jest groźba nadchodzącego niżu demograficznego. Chcemy więc podczas naszego święta, poprzez pokazywanie radości jaką daje rodzina, nieporównywalnej z żadną inną, powiedzieć naszym młodym – nie bójcie się podejmować tego wyzwania. Wszystkich nas niepokoi fakt, że młodzi Polacy o wiele chętniej zakładają rodziny, nawet wielodzietne, w Anglii, Irlandii, Francji, w Niemczech niż w naszym kraju. To bolesne zjawisko. Oznacza, że nie odrobiliśmy jakiejś lekcji, że politycy kolejnych rządów nie dostrzegają zagrożenia, nie tworzą długofalowej polityki rodzinnej. Młodzi nie czują się bezpiecznie, brakuje mieszkań, a środki niezbędne do założenia i utrzymania rodziny bywają niepewne. Sytuacja staje się dramatyczna, dane statystyczne biją na alarm. Jeśli nie

stawimy czoła tym problemom, wkrótce staniemy przed ogromnym niżem demograficznym. To brutalna informacja, ale za niedługo nie będzie miał kto pracować na nasze emerytury. Dziś my pracujemy na siebie i na tych, którzy nas wychowali, a kto będzie to robił na nas?

– **Dobrze wykształcona młodzież ucieka za granicę...**

– Otworzyliśmy młodemu człowiekowi drzwi do Europy. To bardzo dobrze. Jedź, kształć się, nawiązuj nowe kontakty, przyjaźnie, ale wracaj do domu, tu na ciebie czekają, tu się wychowywałeś, tu jest ten skrawek ziemi, na którym na pewno możesz liczyć na drugiego człowieka. Europa jest piękna, wszyscy lubimy korzystać z możliwości jej zwiedzania czy uczenia się. To wszystko jest cudowne, tyle tylko, że zanim staniemy w jednym szeregu z krajami wysokorozwiniętymi musimy pokonać nadal jeszcze daleką i trudną drogę. Kto ma tego dokonać? Dobrze wyedukowani ludzie wyjeżdżają na Zachód, gdzie stają przy przysłowiowym zmywaku, zapominając o dyplomie. Wykształcenie, które zdobyli tu, w kraju po prostu się marnuje. Czy nie żal pieniędzy podatników? Czy nie żal wysiłku rodziców, którzy zostają osamotnieni, choć niejednokrotnie sami namawiali swoje dzieci do wyjazdu, nie przewidując jednak, że to będzie podróż bez powrotu?

– **Jak ten problem rozwiązać?**

– To zadanie rządu, niezbędne są i to jak najszybciej nowe rozwiązania systemowe. Zwiastunem, który nie ukrywam bardzo mnie cieszy, jest zainteresowanie się tym problemem prezydenta Bronisława Komorowskiego, co widać w programie *Dobry klimat dla rodziny*. To pierwszy pozytywny sygnał i krok do zintegrowania wielu rozproszonych inicjatyw zmierzających do stworzenia stabilnego fundamentu, tak prawnego jak i gospodarczego, który zapewni młodym ludziom poczucie bezpieczeństwa i odpowiednie warunki ekonomiczne. Najważniejsze, że coś drgnęło w tej materii, że tworzy się klimat a to wspomaga działania i wyzwala inicjatywę. Pierwsze efekty można już dostrzec, nie możemy przecież nie zauważać tego, co już zostało zrobione i co się robi. My jak się czasami nakręcimy, to nie przestajemy narzekać, a przecież mamy już chociażby urlopy tacierzyńskie, mamy karty dużych rodzin. Trzeba jednak robić znacznie więcej. Chociażby uwolnić od podatku VAT ubranka dla niemowląt, obuwie dziecięce, wprowadzić ceny preferencyjne na podręczniki szkolne itd. Podczas ubiegłorocznej konferencji, która odbywała się w ramach MSR mieliśmy okazję przekonać się, jak radzą sobie z tymi problemami w Hiszpanii, Francji, Irlandii, słuchając o rozwiązaniach jakie w tych krajach zostały wprowadzone dla wspierania rodziny, przyznaję – musieliśmy się wstydić. Jakże nam do nich daleko. Zastanawiam się, co takiego jest w naszym kraju, w którym nie tylko rozumiemy wartość, jaką jest rodzina, my ją cenimy, szanujemy, stawiamy na pie-

destale, a jednocześnie nie potrafimy skorzystać z dobrych, wypróbowanych praktyk naszych przyjaciół w Europie.

– **Politycy o konieczności wspierania rodziny mówią dużo, szczególnie przed wyborami...**

– Dlatego tak ważne jest kogo wybieramy, to naprawdę muszą być ludzie odpowiedzialni i najlepsi, a my nie możemy ich rozliczać pod koniec kadencji, ale od samego jej początku.

– **Na co w Zabrzu może liczyć rodzina?**

– Mamy kartę „Rodzina na pięć +”, program skierowany do rodzin, w których jest troje lub więcej dzieci, do rodzin zastępczych oraz podopiecznych placówek wychowawczych. Zaczynaliśmy od 50-procentowych zniżek w miejskich instytucjach kultury i rekreacji. Z czasem zaczęli dołączać kolejni partnerzy różnych branż, m.in. księgarnie, punkty gastronomiczne, fryzjerzy, sklepy z zabawkami, dziecięcymi ubrankami, Mc Donald's, Śląski Ogród Zoologiczny... lista wciąż rośnie. Rodzinom wielodzietnym oferujemy „Kartę dużych rodzin” a poprzez Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie wspieramy, na ile nas stać tych, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. To nasz obowiązek.

– **Z kopalniano-hutniczego miasta, Zabrze zmieniło się w...**

– ... miasto bardzo przyjazne dla każdego, szczególnie dla mieszkańców, którzy nie powinni mieć problemów w znalezieniu tego, co lubią, począwszy od oferty kulturalnej: Teatr, Filharmonia, Muzeum, Dom Muzyki i Tańca, Kopalnia Guido, Sztolnia Dziedziczna. 65 lat istnienia Górnika Zabrze procentuje piłkarską tradycją, zarówno wśród zawodników, jak i miłośników piłki nożnej, mamy świetnie prosperujące kluby piłki ręcznej, baseny, ścieżki rowerowe, pełne urokliwej zieleni miejsca spacerowe, parki, przepiękny ogród botaniczny – moje ulubione miejsce. Wielu mieszkańców starszego pokolenia patrzy z sentymentem na Kopalnię Makoszowy, hutę, kombinat koksochemiczny, gdzie przepracowali całe swoje zawodowe życie, wprawdzie zakłady te funkcjonują nadal, ale są to już zupełnie inne obiekty. Niemniej jednak to właśnie dzięki nim miasto się przeobraziło i zmieniło nie do poznania – to ich historią pisze się historia Zabrze. Tu rozwija się Polska Akademia Nauk, do specjalistów światowej sławy Śląskiego Centrum Chorób Serca przyjeżdżają ludzie z całej Polski i nie tylko z Polski. Oferta edukacyjna dla młodych jest bardzo różnorodna: Politechnika Śląska, Śląski Uniwersytet Medyczny, Szkoły Języków Obcych i nasze najnowsze nabytki: Wydział Inżynierii Biomedycznej Politechniki Śląskiej, Akademia Wychowania Fizycznego, Wyższa Szkoła Techniczna... To także duży i atrakcyjny obszar sprzyjający rozwojowi każdej przedsiębiorczości. To tylko niektóre z odpowiedzi Zabrze i jak tu jednym zdaniem odpowiedzieć na pytanie – jakie to miasto?

# Rodzina miłością wielką

**4 marca w Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbyło się pierwsze spotkanie organizacyjne 7. edycji Metropolitalnego Święta Rodziny, które w tym roku zainaugurowane zostanie 17 maja i potrwa do 1 czerwca. Tegorocznemu cyklowi imprez przyświecać będzie myśl przewodnia „Rodzina miłością wielką”, nieprzypadkowo zbieżna z hasłem ogłoszonego w trzech diecezjach metropolii górnośląskiej (diecezji gliwickiej, archidiecezji katowickiej i diecezji opolskiej) Roku Rodziny. Patronat honorowy nad Świętem sprawują: metropolita katowicki bp Wiktor Skworec, ordynariusz opolski bp Andrzej Czaja i ordynariusz gliwicki bp Jan Kopiec, koordynatorami są Małgorzata Mańka-Szulik – prezydent Zabrza i Józef Sebasta – marszałek województwa opolskiego.**

szere z powodu braku odpowiedniej ilości miejsca, a po drugie, aby nie psuć niespodzianki, wszak największym problemem dla uczestników imprezy będzie zapewnienie odpowiedniego wyboru; gdzie iść, gdzie jechać, z czego zrezygnować? Miła łamigłówka, dużo zabawy, ale będzie też bardzo poważnie, na przykład podczas XXIII Piekarskiego Sympozjum Naukowego w Piekarach Śląskich czy w Centrum Edukacyjnym im. bł. Jana Pawła II w Gliwicach...

Arcybiskup Wiktor Skworec z nieukrywana satysfakcją podzielił się z zebranymi kilkoma refleksjami z wizyty „Ad limina Apostolorum” w Watykanie. 7 lutego podczas audyencji z wszystkimi członkami Konferencji Episkopatu Polski znalazła się również okazja, aby przekazać Ojcu Świętemu informacje o śląskim święcie rodziny. W li-

ście (*Ai Presuli Della Conferenza Episcopale Di Polonia*), który w ostatnim dniu wizyty Papież wręczył polskim biskupom, wiele słów dotyczy rodziny i zadań stawianych duszpasterzom. Czytamy w nim m.in.: *...trzeba postawić sobie pytanie, jak udoskonalić przygotowanie młodych do małżeństwa, tak aby mogli coraz bardziej odkrywać piękno tej więzi, która – mocno oparta na miłości i odpowiedzialności – może pokonać próby, trudności, egoizmy przez wzajemne przebaczenie, naprawiając to, co grozi rozbitciem i nie popadając w pułapkę mentalności odrzucenia. Trzeba postawić sobie pytanie, w jaki sposób pomóc rodzinom żyć i docenić zarówno chwile radości, jak i chwile bólu i słabości.*

„Rodzina miłością wielką” to także wyzwanie dla nas wszystkich – stwierdził abp Skworec – którzy możemy coś zrobić dla niej z miłością, każdy na płaszczyźnie swojego działania, stowarzyszenia, samorządu, mediów... zachęcam do tego gorąco.

Prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik przypomniała, że czas świętowania ma także uzbroić wszystkich w głębokie przekonanie, determinację i skuteczne działania w ciągu całego roku, w każdym z 365 dni, podczas których przychodzi się zmagać z rzeczywistością.

Gospodarz gościnnej Biblioteki Śląskiej profesor Jan Malicki z dużą obawą i niedowierzaniem przyjął wiadomość o ewentualnym przeniesieniu w przyszłym roku spotkań organizacyjnych Metropolitalnego Święta Rodziny i pospiesznie zadeklarował udostępnienie największej w obiekcie sali Parnassos, przypomniał także o stale wzbogacającym cyfrowym archiwum rodzinnym, pomysły, który przed laty zainicjowali pracownicy śląskiej księżnicy i jak przystało na kustosa dorobku kulturalnego zapowiedział przygotowanie w postaci odrębnej publikacji pełnej dokumentacji poszczególnych edycji (z echemi prasowymi także spoza regionu).

Może więc lepiej nie planować urlopu w drugiej połowie maja, szkoda byłoby o święcie czytać tylko w gazetach, o wiele milej skorzystać z oferty i spędzić ten czas z rodziną. Do zobaczenia na Metropolitalnym Święcie Rodziny!

MARIA SZTUKA

Przestronna „Benedyktynka” z trudem pomieściła gości przybyłych na spotkanie. Wiceprezydent Katowic Krystyna Siejna uspokajała zebranych, zapowiadając gotowość udostępnienia w przyszłym roku pomieszczeń Międzynarodowego Centrum Kongresowego. Spoglądając na listy dołączających do kolejnych edycji, propozycja zdaje się być całkiem realna. Bo też i Metropolitalne Święto Rodziny ma niezwykłą energię i moc przyciągania, ale przede wszystkim zarażania radością współuczestniczenia w tej największej imprezie w regionie. Każdego roku włączają się w to, spontanicznie integrując się grono, coraz to nowi partnerzy: gminy, miasta, instytucje kultury, zespoły, stowarzyszenia, osoby fizyczne, duszpasterze, uczelnie, szkoły, media...

W liście arcybiskupa Wiktora Skworca, metropolity katowickiego, i prezydent Zabrza Małgorzaty Mańki-Szulik, czytamy m.in. *Wspólnymi siłami pragniemy zachęcić wszystkich ludzi dobrej woli do pogłębienia spojrzenia na rodzinę, która jest nie tylko podstawową komórką społeczną, ale również – zgodnie z Bożym zamysłem – właściwym środowiskiem osobowego rozwoju człowieka. Przez umacnianie wzajemnej miłości, pielęgnowanie wierności, uczciwości i otwartości na nowe życie, małżonkowie budują prawdziwą wspólnotę osób, czyli zdrowe społeczeństwo.*

Tegoroczny program trudno będzie zmieścić na jednym afiszu, na zgłoszone już propozycje ledwie wystarcza miejsca a zapowiedzi jest jeszcze wiele.

Honory inauguracji przypadają pomysłodawcom imprezy, tak więc 17 maja w Zabrzu, w Domu Muzyki i Tańca odbędzie się uroczysty koncert otwierający 7. Metropolitalne Święto Rodziny. W niedzielę 18 maja w trzech katedrach: opolskiej, gliwickiej i Chrystusa Króla w Katowicach gościć będą pary, świętujące jubileusze małżeńskie, począwszy od tych skromnych kilkunastoletnich a skończywszy na... 60-letnich a może i więcej. Jak podkreślał Metropolita Katowicki, uroczystości te honorują ludzi, którzy czasami heroicznie trwają w związkach, wychowują dzieci, kształtują naszą śląską ojcowiznę, służą ojczyźnie.

O tym co będzie się działo przez następne dwa tygodnie pisać nie można, po pierw-



Koordynator Metropolitalnego Święta Rodziny prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik i metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworec, patron honorowy



Przestronna „Benedyktynka” z trudem pomieściła gości przybyłych na spotkanie

Zdjęcia: UM Zabrze



8 marca 2014 roku

W te dni wszyscy obserwujemy, jak szybko świat może stanąć na krawędzi katastrofy, kiedy spod kontroli wymyka się szaleńcy z bronią jądrową.

Jeszcze przed dwoma tygodniami byliśmy gotowi przyjąć pośmiertnie do szeregów naszego centrum wszystkich bohaterów kijowskiego Majdanu, ponieważ oddali życie również za nasze statutowe zadania – bronić swobody wyrażania samego siebie, swobody mediów oraz imperatywu swobody krytykowania rządów, administracji i instytucji.

Jednakże, kiedy za zasłonę historii odszedł Wiktor Janukowycz, zaś na pierwszy plan wyszedł jego inspirator – Władimir Putin, szczególnie symbolicznego znaczenia przybrał inny obowiązek członków PENu, mianowicie: „przeciwstawiać się takim wadom swobodnych mediów jak zakłamane publikacje, świadome kłamstwo oraz przekraczanie faktów w politycznym lub prywatnym partykularnym celu”.

Wojna informacyjna, rozpętana przez Kreml wobec Ukrainy, przerasta wyobraźnię. Przekraczanie faktów, świadome kłamstwo, obłudna interpretacja wydarzeń, podsycanie nienawiści i niskich instynktów – wszystko to pracuje dla tworzenia obrazu, stworzonego by usprawiedliwić wprowadzenie rosyjskich

## Odezwa Ukraińskiego PEN Clubu w sprawie zagrożenia światowego porządku

wojsk na ukraińskie terytorium oraz rozczłonkowanie Ukrainy, gdyby nie udało się rozprawić z jej niepodległością w ogóle.

Krzywe zwierciadła obłudy wytworzyły radykalnie odmienny widmowy świat, w którego realność w końcu uwierzyli sami jego twórcy. Wraz z tym, do światowej polityki weszło wielkie zburzenie sensów, ponieważ wydaje się, że jednakowe słowa i definicje tak naprawdę oddają odmienne realia.

Dla bezpieczeństwa światowego i pokoju może to stać się nawet bardziej przerażające, aniżeli obecność broni jądrowej. Albowiem ta może służyć jeszcze jako narzędzie wzajemnego wstrzymywania zbrojnych działań, podczas gdy obłuda, przeciwko której nie wynaleziono odtrutki prawdy, staje się bronią niekontrolowanego porażenia masowanego.

Składamy na ręce Międzynarodowego PEN Clubu oraz wielu narodowych PEN-centrów podziękowania za ich wsparcie, skierowane do nas. Wasza szczerza troska o losy naszego kraju jest

dla nas wielkim duchowym wsparciem. Ważna dla nas jest również trwoga, która niefałszowanie brzmi również w orzeczeniu Rosyjskiego PEN-centrum.

Tak, pod ostrzem skalpela geopolitycznego tym razem jest Ukraina. Wszyscy ze zmartwieniem śledzimy wydarzenia na Krymie, które mogą zniszczyć pokojowe współzycie naszych obywateli – etnicznych Tatarów krymskich, Rosjan i Ukraińców.

Wraz z tym mamy świadomość, że dzisiaj tną „do żywego” nie tylko Ukrainę, lecz także cały system porządku międzynarodowego. Od problemu wewnątrzukraińskiego świat może jeszcze odzębnić się – przecież, cierpią, niestety, nie tylko w Ukrainie. Jednak, gdyby świat odzębnił się od podstawowych zasad porządku międzynarodowego oraz od wartości, które leżą u podłoża ludzkiej cywilizacji, nad światem zapadnie zmrok.

My, członkowie Ukraińskiego PEN-centrum, prosimy swoich kolegów oraz wszystkich ludzi dobrej woli: bójmy się niedocenić zagrożenia! Wpływajmy na rządy swoich krajów! Dziś popelniono zamach nie tylko na spójność terytorialną Ukrainy, lecz również na spójność podwalin porządku światowego!

MYROSLAW MARYNOWYCH  
Prezydent Ukraińskiego  
PEN-centrum

Radzionków, 6 lutego 2014 r.

Redakcja miesięcznika „Śląsk”

Postanowiłem zwrócić się do Państwa w celu poruszenia problemu, który dotyka nie tylko nas, ale wszystkie muzea, zabytki i placówki kultury.

Jak w dzisiejszych czasach zainteresować dzieci i młodzież kulturą i historią, kiedy to wolne chwile wolą spędzać w wirtualnym świecie? Coraz trudniej jest zaszcześcić w nich chęć odkrywania świata, a przecież elementem poznania jest nie tylko sucha informacja. Ważne jest, aby miały możliwość obejrzenia, dotknięcia przeszłości. Nie można pozwolić naszym pociechom na spędzanie dzieciństwa z myszką i klawiaturą w dłoniach. Warto pozostawić im wspomnienia na długie, wcale niełatwe lata życia. Z drugiej strony należałoby nauczyć ich zwiedzania, turystyki – tak aby ich zainteresowania mogły w przyszłości pozwolić na zachowanie dziedzictwa kulturowego, wspieranie rodzimej kultury.

Szkoła nie tylko uczy dzieci, ale musi je także ukierunkować, by mogły się odnaleźć w dorosłym życiu. Cały świat dba o elity już od najmłodszych lat. W większości krajów europejskich młode pokolenia nie mają utrudnionego dostępu do placówek kulturalnych, w których nie tylko warsztaty, ale także zwiedzanie mają nieodpłatne. To właśnie te najmłodsze pokolenia są naszą przyszłością oraz nadzieją kultury i turystyki. Nie jest prawdą, że młode pokolenie znajduje pracę w produkcji – wszystkiego jest już pod dostatkiem. Kraje azjatyckie produkują w cenach, z którymi nasi przedsiębiorcy nie są



w stanie konkurować, dlatego nasze zakłady są zamykane, a fachowców ubywa. Powinniśmy z większą troską podejść do kształcenia i wychowania najzdolniejszych dzieci. Pozostałych trzeba nauczyć pracy i szacunku do niej. Ponieważ 80% rynku pracy będzie skupiało się na wzajemnych usługach, najważniejszy jest szacunek do siebie i wobec innych.

Moim zdaniem jedyną szansą na zwiększenie liczby tych najmłodszych turystów to dofinansowanie lekcji muzealnych w obiektach. Bardzo smutny jest fakt, że są dzieci, które z przyczyn braku funduszy nie mogą uczestniczyć w zwiedzaniu z pozostałymi dziećmi.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak trudno zdobyć fundusze i zorganizować wyjazd dla dzieci. Niejednokrotnie potrzeba do tego wykwalifikowanych specjalistów, których usługi nie należą do tanich. Jednocześnie absurdum praw, które miały przecież chronić publiczne finanse przed nadużyciami jak choćby trudności z przesuwaniem środków czy ograniczenia w możliwościach ich wydawania powodują, że dofinansowania przerna-

zione są na rzeczy niejednokrotnie mniej potrzebne wyłącznie po to, żeby pieniądze nie przepadły. Inwestycje miejskie na infrastrukturę są finansowane ze środków unijnych pod warunkiem wykorzystania ich na tzw. projekty miękkie. Mają one dotyczyć mieszkańców obszaru, który obejmuje inwestycja, a dokładnie inicjatyw mających na celu zaktywizowanie ich kulturowo i społecznie.

Są jednak przeznaczane na różne kursy i szkolenia, a zapomina się o potrzebie obcowania z kulturą. Te fundusze nie mogą być przeznaczane na wejścia do muzeów, teatrów czy innych tego typu instytucji. Dla tego też uważam, że powinniśmy postarać się wspólnymi siłami wywrzeć presję na urzędach, aby część pieniędzy była przeznaczana na finansowanie wstępów dzieci i młodzieży do placówek kultury. Przykładem wykorzystania funduszy unijnych niech będzie Miejski Zespół Jednostek Oświatowych w Knurowie, któremu udało się otrzymać dofinansowanie z projektu Europejskiego Funduszu Społecznego, m.in. na uczestnictwo w wyjeździe do naszego muzeum około 600 dzieci, również tych z ubogich rodzin, które bez tego nie miałyby szans na taką wycieczkę.

Jak widać warto starać się i szukać rozwiązań, zwłaszcza jeśli na celu mamy dobro najmłodszych.

Dlatego liczę na Państwa zainteresowanie problemem i zaangażowanie.

Z wyrazami szacunku  
PIOTR MANKIEWICZ  
Właściciel Muzeum Chleba, Szkoły  
i Ciekawostek

## Niebo nad Krakowem

(z okazji kanonizacji BŁ. Jana Pawła II)

*Z chęcią wtrącę go do lochów Watykanu,  
żebym miał z kim prowadzić wieczorne dysputy.*

(Jan Paweł II o Leszku Kołakowskim,  
„Kwiatki Jana Pawła II”, Kraków 2005)

Pod oknem na Franciszkańskiej tłum krzyczy  
żeby Kardynał puścił Papieża  
(całe wieki miną nim Go puści)  
Tłum krzyczy żeby został z nimi  
A On nareszcie się zgadza i  
zostaje na dwie długości wieczności  
z jedną niekończącą się dysputą o:  
– zbawieniu niewierzących i wszystkich pozostałych  
– wspólnym niebie dla ludzi, zwierząt, roślin a nawet wirusów  
– zaginionej Ewangelii o śmiechu Jezusa  
– rozszyfrowaniu kodów da Vinci, da Gamy, da Venosy  
– najlepszej z możliwych interpretacji chorału gregoriańskiego

Właśnie z Tyńca dobiega silentium sacrum  
mieszając się z basso continuo dzwonu Zygmunta.  
Wisła jak zwykle zatrzymuje się  
na nadejście kolejnej wielkiej chwili

\* \* \*

Tak zwana medytacja przy biurku:  
mój najnowszy nienapisany wiersz  
(podążając ze świata rzeczy samych w sobie  
utknął pewnie gdzieś w pół drogi w korku na A4)  
Na zielonej ścianie obok zegara kilka Jego zdjęć –  
Przed wszystkim to z Wadowic  
znad białego mikrofonu  
z tamtym uśmiechem ponaddzwiękowym  
– za chwilę padną słowa, że  
tutaj wszystko się zaczęło  
nawet pierwsza minuta meczu  
o którego wynik do dzisiaj spierają się historycy  
A potem w indeksie oceny celujące z prawa pozarymskiego  
niesztywnego oddychania mózg-mózg  
i radosnej lekkości bytu poza protokołem

\* \* \*

*Cracovia locuta – causa infinita*  
*Kraków przemówił – sprawa nieskończona*  
pozostawiona wypędzonym przez Platona poetom  
którzy schronili się na tutaj na Brackiej, Floriańskiej, Tynieckiej

Rys. Wojtek Lutka



## Błaganie

(po lekturze „Muzyki Środka” Marcina Świetlickiego)

jąkanie  
Się zdań

Nie-wykańczanie zatrważanie  
zamykanie Na

Jakiś czas wieczny  
dokonany Niepoznany

to Przecież niczego  
nie Zmieni (hasło)

przecież niczego Nie zmieni  
(odzew)  
robić – Robaczyć co robaczyć

ściśnięcie zmieszczenie

Się w szopce krakowskiej  
która wielka kultura Do

nieba Spada ucieka  
na Szpitalnej po kolei

klasztor duchaczek  
Słowackiego teatr

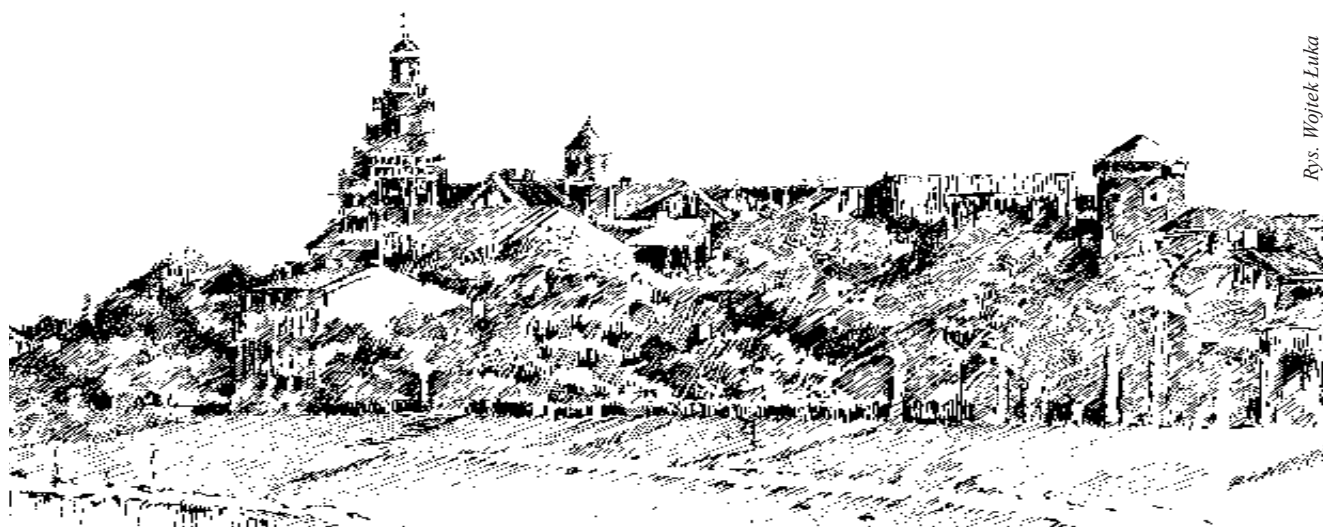
Duchu z Placu Świętego Ducha  
ulituj się Nad wierszami

Życia do życiorysu  
dodaj dolej Domyśl  
danych szacunkowych

## Improwizacja

na temat „The Truth Will Always Be” Pata Metheny’ego

nikogo jeszcze tutaj nie ma – scena przyciemniona  
jak przed stworzeniem światła  
z szeptu wyłoni się za milion lat pierwszy dźwięk i zaraz poruszy  
liście, owady przechodząc na ludzi i ich ułomne stworzenia  
*akord unosił się nad  
wodami rytm  
zanim ktokolwiek  
uderzył w drzewo  
melodia której nikt do  
dzisiaj nie uwolnił z  
ciszy absolutnej  
ktoś  
jednak zaczął grać w obcym do  
tej pory języku nie myśląc o miłości  
cały czas myśląc o miłości  
w ten oto sposób minął  
dzień pierwszy przed  
nastaniem ludzkości  
za chwilę nikt nie  
wygłosi jeszcze  
wykładu o prawdzie która  
ukryła się między dźwiękami  
za chwilę powstanie pierwsza  
na świecie  
orkiestra symfoniczna i mantra na  
każdej ze strun gitary  
znikąd donikąd na  
czas przyszły dokonany*



Rys. Wojtek Łuka

*KRYSTIAN HADASZ*



# Młodzieżowy fenomen w kraju nad Renem

KAROLINA  
PAPROCKA

Są wszędzie, choć nie zawsze rzucają się w oczy. Często pozostają nierozpoznawalni w grupie rówieśników. Robią to, co wszyscy: uczą się, studiują, dorabiają, zakochują, kłócą, uprawiają sporty, mają przyjaciół, noszą dzinisy i zakładają profile na Twitterze. A jednak są inni. Przychodzi taki moment w trakcie spotkania, kiedy odkrywają twarz, pokazują, kim są, mówią o tym, otwarcie. Wtedy już nie można mieć wątpliwości: to „jeden z nich”, to „jedna z nich”.

Piątek, wieczór. Do podmiejskiego pociągu wsiadają dwie dziewczyny i dwóch chłopców. Ze śmiechem padają sobie w objęcia. Robią trochę radosnego zamieszania. Rozmawiają po niemiecku, głośno, żadne zapadające w pamięć tematy. A jednak oni sami zapadają w pamięć. Są inni.

Czerwcowe przedpołudnie, Polonijny Ośrodek w głębi Niemiec. Od kilku dni trwa kalendarzowe lato, ale jest zimno, przeraźliwie zimno, deszcze leje jak oszalała a murawa zdążyła przybrać postać bagna, w którym już nie tylko można się utulić, ale wręcz utonąć. Przy kilku stanowiskach stoją młodzi ludzie. Pomagają świeżo przybyłym, informują,

kierują nadciągającym tłumem. Pytam jedną z dziewcząt ile ma lat. 15. Jest jedną z nich. Jest... inna? Pomału zaczynam się zastanawiać, czy jest to właściwe określenie.

Dochodzi dwunasta w nocy. Światło zgaszone, kilka świeczek. Nikt nie tańczy... to nie jest dyskoteka. To kaplica. W środku klęczy kilkadziesiąt młodych osób, średnia wieku 16-17 lat. Za kilka godzin w tym samym miejscu, pociągnięci przykładem jednej z dziewcząt, długowłosej blondynki, zatańczą spontanicznie do słów młodzieżowej piosenki.

Środek upalnego lata. Przez plac przed Ośrodkiem biegnie śliczna dziewczyna, bosą. Za nią młody chłopak. Na oko wyglądają, jakby dopiero co przekroczyli próg pełnoletności. Młodzieniec ma w ręku butelkę z wodą, którą zamierza wylać na swoją towarzyszkę, gdy ta z wielkim piskiem ucieka. Na mój widok zatrzymują się. Wykorzystuję moment ciszy i proszę ich o drobną przysługę, o znalezienie pewnej osoby i przekazanie jej wiadomości. „Dobrze, proszę pani” – słyszę odpowiedź. Chłopak odstawia narzędzie tortur, razem idą szukać. Jeszcze długo będę miała pod powiekami ich widok. Może nawet nigdy go nie zapomnę...

Pytam duchowego ojca i opiekuna grupy, księdza Bogdana Renusza, chrystusowca: dlaczego oni są inni? Dlaczego są tacy, że nie sposób oderwać od nich wzroku, chce się być blisko, cieszyć ich radością? „Sa młodzi. I szczęśliwi”. Tylko tyle. I aż tyle.

Minie kilka dni, na dworcu w mieście K., dużym, znaczącym w Niemczech ośrodku, widzę inną młodzież. Twarze pokolczykowane w jakiś bestialski, nieludzki sposób, chłopcy w spodniach, których pasek jest na wysokości kolan, dziewczyna z papierosem w ustach, butelką piwa w ręce, wykrzywia się gdy krzyczy na całe gardło przekleństwo. Spoglądam ukradkiem... pomimo mocnego makijażu wydaje się mieć nie więcej niż 15 lat. O tych młodych ludziach wolałabym czym prędzej zapomnieć...

Jan Paweł II mawiał, że młodość ma w sobie ogromny potencjał do czynienia dobra, ale i zła. Młodość może mieć piękne, ale i straszne oblicze. W młodości wszystko jest większe, silniejsze, wyrazistsze, pełniejsze: potrzeba akceptacji, pragnienie uczestniczenia w czymś ważnym, samorealizacji, spełniania marzeń, umiejętność nawiązywania kontaktów, zdolności percepcyjne, ciekawość świata. Czy rozdarte rajstopy i przekleństwa tego dziewczęcia z dworca w mieście K. nie są krzykiem o zauważenie, akceptację, o miłość wreszcie? Może gdyby wszystko w jej życiu inaczej wyglądało, może wtedy byłaby wśród tej „innej” młodzieży?

I która właściwie jest „inna”? I co jest „innością”? Co jest „normalnością”?

## Czego tu szukasz?

Patryk ma 19 lat. Studiuje, trenuje piłkę ręczną. Spokojny, zrównoważony, wysoki, bardzo dojrzały intelektualnie i duchowo. Trafił do grupy dwa lata temu, zachęcony przez pewnego chrystusowca. Podczas pierwszego swojego spotkania wypowiedział zdanie, które zostało zapamiętane i urosło do rangi fundamentalnej prawdy: „to tutaj jest ta normalna młodzież!”...

Ale zaszliśmy od początku. Jest rok 2002. Trzy lata zostały do Świątowych Dni Młodzieży w Kolonii. W ramach bezpośredniego przygotowania do spotkania z papieżem Ośrodek Concordia w Nadrenii Północnej-Westfalii będzie przez trzy kolejne sezony organizował obliczone na wielką skalę Polonijne Spotkania Młodych. Kiedy okaże się, że zapotrzebowanie na PSM nie skończyło się, ale wręcz wzrosło po Dniach Młodzieży, s. Andrzejka Spyra, służebniczka śląska, ówczesna kierowniczka ośrodka zacznie szukać pomocy kogoś, kto razem z nią tworzyłby to wielkie dzieło, od strony logistycznej niemożliwe do ogarnięcia przez jednego człowieka czy nawet kilkusobową grupę. Od tego czasu zaangażowany jest ks. Bogdan Renusz. W tym czasie ilość uczestników PSM wzrasta, rodzi się również idea, aby stworzyć młodzieżowy możliwości spotkania się przez cały rok. „Szukałem was, a teraz wy przyszlście do mnie” – powiedział Jan Paweł II do młodzieży. Papieża

Polaka już nie ma, ale duch jego nauczania nie przeminął. Rok 2008. 16-letnia Julia słyszy ogłoszenie adresowane do polskojęzycznej młodzieży w Niemczech: zaproszenie do grupy Emaus organizowanej przez charyzmatycznego kapłana. Sama jest nieprawdopodobnie żywiołową dziewczyną, roztańczonym i rozśpiewanym żywiołem energii. Z zaproszenia korzysta. To ona jest tą osobą, która za kilka lat spontanicznie zachęci innych do tańca w kaplicy. Od początku opuściła tylko jedno spotkanie. Jak udaje się jej łączyć codzienne obowiązki z odbywanymi się co sześciodni zjazdami? Odpowiedzią jest szeroki uśmiech... Mówi świetnie po polsku, organizuje amatorski kabaret, uczy się, z przyjaciółmi spotyka też poza wyznaczonymi terminami zgrupowań, chodzą razem na imprezy. O sobie mówi, że bez tych spotkań, bez tego, co wnoszą w jej życie, byłaby kimś innym, kimś bez tak silnej wiary i odwagi pokazywania otoczeniu, kim jest i Kto jest dla niej najważniejszy.

17-letni Dominik mieszka w Bochum. Gra na skrzypkach. Długa, zachodząca na oczy grzywka, nie schodzący z twarzy uśmiech. Te spotkania to tylko część jego zaangażowania w życie religijne. Jak łączy je ze szkołą i edukacją muzyczną? Nie pytam, wiem, że dla dziewcząt i chłopców, którzy świadomie przeżywają swoją młodość, doba nie ulega skróceniu przez marnotrawienie czasu. Czy korzystają z portali społecznościowych? Śmiech... no pewnie! Na facebooku jakieś dwa tygodnie przed zjazdem upewniają się, że wszyscy dopiszą, że przyjadą, że będą. Maruderów czasem trzeba dopingować, ale potem nikt nie żałuje. „Tutaj też jest dom” – mówi Julia. Odchodzi radosna. Mam nieodparte wrażenie, że zostawiła mi na zawsze swój uśmiech.

Późny piątkowy wieczór. Około godziny 22 rozpoczyna się Eucharystia. Wszystkie miejsca w kaplicy zajęte. Kilkadziesiąt osób. W sobotę przyjadą ci, którzy dzisiaj nie mogli. Liczba uczestników dochodzi do 100. W ciągu sześciu lat przez grupę przewinęło się ich 500... Na środek wychodzi drobniutka dziewczyna. Buńczuczna grzywka, zero makijażu, wdzęzione blond włosy. Czyta fragment Pisma św. Święta emisja głosu. Doskonałe warunki głosowe. Urodzona lektorka. Następnego dnia zaczepię ją w jadalni. Ma na imię Justyna. Przerzywa na chwilę ścieranie stołów – rozmowa nie potrwa długo, zaraz poderwie się, by pomóc w kuchni koleżance. W tym roku matura. Potem studia, planuje medycynę, w Polsce. Czy będzie to oznaczać koniec z przynależnością do grupy? „Nieeeee.....” – śmieje się. Są tacy, którzy wyjechali do kraju, a nadal przyjeżdżają. „Ja nawet z Afryki tu przyjadę. Może nie na wszystkie spotkania, regularnie, ale chociaż raz, dwa razy w roku”. Mieszka sama z tatusem. Oprócz szkoły ma na głowie prowadzenie domu. Dodatkowe zajęcia z psychologii. W kościele służy jako lektorka i kościelna. Uwielbia podróże i wykorzystuje każdą okazję, żeby zwiedzać świat. Nosi bluzę z napisem „I love Jesus”. Od pewnego czasu prowadzi poważne rozmowy z kolegą z klasy, chce zachęcić go do podjęcia decyzji przyjęcia



chrztu św. Po jej odejściu w mojej głowie tłuką się słowa: „to tak właśnie wygląda człowiek, który jest żywym znakiem Chrystusa na ziemi”.

Na początku to oni byli poszukiwani: młodzi, silni, gotowi służyć, dawać siebie i brać garściami miłość w zamożnym świecie duchowej pustyni. Do nich był skierowany głos: chodź z nami, módl się, pomagaj, pracuj, wierz, bądź sobą w najpiękniejszy z możliwych sposobów. Chodź z nami – do Emaus. „drogi nasze codziennie wiodą do Emaus” – pisał poeta Maciej Kononowicz. Teraz każdy z nich przyjeżdża mając swoje własne powody. Każdy trochę czego innego szuka, pomimo wspólnych celów i założeń. Dla każdego droga do Emaus ma trochę inny przebieg. Czym ta droga różni się od wszystkich innych dróg na świecie? Ano tym, że na niej znajdziesz więcej, niż szukasz.

### Ciemna strona mocy

Nie da się ukryć, poziom rozwyrzenia wśród nastolatków i dwudziestokilkulatków w ojczyźnie Geothego jest dramatycznie wysoki. Pamiętający pruski dryl starsi Niemcy zastaniają oczy, bo oto ich kraj, słynący z porządku i dyscypliny, stacza się w dół. Psycholodzy zalecają jednak ostudzenie nastrojów, zjawisko gloryfikowania poporzedniego i dyskredytowania następnego pokolenia jest obecne we wszystkich epokach, na całej ziemi. Zawsze ci młodzi są w oczach dorosłych i starszych postrzegani jako gorzej wykształceni,



mniej kulturalni, o niższym poziomie moralnym. Kto z nas nie zna zdań w stylu: „za moich czasów to było nie do pomyslenia!”, „co by twój dziadek powiedział!”, „prababka przewraca się w grobie!”, „Spójrzmy jednak, co mówią statystyki: w żadnym państwie europejskim ilość przestępstw nieletnich nie spadła tak mocno, jak w Niemczech. Od ok. 20-25 lat obniżyła się o połowę liczba popełnianych przez nich zabójstw. Politycy, prawnicy, pracownicy socjalni zacierają ręce. Jedni widzą w tym zasługę coraz ostrzejszych sędziów i wzmoczonego poczucia nieuchronności kar, w tym więzienia, inni podkreślą zbawienny wpływ długoterminowej pomocy terapeutycznej udzielanej całym rodzinom, pracy pedagogicznej, odwracania uwagi od negatywnych wzorców, propagowania mody na sport i działalność charytatywną. Rosnące w społeczeństwie mimo tych danych poczucie zagrożenia ze strony „młodych gniewnych” wiązać się ma jakoby z medialną histerią, za którą stoi pieniądź... wiadomo, temat taki jak zabójstwo w szkolnej toalecie czy mobing na obozie kajakarskim zawsze dobrze się sprzedają... A więc jednak sukces!!! Czy na pewno? Jakis czas temu niemiecką i nie tylko niemiecką opinią publiczną wstrząsnęła wiadomość o zaginięciu a potem śmierci Kerstin Heisig, od wielu lat zaangażowanej w walkę z przestępczością nieletnich, zapamiętanej jako osoba o niezachwianych poglądach. Jej książka „Koniec cierpliwości” obala mity i z trudną do przyjęcia bezwzględnością obnaża smutną prawdę o niemieckim nastolatku z nożem w ręku. O liczbach i statystykach Heisig napisała, że wprawdzie nie mogą kłamać, ale od inwencji piszącego zależy, w jakim świetle zostaną przedstawione, jak naciągnięte, jak wreszcie zinterpretowane. „Przestępczość w szkole zmalała o połowę” – ale jeśli była trzykrotnie większa niż w innej przeciętnej placówce, to powodów do dumy jednak nie ma.

„Grzeczność nie jest nauką łatwą ani mąłą”, pisał Mickiewicz. Tu jednak nie o grzeczność nawet chodzi, ale o bestialstwo, nieprawdopodobny poziom frustracji i agresji, o okrucieństwo w wyrafinowanej formie. Jeśli ktoś nie wierzy, niech odwiedzi po zmroku różne dzielnice większych niemieckich miast. Tylko niech nie zapomni nałożyć czapki niewidki, inaczej może być to jego ostatni spacer w życiu. Gdzieś pepkiuje wychowywanie w myśl: „jesteś pepkiem świata i wszyscy, którzy myślą inaczej, są twoimi wrogami”.

A tymczasem... w grupie, o której mowa w tym artykule, młodym ludziom powtarza się bez końca: „twoja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna wolność drugiego człowieka”.

### Geniusz do spraw młodzieży

Kto ma rację? Zwolennicy zaostrezenia kar czy ci, którzy wykazują ich nieskuteczność? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi; obie strony mogą spierać się do końca świata i jeden dzień dłużej.

A gdyby tak zapytać kogoś innego? „Kocham was za to, że jesteście młodzi” – powiedział dwa wieki temu pewien



włoski ksiądz. I kochał naprawdę. Kiedy karał, to z miłością. Z miłością napominał, zapobiegał, radził, troszczył się, dbał, słuchał i rozmawiał. Żył ich życiem – z miłością. Brzmi jak banał? Ale działa! Mowa o św. Janie Bosko. Jego podopiecznymi były dzieci ubogich, włoskich ulic, często recydywisci w wieku 12 lat, bez szans na normalne życie. To on ich wyciągał z dna przestępczości, frustracji i agresji. Skutecznie. Mało jest w historii ludzkości pedagogów, którzy odnieśli równie spektakularny sukces.

Młodzież z Emaus nie ma takich doświadczeń. Większość pochodzi z rodzin prawidłowo funkcjonujących. Ale otoczenie, w którym żyją, wzorce, z którymi konfrontują się każdego dnia, są równie niebezpieczne, jak bezdomność, głód i strach w najuboższych dzielnicach Turynu sto kilkadziesiąt lat temu, w dniu, w którym przybył tam Don Bosko. Emaus nie jest też dla uczestników ruchu piwskim, ale – jak mówią – drugim domem. A jednak istnieje pewne podobieństwo: jest nim podejście do młodego człowieka z miłością. Opiekun grupy Emaus, ks. Bogdan Rensuz, jest stanowczy: „zawsze będę ich bronił, ponieważ to nie oni redagują dla siebie głupie gazety, nie oni kręcą pełne przemocy filmy, piszą podręczniki i układają szkolne programy. Oni wchodzą w dorosłe życie i zastają świat, który kto inny urządził”.

Młodość to te piętnaście minut w życiu człowieka, kiedy wszystkie drzwi są otwarte. Można uczyć się i marzyć o podróżach, uprawiać sport, tańczyć na scenie, pomagać mamie w domu, zaśpiewać w kościele psalm, pójść z przyjaciółmi w góry, siedzieć do rana przy ognisku, zakochać w koleżance i dać jej na urodziny bukiet kwiatów. Można jeszcze zmienić świat na lepsze... A można iść na dworzec w mieście K., wypić, zapalić, zakłać. Napęcać się i spędzić upojną noc pod mostem z kimś, kogo imienia za żadne skarby nie odnajdzie się nazajutrz w pamięci. Można wszystko. Spaprać świat również. Niezależni od siebie socjodolży niejednokrotnie wskazywali, że młodzi ludzie, wychowani w wierze i trzymający się blisko Kościoła, kilkadziesiąt razy rzadziej schodzą na złą drogę. Ks. Rensuz nie zaprzecza: przypadki pobłądzenia były wśród tych, którzy w swoim życiorysie mają przynależność do grupy. Na każdym spotkaniu wspólnota modli się za nich. Najczęściej wracają...

## Świat na „nie”

Maik ma 22 lata, pochodzi z Bremen, studiuje budownictwo. Kiedy zginął w wypadku jego ojciec, zaczął ponownie, po trzyletniej przerwie przyjeżdżać na Emaus. „Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić”. Do powrotu zachęcił go duszpasterz – to z jego powodu zdecydował, że miejscem studiów będzie Aachen. Chciał być bliżej duchownego, któremu tak dużo zawdzięcza. „Emaus to mój sposób na życie”. Grupa nie ma lidera, a jedynie opiekuna w osobie ks. Bogdana, ale jest przyjęte, że starsi pomagają logistycznie i organizacyjnie. Maik przywozi i odwozi innych uczestników swoim autem na dworzec kolejowy, załatwia drobne sprawy. Na pytanie, czy lekcje religii w Niemczech pomagają poznać Boga odpowiada, że wręcz przeciwnie. „Koleżanka studiuje katolicką teologię i twierdzi, że tylko człowiek wielkiej wiary na tych studiach nie stanie się ateistą”.

Patryk z Bonn musi walczyć o szacunek. Wymaga, aby w jego obecności nikt nie ośmieszał i nie obrażał jego uczuć religijnych. „Bywa ciężko” – mówi.

Inny młodzieniec o imieniu Patryk, 20-letni student muzyki i matematyki, na Emaus nauczył się mówić po polsku – w domu nie mówią, tylko „godają”. Gitara, żywy temperament, fantazyjnie zawiązany szalik. „Podczas poważnych rozmów na tematy religijne, kiedy przedstawiam stanowisko Kościoła, napięcie dochodzi czasem do zenitu. Nieraz mam ochotę dać spokój, ale potem myślę: to właśnie moje zadanie, ewangelizować tam, gdzie jestem. Na studiach jest trudniej niż w szkole – ludzie są bardziej skostniaли w swoich poglądach, nie mają wiedzy na tematy religijne, ale uważają, że są najmądrzejsi.”

Olek jeździ na spotkania od dwóch lat, czyli od 14. roku życia. Talent muzyczny – świetnie gra na skrzypcach i gitarze, śpiewa, choć do szkoły muzycznej chodzi zaledwie od kilku tygodni. Genialny samouk. Roześmiane oczy, czarne włosy, urok łobuziaka, wszędzie go pełno. Typ chłopaka, którego wszyscy szczerze lubią. Często nosi emausowską bluzę z napisem „I love Jesus”. Jakiś kolega zapytał: „kochasz Jezusa, czyli jesteś gejem, tak?”. Może nie chciał Olkowi dokuczyć. Może po prostu więcej w swoim życiu słyszał o gejach, niż o Bogu...



## Świat na „tak”

Jak każda grupa, tak i Emaus ma swoje założenia programowe. Swoją historię, swoje miejsce na mapie świata. Gdyby jednak pokusić się o najkrótszą definicję, to śmiało można powiedzieć, że jest nią ten śródtytuł: świat na „tak”. „Tak” dla radości, „tak” dla muzyki, „tak” dla tańca, „tak” dla młodości, „tak” dla hormonów. „Tak” dla nauki, dla zabawy, dla przyjaźni, dla żartów, dla kina, dla ważnych pytań, dla siebie i drugiego człowieka. „Tak” dla Boga.

Olek zapisał na spotkanie swoją mamę. Przyjechała. Do końca życia nie zapomni widoku kłęczących późną nocą w kaplicy kilkadziesiąt młodych dziewcząt i chłopców, w tym swojego syna. „Już nigdy nie będę się dziwić, że tak bardzo chcesz tu przyjeżdżać” – podsumuje.

Maik uważa, że bycie w Emaus mobilizuje do dalszych form działalności w Kościele, zwłaszcza w parafii. W tym roku objął opieką nad „Przystanią”, modlitewną grupą w Aachen.

Dla 19-letniego Patryka wzrastanie w wierze nie ma charakteru rewolucji, to raczej spokojne zdobywanie wiedzy i duchowe umacnianie się. Potrafi precyzyjnie i dojrzałe o tym rozmawiać.

Kasia z Bochum w tym roku zdaje maturę. Planuje studia muzyczne. Uczy się w szkole dla organistów. Na scenie występuje od siódmego roku życia. Kolejna perła we wdzięcznej drużynie ks. Bogdana. Przeżywa swoją młodość ze śpiewem na ustach. Kiedy rozpoczyna w kaplicy psalm, po plecach przebiega ciarki... Takiego głosu nie spotyka się na co dzień...

Ta młodzież nie krzyczy – ta młodzież umie rozmawiać. I potrafi też milczeć. Nie bije – modli się. Nie kopie – po posiłku sprząta za sobą stół. Nie bierze narkotyków. Nie upija się. Szanuje drugiego człowieka i szanuje siebie, swoje ciało, swoją godność. Ta młodzież nie ma tatuży na czole i kolczyków na brodzie. Nosi bluzę i koszulki „I love Jesus”. Można? Można... Tak wygląda świat na „tak”.

Odjeżdżam z tego miejsca uspokojona i pełna nadziei. Nadziei, że przyszłość będzie jednak należała do nich – młodych, gniewnych i... normalnych.

### • Herbert na początek

W debiutanckim i ujmującym tomie *Struna światła* (1956) Zbigniew Herbert napisał takie oto frazy: (...) *dom był lunetą dzieciństwa/dom był skórą wzruszenia/ policzkiem siostry gałęzią drzewa* (...). Szczególną formą przestrzeni o której pisał mistrz wyrafinowanej poezji jest *mieszkanie*, niepowtarzalnym zaś symbolem miejsca pozostaje *dom*, zwłaszcza *dom rodzinny*. Mieszkania na ogół się nie buduje, lecz kupuje czy wynajmuje, natomiast dom, często znaczone historycznie, jest miejscem związanym z rodziną, jej losami i przez nią wznieiony. Dom stanowi zazwyczaj rdzeniowy element *ojczyzny prywatnej, domowizny i heimat* wielu ludzi, czasami nawet kilku pokoleń. Dom miejski to z kolei miejsce narodzin *mieszczanstwa, umarłej*, w czasach realnego socjalizmu, klasy. Mieszkanie rzadziej pełni takie funkcje, stanowi raczej przestrzeń współtworzącą społeczną kategorię *mieszkańców miasta* niżli mieszczan. W dużych zespołach mieszkaniowych, czasami określanymi mianem blokowisk, takie prywatnoojczyźniane traktowanie mieszkania jest utrudnione, aczkolwiek możliwe. Często bowiem jest to budownictwo o skromnych treściach kulturowych i symbolicznych, utrudniające głęboką z nim identyfikację, choć w wielu przypadkach stanowiące, dla dużej liczby ludzi, oznakę wielkiego awansu cywilizacyjnego i życiowego. W wielkich zespołach mieszkaniowych najczęściej spotykam kategorię ludzi, których przed prawie czterdzieci laty określiłem mianem *ludzi bez ojczyzny prywatnej*.

### • Lektura przestrzeni: kody i szyfry

Zarówno mieszkanie, jak i dom stanowią elementy przestrzeni i miejsca ważne w życiu człowieka, ale bynajmniej nie jedyne. Wręcz przeciwnie, istnieje cała sekwencja przestrzeni i zróżnicowane sposoby jej opisywania. Niemal cała przestrzeń, która otacza człowieka jest bowiem plastyczna i można ją adaptować, przyswajając i w rezultacie kształtować. W tym szczególnym procesie przeobrażania przestrzeni ludzie przypisują swoim wytworom funkcje, sens i znaczenia. Nadawanie sensu, znaczeń i funkcji mieszkaniom, budowłom, pomnikom, parkom czy rzekom powoduje, że ich użytkownicy stale odczytują, najczęściej w sposób nie w pełni świadomy, pewne kody i szyfry. A zatem mieszkanie, dom, miasto, wieś czy osada i rozmaite ich przestrzenie stają się komunikatem znakowym dla mieszkańców i przybyszów z zewnątrz. Nie zmienia to jednak faktu, iż mieszkańcy są stałymi, krytycznymi i życzliwymi zarazem, czytelnikami poszczególnych elementów przestrzeni, która ich otacza. Codzienne i stałe jej odczytywanie prowadzi do powstania w umysłach ludzi trwałych obrazów, przekonań, stereotypów i wyobrażeń konstytuujących tak zwane *mapy pamięciowe (mapy mentalne)*. Szczególne



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik  
spóźnionego przybysza

## Doświadczanie przestrzeni

miejsce zajmują w nich kluczowe *punkty orientacji przestrzennej (repery)* takie jak zabytki, pomniki, charakterystyczne budynki, aleje czy wewnętrzne miejskie akweny. To właśnie dzięki tym symbolicznym i niepowtarzalnym elementom przestrzeni miasto jest bez trudu rozpoznawane, a proces identyfikacji jednostkowej i grupowej z nim ułatwiony.

### • Porównanie i mitologizowanie

Zajmowane przez człowieka *miejsce*, ten niepowtarzalny partykularz jest przezeń, świadomie lub nie, porównywany z miejscami przypisanymi innym ludziom, grupom społecznym czy instytucjom. Ten stały proces porównywania prowadzi do wykształcenia, a następnie do utrwalenia pewnych stereotypów. Wyrażają się one najpełniej w jednostkowych i zbiorowych przekonaniach o istnieniu dzielnic dobrych i złych, bezpiecznych i niebezpiecznych, spokojnych i hałaśliwych, tworzących w świadomości ludzi mozaikowy układ przestrzeni miejskiej. Stereotypy te są zbitkami cech urbanistycznych, architektonicznych, ekologicznych i społecznych przypisywanych pewnym miejscom i przestrzeniom. Powstają zazwyczaj, choć nie zawsze, w korespondencji z rzeczywistymi cechami przestrzeni, często jednak je fałszują i mitologizują.

### • Szczury i behawioralne bagno

Trudno w kontekście odczytywania przestrzeni i jej znaczeń, przy zachowaniu wszelkich proporcji i powściągliwości, nie odwołać się do etologicznej koncepcji *behawioralnego bagna*. Pojęcie to wprowadził w 1958 roku amerykański badacz John Calhoun. I choć jego studia dotyczyły zachowań szczurzych, czy szerzej: zwierzęcych w warunkach skrajnego zagęszczenia i braku przestrzeni prywatnej i półprywatnej, to ich konkluzje konfrontować można ostrożnie ze społecznymi i zbiorowości ludzkimi. W odniesieniu do nich termin *bagno behawioralne* oznacza wypaczenie zachowań społecznych spowodowanych zagęszczeniem mieszkania i domu, naruszeniem naturalnych dystansów przestrzennych i zachwianiem intymności i prywatności członków rodziny. Dostrzegając istotę bagna behawioralnego doceniamy także inny wymiar funkcjonowania przestrzeni mieszkania i domu. W istocie jest ona kluczowym obszarem socjalizacji młodego pokolenia, realizacji najgłębszych potrzeb egzystencjalnych, uczuciowych, miejscem tworzenia osobowości, stymulowania postaw i potrzeb. Jednak w około 10-15% mieszkań i polskich domów rozgrywa się piekło przemocy domowej i o fakcie tym nie można zapominać. Mieszkanie i dom mogą być zatem i w zdecydowanej większości bywają miejscem zsakralizowanym, niemal świętym, choć jednocześnie dostrzec w nich można przejawy nikczemności i patologii.

### • Hłasko na zakończenie

Wyjątkową formą przestrzeni jest *przestrzeń prywatna* i jej szczególny rodzaj – *przestrzeń intymna*, choćby pokój sypialny w mieszkaniu. Obie wiążą się z zajmowanym mieszkaniem czy domem. Dostęp do nich jest prawnie i symbolicznie ograniczony, a identyfikacja na ogół głęboka. Mieszkanie stanowi przestrzeń niemal sakralną, w której przebiegają codzienne i świąteczne aktywności człowieka oraz rodziny. Nic zatem dziwnego, iż zadowolenie z tej egzystencjalnej przestrzeni – lub przeciwnie: odczuwany dyskomfort – odbija się nie tylko na losach jej użytkowników, ale również ich gotowości, lub braku, do działań na rzecz najbliższego otoczenia, dzielnicy czy miasta. Przed laty Marek Hłasko napisał o tej intymnej przestrzeni kilka ważnych zdań: *To tak kiedy czasami budują dom i przyjdzie dziecku. I dotknie wilgotnego betonu ręką. Potem w domu mieszkają ludzie, rodzą się i umierają i przychodzą nowi, ale ten mały ślad ręki zostaje na zawsze.*

Felieton powstał  
we współpracy  
z dr hab. Anną Śliz,  
profesorem  
Uniwersytetu Opolskiego

Z TADEUSZEM KIJONKĄ o półwieczu jego działalności jako kierownika literackiego Opery Śląskiej w Bytomiu rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA

Fot. Zbigniew Sawicz



# Byłem patriotą tej sceny!

Owszyskim, jak mówi, zdecydował przypadek. Nie planował pozostania na stałe kierownikiem literackim Opery Śląskiej, miał to być tylko epizod, związek przejściowy. Od tamtej chwili minęło 47 lat! To zaiste rekord godny Księgi Guinessa, wydarzenie nie mające precedensu w żadnym innym teatrze na Śląsku, a zapewne i w kraju.

Opera bytomska stała się dla Tadeusza Kijonki nie tylko miejscem pracy – moż-

na rzecz przez przesady – jego drugim domem, wielką miłością i ogromną pasją, dla której nie skąpi się czasu i sił. Kochał to miejsce i ludzi, których tu spotykał – żył ich sukcesami i przeżywał porażki. O Operze Śląskiej w Bytomiu wie wszystko. Fenomenalna pamięć pozwala mu w każdym momencie rozmowy przywoływać obsady spektakli, daty, nazwiska artystów – reżyserów, scenografów, śpiewaków i solistów baletu. Pamięta wszystko. Historia

Opery Śląskiej nie ma dla Tadeusza Kijonki żadnych tajemnic. Sam jest też jej niezwykle ważną częścią.

Rozmawiamy, przeglądając „dzieło życia” Tadeusza Kijonki – wielką księgę zatytułowaną „Pół wieku Opery Śląskiej 1945-2000”. Co i rusz mój rozmówca zatrzymuje się nad kolejnym, „niezwykle ważnym zdjęciem”, pochyła się nad postaciami w kostiumach, które bezbłędnie rozszyfruje. Wszyscy na tych zdjęciach są dla niego niebywale ważnymi osobami w dziejach tej sceny. Wiedza Tadeusza Kijonki o Operze Śląskiej to nie tylko fakty, premiery, kolejne obsady, to także anegdoty ukazujące czas miniony i charakteryzujące ludzi. To również nieustanne starania o utrwalanie pamięci o tych, którzy tworzyli to zbiorowe dzieło przez tyle lat – od wielkiego Adama Didura począwszy – i rozślawili imię bytomskiej sceny w świecie. To także zdecydowane działania na rzecz stworzenia na Śląsku, w Katowicach – w muzycznym zagłębiu Polski – Teatru Wielkiego Opery i Baletu.

W naszej rozmowie nie może też zabraknąć opowieści o powstawaniu dzieł, do których napisał libretto, jak opera „Wit Stwosz” stworzona wspólnie z przyjacielem, kompozytorem Józefem Świdrem.

15 marca 2014 roku w Operze Śląskiej odbył się benefis Tadeusza Kijonki. Opowieściom o blisko 50 latach tu spędzonych mogłoby nie być końca. Tego wieczoru nie mogło też być się bez ducha poezji autorstwa Benefisanta, pochodzącej z wydanego w ubiegłym roku jubileuszowego wyboru wierszy „Czas, miejsca i słowa”.

\* \* \*

**– Jak to było, Tadeuszu, z Twoją miłością do opery. W wieku 31 lat przeciętny młody człowiek – technik mechanik, poeta, absolwent polonistyki, publicysta, nie jest miłośnikiem opery. Przecież zainteresowania te nie miały oparcia w domu, a w „Twoim” Rybniku nie było sceny muzycznej i podobnych tradycji. Wprawdzie Twoje zainteresowania muzyczne łączyły się z nauką gry na fortepianie, ale opera?**

– Zawsze interesował mnie teatr dramatyczny, a i w latach szkolnych ocierałem się o scenę. Po raz pierwszy byłem jednak na spektaklu operowym, kiedy Warszawska Opera Objazdowa wystąpiła z „Jankiem” Zeleńskiego w Rybniku, w auli Technikum Górniczego. A to jeszcze lata gdy nawet radia w domu są rzadkością i obywamy się radiowezłem i – popularnymi „kołchoznikami”.

**– Miłość do opery od pierwszego... usłyszenia?**

– O nie! Ale byłem przecież uczniem rybnickiej szkoły muzycznej zacnych Braci Szafranków, więc także jako uczeń biorący udział w dorocznych popisach – na przykład z „Menuetem” Paderewskiego miałem obycie z muzyką poważną. Tu dodam, że byłem jednocześnie uczniem Technikum Budowy Maszyn Górniczych i – choć nie bez trudu – godziłem praktykę zawodową w fabryce z klawiaturą... Tamtego niedzielnego popołudnia zobaczyłem w auli spektakl, jaki można było wystawić w tych prymitywnych warunkach.



### – Więc co zdecydowało o Twoich późniejszych związkach z Operą Śląską?

– Po maturze otrzymałem nakaz pracy. Na szczęście znalazłem się w Katowicach, czyli ówczesnym Stalinogrodzie, a nie na przykład w Porębie, czy gdzie indziej w Polsce w ogóle... Miałem już – jako uczeń technikum, pisujący wiersze kontakty z Wilhelmem Szewczykiem, który zainteresował się nie pozbawionym śmiałości ziomkiem i zetknął mnie z młodym środowiskiem literackim. Jako siedemnastolatek, po maturze, znalazłem się wkrótce w Kole Młodych przy miejscowym Oddziale Związku Literatów Polskich. A jednocześnie postanowiłem bywać w teatrze i na koncertach w Filharmonii. A są to lata gdy do Teatru Śląskiego chodzi się na Gustawa Holoubka. Na scenie katowickiej dwa razy w tygodniu występuje wówczas Opera Śląska. Można więc oglądać spektakle operowe w najlepszych obsadach – a śpiewali wtedy Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski, Krystyna Szczepańska, Natalia Stokowacka i Antoni Majak. Dwa pierwsze nazwiska to w przyszłości moje wielkie przyjaźnie. W tamtym czasie, przypominać, dostanie się na spektakl nie było takie proste. Zakłady pracy miały przydziały biletów także za sukcesy produkcyjne. Ponieważ byłem dość elokwentny, w Stalinogrodzkiej Fabryce Sprzętu Górnictwa na Załężu, przydzielono mi prowadzenie fabrycznego radiowęzła. Co przerwa śniadaniowa, plotłem coś do mikrofonu. Za to otrzymywałem też w nagrodę bilety do teatru i opery. No i przyszedł dzień, kiedy idę na wspaniały spektakl „Porgy and Bess”! Do dziś pamiętam, że siedziałem na drugim balkonie, w ostatnim rzędzie, przy drzwiach. A potem kolejne spektakle... Chcę powiedzieć, że jak mogłem, nasycałem się kulturą. Było mi wtedy dane podziwiać słynną „Fontannę Bachczysaraju” z Barbarą Bitnerówną, Olgą Sawicką, „Casanovę” ze Zbigniewem Plattem. Wspaniały „Czardziejski flet” z Majakiem i Paprockim, „Straszny dwór” z Hiolskim, Paprockim, Stokowacką i Szczepańską. Widziałem w tym teatrze „Eugeniusza Oniegina” z Vardi, Hiolskim i Paprockim – lepszych obsad wtedy w Polsce nie było! I nie ma do dziś.

Później, kiedy znalazłem się na studiach w Krakowie, gdzie wprawdzie opery jako takiej nie było, porwał mnie bez reszty teatry. Zaprzyjaźniłem się z Marianem Sienkiewiczem, kolegą z roku, który był fanatykiem teatru, a później długie lata był recenzentem w „Przekroju”. No i wtedy stałem się dość obytyym teatromanem. Trochę więc w zapomnienie poszły moje zainteresowania operą – nawet wtedy, kiedy wróciłem już do Katowic i znalazłem się w redakcji dwutygodnika „Poglądy” w zespole Wilhelma Szewczyka. Poza jednym przypadkiem, kiedy w Bytomiu wystawiono „Jezioro łabędzie” w świetnej obsadzie: z rozpoczynającymi karierę młodziutkimi solistkami – tańczyły wtedy prześliczne Iwona Wakowska i Joanna Szabelska na zmianę (Odetta-Odylia) i występował znakomity Eugeniusz Jakubiak tancerz o wyjątkowych warunkach. W tym czasie Bytom opuścili już Krystyna Szczepańska, Bogdan Paprocki i Andrzej Hiolski. Pożegnał się z Operą Śląską także Wiesław

Ochman. Zespół jest jeszcze nadal mocny, ale już bez tej miary gwiazd.

### – Na czoło w Twoim życiu wysuwa się Redakcja „Poglądów”.

– W Katowicach zawiązał się w tych latach Klub Młodych Twórców grupujący przedstawicieli wszystkich środowisk. Co tydzień kolejna impreza – muzyków, aktorów, plastyków i literatów w Domu Pracy Twórczej przy Warszawskiej 37, a potem do późnych godzin w „Piwniczce”, gdzie lały się bruderszafty... No i te spory oraz skrajne opinie. Zaangażowałem się – mając ku temu dyspozycję – w prace organizacyjne. W tym czasie działał i bywali tu Kilar, Górecki, Lachu – słowem cała młodzież artystyczna, jako że modne były hasła integracji. Nikt nie liczył się ze słowami, sądy krytyczne dotyczyły faktów ale i osób z elity władzy.

No i tak pewnego dnia dowiaduję się, że mam pojawić się w KW u sekretarza propagandy Grygla! O co może chodzić? Wyjaśniło się, że Karol Stryja – wtedy konsultant artystyczny Opery Śląskiej, poszukiwał kogoś do zadań kierownika literackiego. Wystawiano „Orfeusza w piekle” – reżyserował Ladislav Hamšík z Ostrawy, który miał swoją wizję spektaklu, więc trzeba było przerobić tekst, a ponieważ autorami przekładu byli Stanisław Dygat i Janusz Minkiewicz, nie można było naruszyć praw autorskich.

### – Propozycję przyjąłeś ... i tak zaczął się.

– Miałem być takim przejściowym kierownikiem literackim na krótki czas – trzy miesiące. No i z nutami na pulpicie pianina korygowałem tekst – parę kupletów do dziś pamiętam. Po czym Stryja zaproponował, żebym, został jeszcze na kilka miesięcy i z końcem sezonu odejdziemy razem. To mi odpowiadało. Ale w maju, przed zakończeniem sezonu, pojawił się nowy dyrektor – Bolesław Jankowski, który miał bardzo dynamiczne plany i prosił, żebym został do końca roku. W porządku – ciągle jednak uważałem, że jest to epizod, więc ja-

ko kierownik literacki nie wpisywałem się na afisz. A jednocześnie został ogłoszony ogólnopolski konkurs na libretto operowe, który pilotowałem. Chodziło o pozycję jubileuszową na 25-lecie Opery Śląskiej. To mnie też wiązało.

### – Twoje zaangażowanie, jak widać, znacznie wykraczało poza wcześniejsze obowiązki kierownika literackiego. W tym czasie pojawił się zbiorowy konflikt. O co poszło?

– Nowy dyrektor – w sprawach operowych bardzo kompetentny, przez kilka lat z kontraktem na Zachodzie – okazał się despotyczny, lubił łamać ludzi. Tylko że mną jakoś nie mógł sobie poradzić. Operze groził strajk zespołów, które mogły odmówić współpracy. W tym cała czołówka zasłużonych artystów W tę sytuację zaangażowałem się za namową Włodzimierza Hiolskiego-Lwowicza. A że jednocześnie byłem i tu, zaś przez pracę w redakcji działałem w innym środowisku, nie byłem pozbawiony szerszych kontaktów. Z Klubem Młodych Twórców, współpracował, miał nad nim swoistą pieczę Wiesław Kiczana – absolwent Politechniki Śląskiej, działacz partyjny, ale zainteresowany literaturą i sztuką, lwowiak, przyjaciel Wojtka Kilara. Napięcie narastało. Strajk wisiał na włosku. Rozmawiałem z Kiczaniem po premierze „Człowieka z La Manchy” w Gliwicach. Powiedziałem o napięciach w Operze – strajk – i to na Śląsku! No nie, wykluczone... W efekcie Jankowski został odwołany i doszło do uspokojenia. Pojawił się natomiast problem z powołaniem nowego dyrektora. Padło na mnie, że mam rozmawiać z Napoleonem Siensem, przecież cztery lata wcześniej odwołanym, który miał przecież już swój świetny epizod pracy w Operze Śląskiej. Teraz był luty 1970 roku.

### – Jak to określasz, w Operze trwał zapalny stan, wymagający opanowania i dalszej strategii działania. A więc Napoleon Siess ponownie na stanowisku dyrektora... i Ty, jeden z najmłodszych pracowników Opery.



Z Józefem Świdrem podczas pracy nad „Magnusem”, 1974



Z Bogdanem Paprockim z okazji otwarcia sali śpiewu jego imienia.

– Zostałem „sztabowcem” tej niestabilnej sytuacji, bez ustalonych do końca zmiennych obowiązków. Decydująca mogła się okazać najbliższa premiera. Po prostu musiał być sukces. W tym samym czasie trzeba było zmienić już ustalonych realizatorów „Fausta” Gounoda. Zaproponowałem Mieczysława Daszewskiego i Wiesława Langego. Kierownictwo muzyczne należało do Siessa. Wielkim atutem okazała się choreografia „Nocy Walpurgii” w układzie pozyskanego z Poznania, wkrótce na stałe, Henryka Konwińskiego. Powstał spektakl magiczny, jeden z najpiękniejszych, jakie w życiu oglądałem. Wyobraźnia Langego dała o sobie znać, sprawdziła się zastosowana kurtyna świetlna. No i moment, gdy stary Faust jednym ruchem zrywa z twarzy maskę, zrzuca płaszcz i staje się młodym, uwodzicielskim Faustem – w tej roli porywający Zbigniew Platt. Spektakl był gesty od pomysłowych efektów. Mieliśmy wtedy dużą orkiestrę i rozbudowany chór. Ach, jak to wszystko brzmiało. Pamiętam, że Małgorzatę śpiewała Marina Christowa – Klimék, drugą była Ewa Karaśkiewicz. Podwojnym Faustem był Platt, Martę – zawsze znakomita Zofia Wojciechowska, w Mefista wcielił się Eugeniusz Kuszyk – świetna obsada. Ten spektakl zmienił całkowicie wyobrażenia o technicznych możliwościach ciasnej bytomskiej sceny. Okazało się, co może tworzyć wyobraźnia. Odtąd nie decydowały ograniczenia, ale ambicje.

– **Ten spektakl zadecydował też o powiększeniu się zakresu Twoich obowiązków kierownika literackiego.**

– Od tego momentu, jakby w sposób naturalny miałem znaczący wpływ na kształt inscenizacyjny przedstawień i dobór realizatorów. A jako że do tej pory spektakle grane były wyłącznie w języku polskim, do moich obowiązków należało oczywiście korygowanie tekstów przekładów librett. Kładłem po prostu nuty na pulpicie i sprawdzałem prozodię. Starałem się przy tym spełniać oczekiwania śpiewaków, by w trudnych technicznie miejscach pojawiły się odpowiednie samogłoski. Przy okazji poznawałem tajniki sztuki wokalne. Pierwszą operą, którą graliśmy w języku oryginału – a to już rok 1980 – była „Cygania” wyreżyserowana przez Lecha Helwiga-Górzyńskiego. Trzy lata później wprowadzi na scenę słynne „Nabucco”.

– **„Faust” był więc dla Ciebie przełomowym momentem.**

– Odtąd do mnie w znacznym stopniu należała opieka nad kształtem scenicznym premier. Napoleon Siess, wybitny dyrygent, artysta dysponujący czujnym instynktem teatralnym, darzył mnie zaufaniem, więc stałem się jego oddanym doradcą programowym i artystycznym. Także w sprawach kadrowych i obsadowych. W tym też czasie przeczytałem gdzieś, że dyrektorka Szkoły Baletowej w Warszawie – znakomita Barbara Kasprowicz myśli o zajęciu się w większym stopniu choreografią. Po naszej namowie Baja przyjechała do Bytomia, żeby przygotować premierę

„Giselle”, a potem we wznowionej obsadzie balet „Don Kichot” Minkusa. Te dwa spektakle po odmłodzeniu i wzmocnieniu zespołu stały się przełomem dla przeżywanego kryzysu baletu Opery Śląskiej. I tak co premiera to sukces, cała seria wydarzeń zauważonych w Polsce.

– **Za kadencji i Napoleona Siessa i Twojej w Operze Śląskiej pojawiwały się często dzieła kompozytorów współczesnych: „Jutro” Tadeusza Bairda, „Medium” Menottiego, Józefa Świdra „Wit Stwosz” i „Bal baśni” z Twoim librettem.**

– „Jutro” widziałem na festiwalu w Poznaniu. Dramat muzyczny arcytrudny o najwyższych ambicjach. Wystawienia w Bytomiu podjął się pozyskany prze mnie Bohdan Hussakowski, którego znałem jeszcze z czasów krakowskich. Scenografię opracował mój kolega z „Pogładów” Jerzy Moskał.

– **Potrzebne też były odpowiednie głosy...**

– Wystąpiła wspaniała Krystyna Szostek-Radkowska jako Jessica. „Jutro” stało się pokazowym spektaklem. Do tego stopnia istotnym, że rejestracja telewizyjna została oparta nie na przedstawieniu warszawskim, ale naszym, bytomskim i była prezentowana w Pradze!

– **Z dzieł najnowszych wcześniej był Twój „Wit Stwosz”.**

– Grany 36 razy, w tym na Panoramicie Kultury XXX-lecia w Warszawie i na Festiwalu Maryjskie Lato w Lublianie. To był na pewno sukces. A mogło być ich znacznie więcej, lecz rozpadły się wieloosobowe obsady.

– **Wcześniej pojawiła się słynna „Aida” – „złote przedstawienie”!**

– Złota było tu pełno. Niezwykła była scenografia: bo też fascynującą przestrzeń zbudował Lange. A głosy, co za głosy.... W obsadzie Radamesa dwa tak potężne bohaterkie tenory jak Józef Kolesiński i Bolesław Pawłus. Odkryciem okazały się całe w „płynnym zlocie” sceny zbiorowe. Arcymuzykalna i urodziwa Czesława Fijałkowska jako Amnesis, miała niebawem osiąść w Szwecji. W tej partii gościli u nas Krystyna Szostek-Radkowska, Krystyna Szepeńska i Aleksandra Imalska z Poznania. A w partii tytułowej – wszystkie najlepsze polskie Aidy – z Bożeną Kinasz – Mikołajczak i Barbarą Zagórzanką. Ten spektakl w ogóle stał się okazją do prezentowania w przedstawieniach gościnnych najświetniejszych polskich śpiewaków chociażby tenorów – stale bywali tu Stanisław Romański czy Roman Węgrzyn.

– **Za sprawą Twoich podpowiedzi w Bytomiu pojawiło się wielu znakomych realizatorów.**

– Jedną z moją podpowiedzi była Olga Lipińska, która zrealizowała trzy spektakle: „Così van tutte”, „Czarodziejski flet” i „Don Pasquale”. Za moją poręką w repertuarze znalazł się „Król Roger” w realizacji tej miary inscenizatora co Ludwik Réné.

– **Podobnie wśród autorów scenografii – też ścisła czołówka.**

– O tak! Był wspaniały Marian Kołodziej, byli Krzysztof Pankiewicz i Ewa Starowiejska. Siess potrafił ryzykować. I zaufał mi. Wiedział, że jestem tak silnie związany z potrzebą sukcesu tej Opery, że nie kieruję mną żadne inne motywy.



Nadanie w Bytomiu placowi imienia Andrzeja Hiolskiego. Przy mikrofonie Tadeusz Kijonka.

– Ale też ilość premier była inna, niż obecnie.

– Graliśmy 4-5 premier w sezonie! A to oznaczało, że wszyscy artyści byli wykorzystani i są w pełnym rozruchu.

– Wracając na chwilę do programów, które towarzyszą spektaklom – to są całe opracowania, znakomite teksty znanych literaturoznawców, muzykologów, historyków, rozmowy z realizatorami.

– Zawsze starałem się, żeby programy miały charakter zbioru esejów na dany temat.

– W Twojej pracy kierownika literackiego zbliżamy się do lat 80.

– To był taki rok konfrontacji, w którym wszystko trzeba było zburzyć pod napięciem wydarzeń politycznych, bez względu na koszty własne i kondycję placówki. Najpierw dochodzi do konfliktu kilkorga młodych solistów z Ewą Karaśkiewicz i Markiem Moździerzem na czele, akurat faworyzowanymi ponad miarę. Chodziło o wyrzucenie Siessa. Pewnego dnia przyjeżdżam do Bytomia, a Siess siedzi przy biurku i pot mu spływa z czoła. W rękę trzyma telefon – dzwoni Hubert Grajek – ówczesny dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, a że jest włączony głośnik, słyszę, jak mówi Siessowi, że ten nie ma w tej sytuacji wyjścia i musi złożyć dymisję. Sygnalizowałem gestami Siessowi, żeby nie podejmował takiej decyzji. I spowodowałem, że do Grajka wybrali się wnet Bolesław Pawlus i Józef Homik – czołowi soliści, którzy mieli spory mir w zespole. W tym stanie rzeczy konieczne jest zebranie załogi z udziałem dyrektora Grajka. Zredagowałem pismo informujące o sytuacji i o tym, że grupa solistów chce doprowadzić do zmiany dyrekcji, które rozwiśnie w gablotkach.

– Stałeś w ten sposób na czele operowej „rewolucji”.

– Zebranie się odbyło w Sali teatralnej. Ja w upatrzonym momencie też zabrałem głos.

W efekcie doszło do paraliżu inicjatorów konfliktu i opanowania sytuacji. Skończyło się tym, że załoga zaczęła prosić Siessa, żeby został. Siess nie był jednak zbyt skłonny do tego, bo sytuacja stała się honorowa. W wyniku konfrontacji parę osób odeszło. Na marginesie dodam, że między innymi dlatego zszedł z afisza „Wit Stwosz”, bo zdekompletowała się obsada. Dyrektor Siess ocalał, zapłacił jednak za to wysoką cenę bo zaczęła się poważna choroba serca i konieczna okazała się operacja. Już nie poprowadził oczekiwanego „Czarodziejskiego fletu”, a szlifował tę wymarzoną premierę do perfekcji.

– W 1983 roku ma miejsce historyczne wydarzenie: premiera „Nabucca”.

– Nigdy po 1968 roku nie można było wystawić tego dzieła po polsku: absurdalny zarzut syjonizmu. Lecz nagle zelżała cenzura. Były jednak skojarzenia niewygodne. Zapadła więc decyzja: gracie po włosku. I stało się: wydarzenie niebywałe i bez precedensu – „Nabucco” przeszło przez wszystkie sceny polskie, zdobyło wszystkie możliwe nagrody! Na widowni, kiedy wybrzmiewało „Va pensiero” unosiły palce w znaku „V”. Za sprawą „Nabucca” Opera Śląska stała się w tym czasie najpopularniejszą polską sceną. Kilkaset przedstawień na scenach zachodniej Europy ma swoją wymowę.

– Ale na trasie pojawiają się również Kanada i USA!

– To była wyjątkowa okazja – możliwość zagrania „Halki” w Stanach Zjednoczonych. Siess był szczęśliwy. Słynny impresario Wojewódka potwierdził zaproszenie, ale na dofinansowanie nie było pieniędzy.

Tak się jednak stało, że wcześniej zostałem posłem i byłem w stanie „wydeptać” potrzebne ministerialne dofinansowanie. To był w ogóle pierwszy wyjazd polskiej opery za „wielką wodę”.

Niedługo po powrocie, 26 listopada 1986 roku, w trakcie próby do „Halki” Siess zasłabł w kanale orkiestrowym. Ta śmierć była wstrząsem. Akurat w dniu pogrzebu Józef Homik – Jontek z „amerykańskiej” Halki i Jerzy Mechliński – Janusz, odbierali w Warszawie nagrodę Ministra Spraw Zagranicznych dla Opery Śląskiej za zasługi w upowszechnianiu kultury polskiej w świecie. I tego oczekiwanego wyróżnienia Napoleon Siess już nie doczekał



Jesień 1945 roku, Już po przejściu teatru w Bytomiu. Na placu stanął kocioł – dzielenie biedy i powojennej niedoli.



Rok 1938 we Lwowie. Adam Didur i jego uczniowie – Lesław Finze, Wiktoria Calma. Halka i Jontek z historycznej premiery katowickiej 14 czerwca 1945 r.

– Wiele uwagi poświęcałeś też wyławianiu pięknych głosów, można rzec, że stałeś się ich gorliwym kolekcjonerem.

– Byłem i pozostałem patriotą tej sceny – sceny, która nigdy nie miała swoich mecenasów, odpowiedniego budynku, bo i na miejscu nie bardzo kogoś obchodziła. Słowem – zawsze biednie i pod prąd. Stad tak wielkie znaczenie ma klasa solistów, jakości zespołu.

Nigdy nie przypuszczałem, że do tego stopnia pochłonę mnie opera, nawet jeśli chodzi o budowę zespołu. Wielu artystów, którzy znaleźli się w Operze w latach 70. i 80., to były osoby, które ja odkryłem i pozyskałem. Na przykład Józef Homik – usłyszałem go w „Tele-Echu” w TVP. Co za głos, kto to jest? W końcu – udało się do niego dotrzeć poprzez... sekretarkę z „Poglądów”, szkolną koleżankę Ireny Dziedzic, która ten program prowadziła. I nagle mamy tenora, którego nam wszyscy zazdroszczą – gdyby nie stan wojenny mógł być solistą MET. Byłem od lat w dobrych kontaktach z profesorem Heleną Łazarską, która wcześniej rekomendowała nam Włodzimierza Skalskiego. Dzięki niej pozyskaliśmy Jerzego Mechlińskiego znakomitego barytona z Gdańska, którego skusiłem na moje katowickie mieszkanie.

Był to wkrótce jeden z czołowych polskich barytonów, wspaniały także scenicznie. Czy trzeci głos z mojego „naboru” – fenomenalny bas Romuald Tesarowicz. Jego głos objawił się w pierwszym konkursie Didura, gdy młody śpiewak wystąpił jeszcze w mundurze żołnierza. Wtedy przepadł, bo artystycznie był jeszcze dość surowy, ale... byliśmy odtąd w kontakcie. Za moją namową i po spotkaniu w Warszawie przyjechał na Śląsk i zaangażował się w Operze Śląskiej. Tak rozpoczął się jego kariera, wkrótce międzynarodowa. Miałem „dobre ucho” i potrafiłem... zarzucić wędkę (tu

sprawdziły się moje niedysyjsze pasje wędkarskie – *śmiech*).

– **Do sporego bloku Twoich zadań (bo nie obowiązków) trzeba dopisać jeszcze jedno: uporczywe starania o podjęcie budowy Teatru Wielkiego Opery i Baletu w Katowicach.**

– Zawsze byłem zaangażowany w tworzeniu opinii o Operze Śląskiej jako placówce skrzywdzonej, która nie doczekała się tego, na co zasługuje – przez szereg lat powojennych pierwsza scena operowa w kraju. W związku z tym robiłem wszystko, nie tylko jako kierownik literacki, żeby wyeksponować element niesłyszanie ważny: element tradycji i legendy Opery Śląskiej, która rodzi się kiedy trwa jeszcze wojna, a tworzy ją od podstaw do dziś największa legenda polskiej wokalistyki w skali światowej Adam Didur. W premierce „Halki” 14 czerwca 1945 roku na katowickiej scenie śpiewają jego lwowscy uczniowie: Lesław Finze i Wiktoria Calma.

Nowy gmach – obiecał to Didurowi ówczesny wojewoda śląsko-dąbrowski generał Aleksander Zawadzki – miał stanąć jeszcze przed rokiem 1950 w Katowicach w miejscu, gdzie zbudowano budynek Związków Zawodowych. Lecz już w następnej kolejności, w pierwszej pięciolate, miał powstać w stolicy województwa Teatr Wielki Opery i Baletu, lecz wnet wyparł ten projekt Pałac Kultury Zagłębia, jako że Zawadzki chciał doposażyć rodzimą Dąbrowę Górniczą. Trzecią lokalizacją Teatru Wielkiego przewidywano w miejscu, gdzie stoi dziś Spodek. Piękny projekt z konkursu – i znowu nic. I tak na fali rozczarowania doszło do odejścia kolejnej fali wielkich solistów, a są pośród nich Andrzej Hiolski i Bogdan Paprocki najświetniejsi polscy śpiewacy tego czasu.

W latach 70., na propagandowej fali budowy Drugiej Polski, pojawiła się z kolei idea Centrum Kultury, które miało zostać wzniesione naprzeciwko parku Ko-

ściuszki, w rejonie Hali Parkowej. To miał być największy obiekt w tej części Europy z dwiema scenami i salą baletową. A jednocześnie miały powstać trzy sceny satelitarne w Tychach, Gliwicach i w Zagłębiu. Utopia. i gigantomania. Dziś nikt nawet nie wie, gdzie się podziała dokumentacja – w sumie tony projektów. Tymczasem powstały duże teatry z nowoczesnym wyposażeniem w Bydgoszczy, w Gdyni i w Kielcach, a ostatnio w Krakowie i Białymstoku, gdzie zbudowano nawet teatr wielki dla Opery Podlaskiej, której jeszcze w tym czasie nie było. Podjąłem działania w celu skupienia grupy inicjatorów budowy Teatru Wielkiego w Katowicach, która wystąpiła z listem – memoriałem do władz Katowic. A byli w tym gronie m.in. Krystyna Bochenek, sędziwy już Bogdan Paprocki i Wiesław Ochman. Doszło do dwóch spotkań sygnatariuszy listu z prezydentem Piotrem Uszokiem. Później prezydent Piotr Uszok podczas jubileuszowego koncertu z okazji 90. rocznicy urodzin wręczył Bogdanowi Paprockiemu uchwałę Rady Miasta o podjęciu działań zmierzających do powstania Teatru Wielkiego, który ma stanąć pomiędzy salą koncertową NOSPR-u a Muzeum Śląskim, w miejscu do tej chwili „nietykającym”. Ale co okazało się faktem potwierdzi przyszłość, choć po fatalnych doświadczeniach nie ma co kryć obaw.

– **Za Twoje powołanie można uznać też dokumentowanie historii i legendy narodzin Opery Śląskiej.**

– Moją misją stało się udokumentowanie dziejów Opery Śląskiej. Co robić, żeby ta legenda żyła. A byli tu u początku z wielkich – najwięksi: Wiktoria Calma, Andrzej Hiolski, Lesław Finze, Barbara Kostrzewska, Franciszek Arno, Bogdan Paprocki, Franciszka Denis-Stoniewska, Antonina Kawecka, Natalia Stokowacka, Krystyna Szczepańska, Waław Domaniowski, Antoni Majak, Zbigniew Platt,

w latach późniejszych Krystyna Szostek-Radkova, Wiesław Ochman, Andrzej Saciuk, Henryk Grychnik, Sławomir Żerdzicki... A jakie nazwiska w kolekcji tancerek i tancerzy!... Wracalem co raz do tych postaci i jubileuszy, rocznic i wystaw. Tak otwieraliśmy w Operze kolejne sale śpiewu ich imienia, place miejskie, przygotowywałem publikacje i ekspozycje historyczne. Na jubileusz 55-lecia Opery przyjechały dwie pierwsze Halki: z Rzymu Wiktoria Calma i Jadwiga Lachetówna, była zawsze wierna Stokowacka, byli Hiolski i Paprocki! Dbałem z niesłabnącą troską, żeby w murach ostał się duch tych największych z wielkich. I tak pojawiły się miejsca pamięci i portrety.

– **Czasy dyrekcji Tadeusza Serafina są inne niż te minione.**

– Kadencję Tadeusza Serafina – ucznia Siessa, charakteryzuje niespotykana dotąd aktywność związana z wyjazdami opery za granicę. To już nowa epoka Europy otwartych granic. Od połowy lat 90. zespoły spędzają całe tygodnie w krajach Zachodu zarówno w prestiżowych ale i mniejszych teatrach operowych. A co tournée to promocja bytomskiej sceny operowej. Spośród polskich zespołów najczęściej za granicą od lat występuje właśnie Opera Śląska. Spektakle przygotowywane są także pod kątem ich mobilności, co także jest doceniane przez artystów związanych z Operą.

– **Zawsze mam wrażenie, że tę księgę, która leży na stole przed nami, mógłby napisać z pamięci! Nazwiska, daty, obrazy, zdarzenia, anegdota... niebýwała pamięć o faktach, ale nade wszystko o ludziach. Jest w niej, tej księdze, taki pyszny fragment o hierarchii obowiązującej w operowym bufecie...**

– ... tego miejsca już nie ma – tak, strawił je pożar. Dlatego dbajmy o pamięć póki trwa.

## Benefis Tadeusza Kijonki w Operze Śląskiej

Tadeusz Kijonka swój poetycki jubileusz świętował pod znakiem „Dwóch kos” – czyli 77. Rocznicę urodzin. Jubileusz operowy – jako 47 lat z bytomską sceną. Dba, jak widać o to, by jego ulubiona „siódemka” pojawiła się w ważnych dla Niego momentach. Jeden z poematów Jego autorstwa nosi właśnie tytuł „Siódma północ”.

15 marca w sali im. Adama Didura Opery Śląskiej spotkali się Benefisant – z okazji zakończenia półwiecza stałej działalności w Operze Śląskiej i jego przyjaciele artyści: prowadzący spotkanie Henryk Konwiński i Joanna Kściuczyk-Jędrusik oraz wykonawcy arii i partii wokalnych z oper „Magnus” i „Wit Stwosz” Józefa Świdra oraz musicalu „Zaczarowany bal” Katarzyny Gaertner i Tadeusza Kijonki: prócz wspomnianej Joanny Kściuczyk-Jędrusik wystąpili Justyna Dyla, Ewa Majcherczyk, Magdalena Spytek, Juliusz Ursyn – Niemcewicz – i ciągle w znakomitej formie wokalne Henryk Grychnik w przejmująco wykonanej pieśni królewicza Zbigniewa.

Były więc wspomnienia przeplatane pięknymi wykonaniami, były i gratulacje

m.in. od marszałka województwa śląskiego Mirosława Sekuły, także prosto z tournée po Japonii – od prof. Mirosława Jacka Błaszczyka dyrektora Filharmonii Śląskiej, od dyrektora Tadeusza Serafina

i licznie przybyłego grona zaproszonych gości.

Wieczór zakończył się poezją Tadeusza Kijonki – autorską prezentacją wierszy wybranych z tomu „Czas, miejsca i słowa”.



Benefis Tadeusza Kijonki odbył się w sali im. Adama Didura.

Fot. Opera Śląska



Józef Chełmoński „Dworek w zimerchu zimowym”, 1906 lub 1907

KOLEKCJA  
MALARSTWA  
POLSKIEGO



# Józef Chełmoński

**B**mę w śniegu i przypominają mi się obrazy Józefa Chełmońskiego. Śnieg jest mokry, ciężki i oblepiający. Za mną pozostają głębokie jamy – chlupiące odlewy butów. Idę przez zasypane pola. Czarne, poskręcane gałązki wystają z bieli, jakby śnieg zakrył zamarnięte ptaki z wyprężonymi w górę szponami.

Chełmoński kładł się na kożuchu, z brodatą twarzą przy skamieniałej od mrozu ziemi, z ostrym nosem, i węszył. Obserwował kuropaty na śniegu.

W Muzeum Śląskim są cztery obrazy Chełmońskiego. Właściwie jest to przekrój jego twórczości.

„Czajki” z 1890 malowane w stylu pieriedwizników. Czuje się chłód granatowej wody. Zimne, rozległe, podmokłe łąki zamieniające się w stawy. Jest to klimat północnego wschodu, od razu dla nas rozpoznawalny. Czarno-białe czajki żerują, rozmieszczone jakby przypadkowo, ale wiemy, że jest to przypadkowość starannie obliczona. Dzięki tym ptakom, wciąż w ruchu, w gwałtownych skrętach, ta nieskończona monotonia nie przygnębia.

Dwa obrazy z pędzącymi saniami w zimie. „Powrót z balu” (1879) i „Trójka” (1880). To był znak firmowy Chełmońskiego, ta końska dynamika powtarzana wielokrotnie w różnych ujęciach. W okresie powrodenia paryskiego malował właściwie różne warianty tych pędzących sani i koni. Oczywiście jazda na wprost widza, mknące „Czwórki” i „Trójki” to było wielkie osiągnięcie. Właściwie nikt tego wcześniej nie robił i efekt był jak z lokomotywą sfilmowaną przez braci Lumière, pędzącą z ekranu wprost na przerażonych widzów. I rzeczywiście jest tu

takie rozedrganie, że następny etap to już tylko ruchomy obraz. Galopujące konie to szczyt powodzenia artysty. Ale nie jest to jego twórczość najdojrzalsza, tu jeszcze nie ma tchnienia nieskończoności, jest atawistyczna potrzeba pędu. We wspomnieniach Pia Górską opisuje jak pędzili bryczką, konie poniosły i Chełmoński ze względu na przerażone panie, cudem je powstrzymał, ale potem żałował: niepotrzebnie hamowałem, można było jeszcze trochę pojechać. Relacja Górskiej jest bezcenna. Z niej wylania się prawdziwy Chełmoński, nieokrzesany, dziecinny, szalony zwierz wykształcony, w tym samym płaszczu od 50 lat. Kciuk, mocny kciuk węzłastej, spracowanej ręki pod gęstą brodą (zdjęcie z 1909).

W saniach jedzie dziewczę rozpalone, nieprzytomne. Gdzie odbywał się ten bal, z którego wraca? Odpowiedź na trzecim obrazie. To jest mój ulubiony. „Dworek w zimerchu zimowym” (1906 lub 1907). Bardzo gruba warstwa śniegu, ślady płóz już zasypane i mocną bryłą malowane drzewa obok dworku z rozświetlonymi oknami. Śnieg tu jest najważniejszy. Ile tam jest kolorów! Róże, ugry, czerwienie od zmierzchowego nieba, którego właściwie nie widzimy.

I tu już wkraczamy w metafizykę Chełmońskiego. Gdyby nieba było więcej, znikalaby tajemnica. A ono jest – w śniegu. Nieskończona przestrzeń, jest, wyczuwamy ją, ale poza kadrem.

Brnę w śniegu przez las, w butach chlupie i chce się już być w tym namalowanym dworku. Co tam się dzieje za malutkimi rozświetlonymi oknami? Jest rysunek Chełmońskiego w muzeum w Łowiczu, który to ilustruje. Zabawa, ciasno, duszno, gorąco. Tancerz w konfederatce cały się skurczył, zwarł, przypytując przez chwilę w jednym miejscu, żeby

zaraz wyskoczyć w górę, wziąć szeroki zamach i porwać za sobą dziewczę. Ci dalej, wirujący, są ledwo zaznaczeni, wszystko w ruchu, podskoki, trzeszczą deski, sterczy gryf, piłują smyczki, umpa, umpa, basetle, przytupy, bambetle, kurz. Skrzypeczki, czapeczki, deseczki, owieczki, chodźcie w tany kochaneczki! Chełmoński, jak wspomina Górską – uwielbiał zabawy słowne („Maeterlinck – materac, paleta – patelnia, Badeni – Semadeni”). Był artystą – dzieckiem urzeczonym cudownością świata. Przebierał się za dziada – limika i wędrował od wsi do wsi. Pochylał się nad gałązką i płakał. Wyruszał na wielodniowe wyprawy. Był zupełnie poza konwencją. Nie zdajemy sobie sprawy, co znaczyło w tamtych czasach być poza konwencją ustaloną przez lata zatwardziałego malarstwa akademickiego. Malować tematy nieakceptowane – grube rumiane baby i kundla na łące.

Kiedy się już wyjdzie na mroźny świt z tej zabawy, z tego dworku – widzi się równinę. Zamiast ruchu, splełania, jarmarków, tętentu i upręży – cisza. Skomplikowanie zamienia się w linię. I już nie ma zartów. Przestrzeń i klucie w sercu. Są takie jego obrazy. Krecha – wykres – znak nieskończoności. Chełmoński – mastyk, szukający całkowitego porozumienia z naturą. To już nie są obrazy, to modlitwa. Wszystko uproszczone. Linia horyzontu, plama słońca. Jakby się jechało pociągiem przez nieskończoną równinę i myślało o całym swoim życiu.

Myśl roztopia się w widzeniu, a widzenie jest myślą. Zwalista sylwetka malarza, dzikusa, dziada traci kontury, zamienia się w obłok, niknie w jasności między niebem a ziemią.

WOJCIECH GRABOWSKI

# Komu (dzisiaj) potrzebny jest Kisiel?

Pytanie to, które notabene jest parafrazą tytułu słynnego esaju napisanego przez Stefana Kisielewskiego, nie wydaje się być dzisiaj jedynie pytaniem retorycznym. Jak puszczona w ruch kostki domina, po kolei uruchamia lawinę kolejnych pytań, najczęściej takich, które nie bez przyczyny, dość często pojawiają się, gdy mowa o wybitnej postaci z naszego literackiego panteonu.

Jakie to pytania? Najważniejsze dotyczy roli autorytetu w dzisiejszym świecie. Czy autor słynnych felietonów, na których wychowała się niemała część polskiej inteligencji, może dziś na nowo stać się mistrzem i nauczycielem? Czy lektura jego książek stanowić będzie jedynie miłą rozrywkę i wspomnienie tamtych, odległych już lat? Może z przyjemnością postawimy je na półce i będziemy oglądać niczym archaiczną, etruską wagę? Czy potrzebujemy dziś ludzi nonkonformistycznych, ale otwartych i słuchających swoich ideowych przeciwników, ludzi, którzy wierzą w wagę słownego, indywidualnego wystąpienia, wierzą w protest wypowiedziany z użyciem merytorycznych argumentów i nie stosują argumentów „ad personam”, ponadto w ich myśleniu panuje nie „urocze” pomieszanie materii, a racjonalny, jasny i logiczny wywód? Czy taka postawa może jeszcze być dla kogoś kompasem, bo modna to ona bez wątplenia dziś nie jest.

Kolejne już, po niedługim czasie, bo jedynie kilkunastu lat, wznowienie dzieł Stefana Kisielewskiego, w tym jego słynnych felietonów – tym razem przez wydawnictwo Prószyński i S-ka – chciałyby się odczytać z nutą optymizmu, iż być może zapotrzebowanie na Kisieła jednak nadal istnieje.

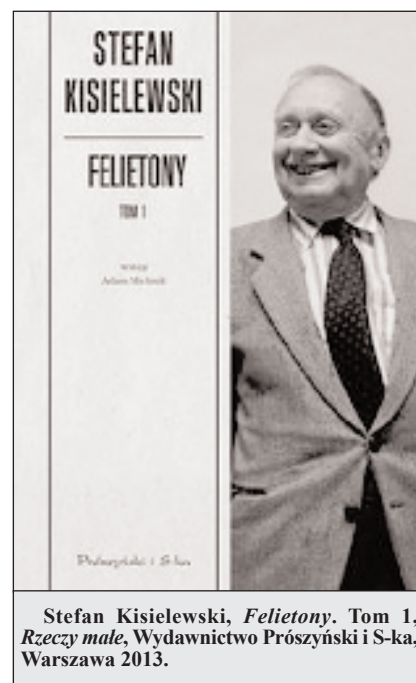
Na półki księgarń trafił najpierw autorski zbiór felietonów pisanych specjalnie na okoliczność świąt Bożego Narodzenia, a następnie dwa tomy zebrane. Kisiel był felietonistą „Tygodnika Powszechnego”. Z tym czasopiśmie współpracował od 1945 roku, aż do początku lat dziewięćdziesiątych. Tworzył małe formy publicystyczno-literackie z tygodnia na tydzień z niewielkimi, jak na ten odcinek czasu, przerwami przez,

bez mała, pięćdziesiąt lat. Ukazywały się w cyklach, kolejno: „Pod włos”, „Łopata do głowy”, „Gwoździe w mózgu”, „Głową w ściany”, i „Bez dogmatu” i to właśnie owe teksty opublikowane na ostatniej stronie wspomnianego katolickiego periodyku wypełniają każdy tom felietonów.

Tom I „Rzeczy małe” zawiera felietony publikowane w latach 1945-1953, a „100 razy głową w ściany” to zbiór tekstów drukowanych w latach 1945 – 1971 uzupełniony o kilkanaście zatrzymanych przez cenzurę. O zawartości pierwszego, jak i drugiego tomu decydował sam autor, z tym, że w przypadku „100xgłową w ściany” wydawnictwo zdecydowało się tom nieco uszczuplić, ale jedynie o te felietony, które już pojawiły się w „Rzeczach małych”.

Pokoleniu, które rozpoczynało lekturę Tygodnika Powszechnego od jego ostatniej strony, samej postaci przedstawiać nie trzeba, ale młodszymi czytelnikami warto przypomnieć, iż był Stefan Kisielewski (1911-1991) bez wątpienia jedną z najciekawszych i najbarwniejszych postaci w powojennej Polsce. Człowiek o niezwykle szerokich zainteresowaniach, powiedzielibyśmy: iście renesansowy, w dodatku każde ze swych pól zainteresowań obficie uprawiający. Literatem był wszechstronnym. Pisał powieści obyczajowe, polityczne, kryminalne; recenzje literackie i muzyczne; uprawiał poważną publicystykę, ale w powszechnej czytelniczej świadomości istnieje przede wszystkim jako mistrz felietonu.

Felietony Kisieła niełatwo jest objąć jednym określeniem, nie miały jednolitego charakteru. Gdyby jednak przyszło je jakoś dookreślić, można by zaproponować nazwę: polityczno-kulturalno-



Stefan Kisielewski, *Felietony. Tom 1, Rzeczy małe*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2013.

-społeczno-literacko-filozoficzne. Felieton Kisieła jest, podobnie jak jego diarystyczne pisanie, „przetworzoną literacko codziennością” i podobnie jak cała jego twórczość pisarska, zawarty między reprezentacją rzeczywistości a literaturą. Właśnie dzięki zrozumieniu subtelnej równowagi między faktograficzną i literacką stroną felietonu Stefan Kisielewski stał się mistrzem tego gatunku.

O czym przez to pół wieku w felietonach pisał? Najprościej byłoby zacytować samego autora, który żartobliwie wyliczał: „o muzyce, o malarstwie, o literaturze, o polityce, o społeczeństwie, o muchach, o grabiach, o personaliach, o świętach, o ekonomii, o podróżach, o kolaboracji, o czynnym nonsense, o moralności, o przyroście naturalnym, o Wiechu, o powstaniach, o wierze, o socjalizmie, o Stańczykach, o historii, o jeździe na rowerze, o filmie, o sporcie, o głupocie, o czystej formie, o emigracji, o Pawle Hertzcu, o piwie, o mahjongu, o krytyce, o grających szafach, o demokracji, o totalizmie...”

Różnorodność tematów, jaką podejmuje, jest niemierzalna, ale gdy wczytamy się głębiej, od razu zwraca naszą uwagę fakt, iż w zasadzie poruszamy się już w znacznie zawężonym kręgu, w kilku głównych płaszczyznach: wokół narodu, jego historii, uwarunkowań geopolitycznych, ekonomii, codziennego funkcjonowania w Polsce Ludowej, a także kultury, ale przede wszystkim – człowieka – jednostki uwikłanej w konieczność funkcjonowania w szponach systemu. Na szczycie piramidy jest natomiast polityka. To główny bohater felietonów; nawet jeśli Kisiel pisze o muzyce czy literaturze – pisze o polityce.

Owa różnorodność podejmowanych tematów jest przede wszystkim odbiciem wszechstronnych zainteresowań i pasji Kisielewskiego, ale nie jedynie. Mając świadomość życia w czasie historycznym – szczególnie, chciał opisać otaczającą go rzeczywistość ze wszelkich możliwych perspektyw, w całej jej wieloaspektowości, nie wyłączając takich tematów jak sport czy gospodarka. Różnorodność formalna dawała możliwość wyrażenia własnej, pisarskiej indywidualności. Choć indywidualistą był Kisielewski bez wątpienia, to czytając felietony dzisiaj, uwagę zwracamy na jakże „starswiecką” już dziś postawę, polegającą na nie epatowaniu swoim „ja”. Choć gatunek felietonu obliuguje do pisania w pierwszej osobie, to osobisty charakter nie jest tu projektowany, nigdy nie staje się celem ani felietonistycznej, ani zresztą żadnej innej twórczości autora *Rzeczy małych*. Sprawy prywatne zawsze ustępowały miejsca tym ważniejszym, publicznym i łączyły się nierozdzielnie w jeden twórczy projekt, jakim było dawanie osobistego świadectwa.

Nie wszystkie felietony Kisielewskiego prze-trwają próbę czasu. Wiele z nich jest bardzo głęboko zanurzonych w PRL-owskiej aktualności i bez objaśniających przypisów trudno je dziś rozszyfrować. Jednakże nie brak w dorobku Stefana Kisielewskiego takich, które nic nie straciły na swej aktualności. Znacznie więcej możemy ich odnaleźć w tomie „Rzeczy małe”: (*Historia tubki z klejem, O ideały małe, O dziwności i zwyczajności, szachownica idibel, bufet kulturalny, życie jest jak rower, dozorczy rupieciar-ni poszukiwani*) – wymieniam jedynie te, do których sama najchętniej wracam, a w „100xgłową w ściany”: *Czy skromność przestała być cnotą, Rola mózgu i diabeł, Słowa, słowa, słowa...*, – to jedynie kilka, które i dziś warto czytać ze względu na ich ponadczasową wymowę. Uniwersalizm tych felietonów zasadza się na dwóch fundamentach: prezentowanej postawie autora, którą tu nazwałabym ironiczno-filozoficzną i ich literackiej świetności. Najczęściej przywoływana, jako arcydzieło, jest *Historia tubki z klejem*. Ten felieton z 1952 roku z pozoru opowiada o tym, jak to naszemu bohaterowi za-tkała się tuba z klejem i o niekończących się, beznadziejnych próbach jej odetkania. Felieton ten można odczytywać na wielu poziomach. Jest krytyką funkcjonowania gospodarki w wersji socjalistycznej, próbą ukazania funkcjonowania społeczeństwa w sytuacji „zamknięcia”, gdzie żaden oficjalny „otwór” żadnym *de facto* otwarciem nie był, a społeczeństwo mogło „wychylać się jedynie nielegalnymi otworami”, jest więc niezwykle celną metaforą nie-funkcjonowania systemu. Ponadto jest także filozoficzną opowieścią: „Jeśli jesteś zdolny, to jesteś brzydki, jeśli jesteś przystojny, to jesteś niezdolny, jeśli jesteś przystojny, i zdolny, to nie masz

czasu, a jeśli masz czas, to znów nie masz pieniędzy. Jeśli zaś jesteś i zdolny, i przystojny, a także masz czas i pieniądze, to wtedy wybucha wojna i głupi Hitler zwała ci się na łeb na długie sześć lat, a gdy Hitlera diabli wreszcie biorą, okazuje się, żeś już stary i na nic nie masz ochoty. [...] A mimo to każdy, nawet na łożu śmierci, pali się do życia – ja też. Niepoprawni gracze nie tracą nadziei, że dokupią do koloru, ba – do pokera. Przecież to nie jest niemożliwe – wołają, i nawet stygnąca, półtrupia ręka wy-ciąga się jeszcze po kartę. Istotnie: niemożliwe nie jest, a więc – próbujcie – i ja z Wami.”

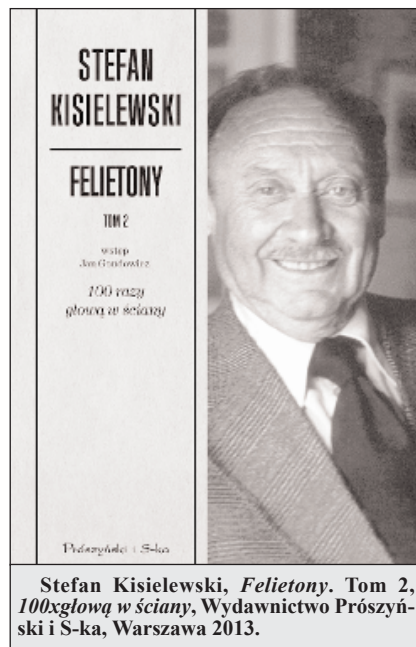
Świat, w którym przyszło Kisielewskiemu żyć, nie jawił mu się jako przyjazny, więc wrogość jego niwelował autor humorem. Humor jest bez wątpienia ogromną wartością tekstów Kisielewskiego. Jest magnesem przyciągającym do ich lektury szerokie kręgi czytelników. Jaki to humor? Polifoniczny. Zdarza się zarówno humor dobroduszny, pogodny, optymistyczny, humor zestawiany z żartem, anegdotą, twórczo zmodyfikowanym bon motem. Częstość najpoważniejsze dywagacje są przeplatane dowcipami: „Pies, co dużo szczeka, mało mleka daje”, „trzeba z żywymi narządami iść, nie... w liść”, „Proszę małą czarną” – powiedział wódz ludożerców”, „Wiesz, ten Gałczyński świetnie pisze”. „A o czym pisze?”. „Tego nie pisze”. i ciągle siebie strofował: „trzeba raz na zawsze skończyć z humorem i wziąć się do rzeczy świata tego całkiem poważnie. Tylko że może wtedy będzie to dopiero naprawdę śmieszne.” Tego rodzaju humor miał w sobie coś z reakcji obronnej, był „rozbrajaniem” tamtej rzeczywistości. Miał przede wszystkim stanowić przeciwwagę dla schematyczności i patetyczności oficjalnego języka ówczesnej prasy, miał w ogląd szarej rzeczywistości wnieść nieco barwy, radości.

Kisielewski zapisał wiele niesprawdzonych diagnoz i przepowiedni, z pewnością jednak nie straciło na aktualności jego przekonanie, że nasza, zachodnia cywilizacja zasadza się na wartościach, których trzeba z determinacją bronić. Dla Kisielewskiego polska kultura była tej cywilizacji niezbywalną częścią, uważał ją za gwaranta osobistej wolności i godności jednostki i uważał, iż należy jej bronić przed wszelkimi likwidatorskimi zapędami.

Był przez całe swoje życie wierny tym samym wartościom. O jakie kru-szył kopie? Humanizm i pacyfizm, racjonalizm i liberalizm i – oczywiście – wolność. Postrzegał wymienione wartości jako mocno w XX wieku nadwerżone. Nie bez racji uznawał je za atrybuty gasnącego świata. Sam wymyślił nazwę dla własnego, jak pisał, systemu filozoficznego obejmującego zasięgiem wszystkie dziedziny życia ludzkiego z polityką, ekonomią, kulturą, sztuką i sportem na czele: kisielizm. Po latach silnie zrosło się to określenie z jego autorem, ale w nieco innym znaczeniu. Kisielizm zaczął być pojmowany jako synonim sposobu zachowania autentyczności, odrębności i bezinteresowności duchowej; walki z głupotą i absurdem; obroną rzeczy najprostszymi, samej substancji ludzkiego istnienia; pochwałą zdrowego rozsądku i trzeźwego myślenia, a w okresie dewaluacji słów – obroną ich prawdziwego znaczenia.

Chciał zapobiegać kastracji intelektu dokonywanej na młodym pokoleniu i martwocie umysłowej społeczeństwa, więc uczył obowiązku wątpliwości, krytycyzmu i tolerancji. Uczył myślenia. W świecie, który obserwował, widział dookoła siebie ludzi, którzy poddani mechanizmom otumaniania narodu, popadali w jakiś „umysłowy letarg”. Niczego nie postrzegał jako większego zagrożenia niż bezmyślność, a co za tym szło, braku jakiegokolwiek krytycznego myślenia. „Ludzie myślcie, myślcie, – aż wam głowa pęknie” – nawoływał z felietonowych szpał.

Czasami próbuję sobie wyobrazić, co by nam powiedział dzisiaj? Jak opisywałby tę naszą pogmatwaną, pełną sprzeczności współczesność? Tak bardzo brakuje nam takich celnych obserwacji rzeczywistości, takiej umiejętności wyłuskiwania w niej wszelkich absurdów. Epoka absurdów, choć przebrała się w inny kostium, przecież nie odeszła. Jak bardzo przydałby nam się dziś ktoś, kto głupotę potrafi nazwać po imieniu, i kto niestrudzenie przypominałby o istnieniu podstawowych dla intelektualistów wartości: obowiązku krytycznego myślenia, sprzeciwianie się tzw. „stadnemu myśleniu” ale także wierności własnym przekonaniom, i tolerancji dla inaczej myślących.



Stefan Kisielewski, *Felietony*. Tom 2, *100xgłową w ściany*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2013.

– Panie profesorze pacjenci gubią się w nazewnictwie coraz to węższych specjalizacji. Potocznie posługujemy się nazwą laryngologia, tymczasem coraz częściej słyszymy o otolaryngologach, otorynolaryngologach... wyjaśnijmy więc te zawilości.

– Generalnie posługujemy się uproszczoną nazwą: laryngologia, w ramach której mieści się rozpoznawanie i leczenie chorób nosa, uszu, krtani, gardła oraz pozostałych narządów głowy i szyi. Człony poprzedzające potoczny termin odnoszą się do poszczególnych narządów i ich części, których nazwy pochodzą z języków łacińskiego lub greckiego. Przykładowo łacińskim odpowiednikiem krtani jest *larynx*, po grecku część ucha to *oros*, nosa – *rynos* itd. Nie sądzę, aby znajomość tych szczegółowych nazw była niezbędna. Najczęściej pacjenci trafiają do gabinetów otolaryngologicznych. W obrębie zainteresowań tej specjalizacji znajduje się także chirurgia gruczołów ślinowych, języka, zatok obocznych nosa. Laryngolodzy wykonują również zabiegi endoskopowe zatok przynosowych, krtani, przełyku i górnych dróg oddechowych a także zajmują się chirurgią szczęki, chirurgią twarzoczaszki, chirurgią rekonstrukcyjną, rozpoznają i leczą powikłania schorzeń uszu i zmian patologicznych w obrębie szyi. W dużym skrócie można więc powiedzieć, że współczesna laryngologia to chirurgia głowy i szyi oraz wynikających stąd powikłań wewnątrzczaszkowych, których źródło tkwi w twarzoczaszce, uszach czy szyi.

– Coraz częściej słyszymy o laryngologicznej onkologii?

– To prawda. Chorób nowotworowych jest coraz więcej. Najczęstszymi schorzeniami są nowotwory jamy ustnej, gardła, krtani, ślinianek, uszu, twarzoczaszki i niestety przypadków tych przybywa, ponieważ są one wynikiem oddziaływania czynników ryzyka pochodzenia zewnętrznego, takich jak palenie tytoniu, nadużywanie alkoholu...

– To nie są nowe zagrożenia...

– To prawda, że palenie tytoniu czy nadużywanie wysokoprocentowego alkoholu nie jest zjawiskiem nowym, ale sądzę, że znacznie obniżył się wiek osób sięgających po używkę, w tym także po narkotyki i stąd tak duża progresja zachorowań na nowotwory.

– Podniósł się też znacznie poziom diagnostyki.

– Nie ulega wątpliwości, najlepszym przykładem może być postęp technologiczny w dziedzinie endoskopii, która ogrom-

Rozmowa z profesorem dr. hab. nauk medycznych  
JANEM PILCHEM,  
laryngologiem Szpitala Klinicznego w Katowicach



## Rozsądek – lek bez recepty

nie ułatwia diagnostykę a jednocześnie znacznie ogranicza konieczność korzystania z tradycyjnych badań radiologicznych. Wprowadzenie metod obrazowych do diagnostyki np. tomografii rezonansu magnetycznego, czy pozytonowej tomografii emisyjnej w sposób istotny ułatwia diagnostykę oraz pozwala na ustalenie właściwej terapii i monitorowania. Dzięki zastosowaniu nowoczesnych układów optycznych można obserwować niedostępne dla bezpośredniej oceny wzrokowej wnętrza dróg oddechowych, nosa, krtani, ucha, zatok itp. Wykorzystanie fiberoskopu umożliwia diagnozowanie raka nosogardła. Ogromnie pomocne są także efekty badań w zakresie biologii molekularnej. Nieocenione są informacje, których dostarcza nam analiza markerów. Stosowanie nowoczesnych technologii wykorzystujących metody biologii molekularnej ma przed sobą ogromną przyszłość zarówno w dziedzinie diagnostyki jak i leczenia.

– W jaki sposób wiedza o markerach ułatwia leczenie?

– Analiza zachowania się markerów pozwala na wczesne wykrycie nowotworów a także na określenie stopnia ich złośliwości i agresywności. Umożliwia również monitorowanie leczenia choroby nowotworowej i informuje o groźących powikłaniach i ewentualnym ryzyku wznowy.

– Obraz dzisiejszej medycyny jest niejednorodny. Z jednej strony słyszymy o „rewolucyjnych” zmianach, stosowaniu nowoczesnych technologii, z drugiej – wciąż torpedowani jesteśmy problemami, z którymi boryka się służba zdrowia.

– Niemal w każdym przypadku o skuteczności leczenia decyduje czas. Skrócenie do minimum okresu od momentu pojawienia się pierwszych objawów, postawienia diagnozy do ustalenia odpowiedniej terapii jest podstawą powodzenia walki z chorobą. Tymczasem już na wstępnym etapie zaczyna się proces oczekiwania, czeka się na podstawowe badania typu rezonans magnetyczny, czy tomografia komputerowa, czeka się także w wielomiesięcznych cyklach do radioterapii, zarówno pierwotnej jak i pooperacyjnej. Nie za wszystko można obwiniać system. Pacjenci także zwlekają z wizytą u lekarza, mimo niepokojących dolegliwości a lekarze rodzinni, w gestii których pozostaje podstawowa diagnostyka, mają zbyt małe doświadczenie z zakresu onkologii, aby w odpowiednim momencie skierować pacjenta do specjalisty, bywa więc, że trafiają oni do nas z bardzo za-

awansowaną chorobą nowotworową, zdarza się, że na pomoc jest już za późno. Nic nie dadzą najnowocześniejsze technologie i medyczne rewolucje jeśli zawodzie organizacja pracy, zdrowy rozsądek i samoświadomość pacjentów.

– Samoświadomość często mylimy z samoleczeniem. Chętniej zaglądamy do Internetu, czy słuchamy reklam zachwalających najskuteczniejsze ogólnodostępne leki, niż korzystamy z porad lekarza.

– Na skutki nie trzeba długo czekać. Każdy rodzaj profilaktyki jest cenniejszy niż leczenie. Stąd nasz apel do środków masowego przekazu o informowanie i nagłaśnianie zagrożeń inicjujących choroby.

– Nikogo już dziś nie dziwi aparat słuchowy, znacznie podnoszący komfort ludzi mających problemy ze słuchem. Kolejną rewolucją we współczesnej otolaryngologii są implanty.

– W naszej klinice wykonujemy operacje rekonstrukcyjne uszu, które mówiąc bardziej obrazowo są zabiegami naprawia-



jącymi ucho środkowe, czyli miejsce, gdzie nastąpiło przerwanie transmisji dźwięku do ucha wewnętrznego. Rozwój implantologii umożliwił normalne funkcjonowanie wszystkim zarówno dorosłym jak i dzieciom cierpiącym na głęboki niedosłuch odbiorczy, głuchotę nabytą lub wrodzoną. Implant ślimakowy jest elektroniczną protezą narządu słuchu, która stymuluje zakończenie nerwu słuchowego u pacjentów z obustronną głuchotą lub obustronnym głębokim niedosłuchem. Inną metodą jest wszczepianie implantów pniowych, które mocowane są w pniu mózgu i stymulują bezpośrednio umieszczone tam jądra nerwu słuchowego. Tego typu zabiegi wykonuje się u pacjentów z obustronnym całkowitym uszkodzeniem nerwów słuchowych, będącym na przykład następstwem guza nerwu słuchowego. Przywracanie ludziom głuchym lub niedosłyszącym kontaktu ze światem dźwięków, szczególnie dzieciom, jest niezwykle ważne ze społecznego punktu widzenia, zapewnia im normalny rozwój intelektualny, pozwala na funkcjonowanie w życiu społecznym. Implanty to ogromna zdobycz medycyny a implantologia jest nauką niezmiernie rozwojową.

– **Wiedza o negatywnych skutkach hałasu zdaje się być ogólnodostępna a jednak słuchanie bardzo głośnej muzyki przez słuchawki jest modą nie tylko nieprzemijającą ale stale nasilającą się. Obecne pokolenie nie bez powodu nazwano pokoleniem mp3.**

– To są zachowania toksyczne. Hałas powoduje uszkodzenie komórek rzęsatych ślimaka, których wypustki tworzą nerw słuchowy, przewodzący impulsy nerwowe do tych części mózgu, które są odpowiedzialne za słyszenie. Uszkodzenie to w konsekwencji prowadzi do upośledzenia słuchu. Szczególnie niebezpieczne są niewielkie, wkładane głęboko do ucha słuchawki, dzięki którym dźwięki docierają bezpośrednio do ucha środkowego powodując uszkodzenie słuchu.

– **Czy to są zmiany nieodwracalne?**

– W zależności od stopnia uszkodzenia komórek, których nie da się odtworzyć zmiany te są nieodwracalne. W najlepszym wypadku doprowadzają do zakłócenia odbioru dźwięków, niedosłuchu, w skrajnych przypadkach do całkowitej utraty słuchu. Pozostałe różne formy niedosłuchów odbiorczych wymagają zaopatrzenia ortopedycznego, czyli odpowiednio dobranego aparatu słuchowego. Najlepszym aparatem jest ten, w którym pacjent czuje się najlepiej. Nie popadajmy jednak w przesadę, słuchanie muzyki przy pomocy słuchawek jest oczywiście możliwe, ale pod warunkiem rozsądnego z nich korzystania. Rozsądnego to znaczy przede wszystkim ustawienie odpowiedniego natężenia dźwięku, czyli nie przekraczającego dziewięćdziesięciu decybeli, trzeba także pamiętać o koniecznych przerwach w słuchaniu. Z modami niestety tak bywa, że zwykle panują wbrew rozsądkowi. Korzystanie ze słuchawek jest wygodne a czasami wręcz niezbędne, we wszystkim jednak konieczny jest umiar. Jakość sprzę-

tu jest także bardzo ważna. Co powinno niepokoić? Sygnałem ostrzegawczym jest pojawienie się po zdjęciu słuchawek szumu w uszach. Przekroczenie bariery bezpieczeństwa objawia się dekoncentracją, wzmożoną pobudliwością nerwową, rozdrażnieniem a nawet zaburzeniami w układzie sercowo-naczyniowym...

– **Skoro mowa o modzie, kolejnym zjawiskiem, które zapanowało wśród młodzieży, a nawet małych dzieci są kolczyki w najdziwniejszych miejscach: w uszach, w nosie, na języku...**

– To rzeczywiście widok wręcz powszechny. Ozdoby mocowane w różnych częściach ciała są jednak intruzami, przeciwko którym organizm się buntuje. Kolczykowanie to rodzaj implantowania, wymaga więc ogromnej ostrożności, począwszy od zachowania właściwej sterylności podczas zabiegu przekłuwania a skończywszy na materiale, z którego wykonane są kolczyki. Każda ingerencja budzi odpowiedź organizmu. Pierwszym objawem jest zazwyczaj stan zapalny. Kolejne pojawiają się znacznie później, szczególnie w wyniku długotrwałego oddziaływania na organizm przypadkowo dobranych stopów metali. Do rzadkości należą kolczyki wykonane z obojętnych dla organizmu złota czy platyny a najczęściej stosowane są stopy zawierające dużą ilość niklu, metali ciężkich, ich działanie jest bardzo niebezpieczne i prowadzi do reakcji toksycznych, mogących inicjować choroby nowotworowe.

– **Zapewne nie dając żadnych sygnałów.**

– Do czasu. Ciało obce na przykład w nosie, narządzie szczególnie czułym, musi wzbudzać reakcję organizmu. Każde uszkodzenie ciała jest punktem zmniejszonej odporności. Dziurawienie języka powoduje różnego typu reakcje alergiczne, sprzyja także rozwojowi grzybic. Ponadto wystające ozdoby czy srułki, którymi są one mocowane kaleczą wewnątrz jamy ustnej, uszkadzają zęby i ułatwiają przedostawanie się do organizmu toksycznych substancji, nie mówiąc już o bardzo częstych przypadkach połknięcia owych zaczepów, które wdrążają do przewodu pokarmowego wymagają interwencji endoskopowej lub chirurgicznej.

– **Cytując za profesorem Dariuszem Jurkiewiczem: w Polsce jest 1755 specjalistów z zakresu otolaryngologii, co oznacza, że na 100 tysięcy mieszkańców przypada ok. 4,59 specjalisty, jesteśmy lepsi od Wielkiej Brytanii i Irlandii ale gorsi od Austrii, Belgii, Niemiec, Szwecji, Finlandii i Włoch. A jednak dostać się do laryngologa wcale nie jest łatwo?**

– Coraz mniej jest specjalistów w tej dziedzinie. Mimo że jest to niezwykle ważna i interesująca specjalizacja, niewielu młodych lekarzy po nią sięga. Ubywa także oddziałów laryngologicznych. Szczególnie tych mniejszych, których znaczenia nie wolno nie doceniać. To tam wykonywane są podstawowe zabiegi typu wycinanie migdałów, tam trafiają pacjenci w nagłych przypadkach tak urazowych jak i wynikających z przewlekłych schorzeń laryngo-

logicznych ale wymagających hospitalizacji. Decyzje te zwykle podyktowane są rachunkiem ekonomicznym, ale nie wszystko można przeliczać na pieniądze. Skutki zaniedbań leczenia są czasami o wiele wyższe, nie tylko z etycznego punktu widzenia, finansowego także.

– **Katowicka klinika jest jedyną na terenie Śląska?**

– Jedną z dwóch. Oprócz katowickiej jest jeszcze klinika zabrzańska. Niestety, kilka oddziałów w szpitalach miejskich zostało zlikwidowanych. To nie jest dobry kierunek reformowania lecznictwa w Polsce.

– **Klinika wchodzi w skład Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, czyli szkoli przyszłych lekarzy i prowadzi badania naukowe.**

– Na tym polega specyfika pracy klinicznej. Prowadzimy wiele badań, współpracując z innymi jednostkami naukowymi. Jednym z najnowszych programów, w którym uczestniczymy, są badania prowadzone wspólnie z Wydziałem Inżynierii Materiałów i Ceramiki z AGH w Krakowie, dotyczą one rekonstrukcji krtni i tchawicy z wykorzystaniem nowych biomateriałów, które nie tylko podnoszą komfort życia pacjentów, ale także znacznie przedłużają żywotność elementów rekonstrukcyjnych. Jest to szczególnie ważna dziedzina, ponieważ niestety stale przybywa pacjentów, ofiar wypadków samochodowych, którzy wymagają takich rekonstrukcji. Uczestniczymy także w górnośląskim programie leczenia całkowitej głuchoty, stąd tak dużo zabiegów wszczepiania implantów, w tej dziedzinie implantologii zajmujemy trzecie miejsce w Polsce. Bierzemy też udział w badaniach wspomagających diagnostykę molekularną. Moim obszarem badawczym jest onkologia i leczenie uporczywych szumów usznych i zawrotów głowy z wykorzystaniem komory hiperbarycznej.

– **Urodził się pan profesor w Myślenicach, droga do Katowic wiodła przez Kraków...**

– Nie tylko. Po ukończeniu krakowskiej Akademii Medycznej podjąłem pracę w Zawierciu, dopiero rok później trafiłem do Katowic na oddział laryngologiczny Państwowego Szpitala Klinicznego i tak już zostało...

– **... tu wychował pan profesor wiele pokoleń śląskich laryngologów.**

– Bardzo mnie to cieszy, to znakomici specjaliści. Obecnie kliniką, w której nadal pracuję, kieruje jeden z moich najzdolniejszych lekarzy. To duża satysfakcja.

– **Jak czuje się góral na Śląsku?**

– Znakomicie. Już sam fakt, że spędziłem tu tyle lat jest wymowny. Praca na Śląsku okazała się niezwykle inspirująca. Spotkałem tu wspaniałych ludzi – nadzwyczaj pracowitych, świetnie zorganizowanych i niebawale obowiązkowych, nigdy nie żalowałem, że to właśnie im poświęciłem całe swoje życie zawodowe.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiała  
MARIA SZTUKA

## PROLOG

Salonik w parafii przy ul. Warszawskiej, mały okrągły stół, owocowa herbata, ciasteczka, jedna z ostatnich rozmów z bp. Tadeuszem Szurmanem. Rozmawiamy o etosie protestantyzmu, dowiaduję się o przedsiębiorcach protestanckich z regionu bielskiego i cieszyńskiego, o parafii katowickiej – dużej, bo katedralnej i małej (900 wyznawców), ale też najstarszej w Katowicach, budowanej sto lat temu niemal równoległe z sąsiedzką katolicką parafią mariacką...

Kiedy parę lat temu nagrywałem kolejny program telewizyjny z cyklu filmowych portretów współczesnych Ślązaków, jedna ze scen dotyczyła pytań o prywatność, czas pozazawodowy, o czas będący do własnej dyspozycji.

Bohaterem tego odcinka filmowego cyklu był biskup Tadeusz. Wielokrotnie, wcześniej mieliśmy okazje spotykać się w studio przed kamerą, także w czasie różnych uroczystości, w których poznawaliśmy diasporę ewangelicką na Górnym Śląsku – trudno więc było mówić o rezerwie, czy też szczególnym rodzaju tremy towarzyszącej obecności kamery i mikrofonu.

Odpowiedź na powyższe pytanie o wolny czas, o odpoczynek była zaskakująca. Padły proste, szczerze słowa: „nie pragnę specjalnie odpoczywać, mam z tym kłopot, moja praca będąca moim powołaniem sprawia mi radość, niechętnie od niej uciekam – nawet na krótko, u nas kiedyś w Cieszyńskim tak było – wyniosłem z domu taki balast...”

Swoistą pointą w tej sytuacji był jego szczerzy uśmiech, może i zakłopotanie...

Ulica Francuska, róg Powstańców, dom biskupów katowickich, zamieszkuje go abp Damian Zimoń – metropolita katowicki-senior. Z górnych okien doskonały widok na kwatery cmentarza ewangelickiego. To dosłownie bliskie sąsiedztwo sprawia, że często do uszu domowników dobiegają echa pogrzebowych ceremonii.

### **Abp Damian Zimoń – metropolita katowicki, senior:**

„...tak – bp Tadeusz – on teraz tam mieszka, widzę z moich okien tę aleję cmentarną. Często tam zachodzę, rozmawiamy w modlitwie...”

Bardzo liczne nasze kontakty utwierdziły mnie w przekonaniu, że to był dobry człowiek, postać jak ze św. Jana. Jeszcze w kontekście tego miejsca wiecznego spoczynku – tu, na Francuskiej, przy różnych okazjach odwiedzaliśmy wspólnie groby wielkich Ślązaków – zarówno katolickiej, jak i ewangelickiej konfesji. Przecież tu pochowani są i Wilhelm Szewczyk i Wojciech Korfanty.

Wiedzieliśmy, że mimo słabego zdrowia bp Tadeusz trwał w swej służbie do końca. Mówiono mi wielokrotnie, że mamy dobrą współpracę, że nasze eku-

Wspomnienie o bp. TADEUSZU SZURMANIE



Fot. Zbigniew Sawicz

# Okrucy zdarzeń...

ADAM  
KRAŚNICKI

meniczne gesty i działania nie są od święta. Bardzo docenił przekazanie kościoła w Siemianowicach Śląskich użytkownika przez nas od 1945 roku. (otrzymaliśmy go wyniku reparacji wojennych). To był Rok Jubileuszowy – rok 2000 – był to więc prawdziwy wymiar ekume-

nizmu praktycznego. Rezydujące tam również siostry wizytki przybyłe do Siemianowic z Wilna, przeniesiśmy na nowe miejsce. Było to dla nas dużym wyzwaniem, ale uczyniliśmy to, aby parafia ta powróciła do swych pierwotnych właścicieli.

Pamiętam, kiedy Jan Paweł II wydał swą encyklikę o ekumenizmie „Ut unum sint” – biskup Tadeusz przyszedł tutaj do mnie i poprosił o ten dokument. Tak bywało, wielokrotnie przy różnych okazjach rozmawialiśmy niemal o wszystkim. Nabierałem pewności, że był to człowiek głębokiej duchowości, doskonale znający Biblię. Niedawno usłyszałem, że biskup Tadeusz miał kiedyś powiedzieć, że uczył się biskupstwa ode mnie. Jeśli by tak miało być – przyjmuję to z pokorą i wielką satysfakcją, ale myślę, że miał swoją piękną charyzmę i rozpoznawalny rys posługi – nie wymagał żadnych koprecypcji...”

Charakterystyczna była Biblioteka Śląskiej w Katowicach. Jeszcze niedawno prezentowano tu wystawę przedstawiającą dorobek myśli i dzieła bp. Tadeusza Szurmana. Fotografie, listy, pisma, tomiki poezji jego autorstwa – materialny ślad jego obecności w intelektualnym życiu nie tylko regionu.

### **Prof. dr hab. Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej:**

„... nasza bliska znajomość sięga początku lat 90. Jak sądzę, zawiązały się między nami dwie nici porozumienia i wzajemnej ciekawości. Pierwsza wiodła przez umiłowanie słowa. Tutaj, w 2004 roku, odbyła się promocja jego pierwszego tomiku poezji „Malowane niezdarnie wiersze” – autor dodał podtytuł – „tomik poety jednego miesiąca”. Pamiętam, prowadziłem to spotkanie...”

Druga nić naszych relacji prowadziła do dysputy naukowej i filozoficznej refleksji. To były organizowane tu wspólnie z prof. Grażyną Szewczyk spotkania literacko-historyczne. Potem bywał gościem zainicjowanych u nas sesji w ramach „Święta Biblii”. Była to prawdziwa uczta wymiany myśli różnych osób z Kościołów reprezentowanych w Polskiej Radzie Ekumenicznej.

Ostatni raz spotkaliśmy się w końcu minionego roku w Pałacu Prezydenckim w Warszawie, gdzie inicjowaliśmy powołanie honorowego komitetu budowy w stolicy pomnika Wojciecha Korfańtego. Potem jeszcze raz tylko miałem okazję widzieć się z bp. Tadeuszem 13 grudnia 2013 roku na seminarium naukowym o Kościołach reformowanych.

Był on niewątpliwie człowiekiem wewnętrznego dostojności, z darem umiejętności słuchania i wewnętrzną pokorą. Można nawet powiedzieć, że był człowiekiem szczególnej aury, promieniającej dobrem. To była ważna postać w śląskich elitach – nie zabiegał o błyszczenie w mediach, a równocześnie był w nich często obecny. Społeczności ewangelickiej, zwłaszcza tu na Górnym Śląsku, swą aktywnością dodawał splendoru. Wraz z metropolitą katowickim abp. Damianem Zimoniem obecny był we wszystkich najważniejszych wydarzeniach życia regionu – daleko wykraczających poza życie obu Kościołów.

Chciałbym mu bardzo podziękować za nasze lata...”

Media były jego ważnym doświadczeniem. Sympatia do dziennikarzy była odwzajemniona. Od 1992 roku był obecny w Polskim Radio, potem w Telewizji Polskiej. Nigdy nie odmawiał zaproszeniom. W tamtych latach sporo było transmisji z nabożeństw w parafiach ewangelickich na Śląsku. Swozy transmisyjne stały w Mikołowie, Świętochłowicach, Żorach, w Cieszynie.

Bardzo sobie cenił radio, jego intymność, dobrze się czuł na korytarzach budynku przy ul. Ligonja. Ostatni raz w studio katowickiej telewizji „na żywo” rozmawialiśmy w przededniu Święta Reformacji 30 października ubiegłego roku – pytałem go wtedy, co niepokojącego dostrzeżę w krajach będących kolebką luteranizmu? (Niemcy, Niderlandy) – pytałem, czy chrześcijaństwo umiera? Czy stary kontynent wymaga oczyszczenia, wypalenia jak złoto w tyglu?

Katowice, ul. Ligonja, budynek Polskiego Radia S.A., niezmienione korytarze, ta sama droga do studia nagrań. W niedzielne poranki i święta od początku lat dziewięćdziesiątych, na antenie tej rozgłośni pojawiła się audycja „Głos Życia”, autorsko przygotowywana najpierw przez bp. Tadeusza Szurmana, później czynili to współpracownicy, dziś młodzi duchowni tej konfesji...

### **Red. Jacek Filus – dyrektor anteny Polskiego Radia S.A. w Katowicach:**

„... to był rzeczywiście bardzo głęboko wierzący człowiek. Delikatny, wrażliwy, w tym co nam proponował – to nie były nachalne i banalne audycje – a wydaje mi się, że znam trochę nasz kapłański stan na Śląsku. Bliżej poznałem go dopiero w 2001 roku, kiedy był już w Katowicach biskupem Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Była to transmisja centralnego nabożeństwa ekumenicznego z parafii św. Jana w Mikołowie. Usłyszałem od niego o danym mu „krótkim czasie i poczuciu własnego ograniczenia”, które nosił w sobie. Pełni kontekstu tej wypowiedzi wtedy jeszcze nie rozumiałem, bo właśnie te następne lata przyniosły świetne, dynamiczne owoce jego posługi, wręcz spektakularne formy aktywności i zaznaczenia obecności ewangelickiego etosu w naszym życiu. Wtedy też pojawiła się nagroda „Róża Lutra” – wyróżnienie Kościoła dla ludzi różnych stanów i profesji, m.in. dla dziennikarzy. Później, od 2003 roku, pojawił się także prestiżowy „Śląski Szmaragd” – honorujący zawsze dwie wybitne postacie, zarówno spośród wyznawców tego Kościoła, jak i z grona najszerszego świata ludzi godnych dla tej ziemi – nie będących ewangelikami. To była jego autorska inicjatywa. Co ciekawe, wśród pierwszych laureatów byli m. in. abp Alfons Nossol i Adam Małysz, byli też Kazimierz Kutz i prof. Grażyna Szewczyk. To było bardzo ekumenicz-

ne wydarzenie, wpisane zawsze w program dorocznego nabożeństwa Dnia Reformacji – 31 października”.

Dzień pogrzebu śp. bp. Biskupa Tadeusza Szurmana – 3 lutego 2014 roku. Piękny słoneczny dzień, żadnych śladów zimy, nadzieja i ukojenie w promieniach słońca i bezwietrznej aury. Kondukt sięgający bram ewangelickiego cmentarza przy ul. Francuskiej kończył się u wylotu ul. Warszawskiej. Żegnały go tłumy. Kiedy kondukt mijiał ulicę Mariacką, rozdzwoniły się wszystkie dzwony najstarszego kościoła katolickiego w tym mieście...

Jurysdykcja biskupa i administrowanie diecezją katowicką Kościoła ewangelicko-augsburskiego sięga rozległego obszaru, od parafii w Brzegu na Dolnym Śląsku, aż po Nowy Sącz, Kraków, Częstochowę. Obejmuje niemal wszystkie miasta górnośląskie. To wymagało zawsze dużej aktywności zwierzchnika diecezji, dodatkowo były też obowiązki w konsystorzach, prace w komisjach synodalnych. Biskup Tadeusz Szurman mimo kłopotów ze zdrowiem umiał sprostać tym obowiązkom.

### **Ks. dr Marian Niemiec – radca diecezjalny (proboszcz parafii ewangelickiej w Opolu):**

„... miał zawsze spory autorytet nie tylko wśród księży u siebie, ale i tu w Opolu – był chętnie słuchany, był rozpoznawalny. Bywało, że nawet mu tego zazdrościłem – tej otwartości i czytelnego i intelektualnego rysu jego biskupich wystąpień, dobrej energii niczym nieograniczonej, mimo że przecież u nas to prawdziwie mała ewangelicka diaspora.

Niezwykle mądrą decyzją była utworzona przez niego nagroda „Śląskiego Szmaragdu”. W idei tego wyróżnienia jest honorowanie osobowości spoza naszego Kościoła – tak to właśnie wybitni opolanie katolicy – abp Alfons Nossol i prof. Dorota Simonides otrzymali od niego ten prestiżowy laur.

Proszę pamiętać, że w ubiegłym roku była już jej 10. edycja, to ma swoje znaczenie dla naszego Kościoła i jego ostrzegania wśród ludzi.

Biskup Tadeusz miał też swoje marzenia, ale i rozczarowania. Choć był z natury optymistą, człowiekiem łagodzącym spory, ostatnio coraz częściej wyrażał swe obawy o przyszłość kondycji współczesnego człowieka, miejsca Boga w życiu... Nie rozumiał wielu zachowań, zwłaszcza młodych księży, nie akceptował częstego myślenia kategoriami ekonomicznymi. Miałem odczucie jakby powolnego wycofywania się z tak wielu aktywności. Dziś to wiemy, że to choroba postępowała, dawała o sobie znać. Kiedyś, przed laty, zwierzył mi się, że zaproponowano mu nawet przeszedz w wątroby, wtedy odrzucił to wierząc, że to jeszcze nie ten czas, że nosi w sobie ufność, że ma dość siły i rzeczywiście tak było przez lata – aż do tej chwili.



Teraz każdy jego następcą na urzędzie będzie miał trudność, aby sprostać jego charyzmem.

Był postacią wybitną w naszym Kościele. Żał, że teraz o przyszłości naszej diecezji będziemy rozmawiali bez jego udziału, bez jego głosu – niestety...”

Róg ul. Warszawskiej i Bankowej – ściśle centrum Katowic. Budynek Parafii Ewangelickiej – willa z podjazdem obok charakterystycznej sylwetki kościoła katedralnego Zmartwychwstania Pańskiego, miejsce blisko 20 lat życia i posługiwania bp. Tadeusza Szurmana jako zwierzchnika diecezji katowickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP.

Kancelaria, biuro parafialne, również siedziba redakcji pism ewangelickich wydawanych i redagowanych w Katowicach.

**Bożena Polak – członkini konsystorza Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP, wieloletnia współpracowniczka bp. Tadeusza Szurmana**

„... pracowaliśmy razem nieprzerwanie przez 19 lat. Nasza znajomość sięgała szkoły średniej, potem towarzyszyłam mu we wszystkim, co wiązało się z obowiązkami proboszcza, a potem z pełnieniem urzędu biskupa naszego Kościoła. Mam wrażenie, że jego posługa tutaj wciąż trwa, że ten czas się nie zamknął...

Kiedy w przeddzień pogrzebu wieczorem w niedzielę odbywał się czuwanie przy jego trumnie, w gronie najbliższych mu parafian, żegnałam go słowami psalmu 77 – „głos mój się wznosi do Boga i wołam, by mnie usłyszał...” Organizator ceremonii ks. Adam Malina dał nam wolny wybór (dosłowny) wykorzystania przygotowanych tekstów i właśnie ten psalm wybrałam niemal bezwiednie. Był bardzo moim osobistym, głębokim pożegnaniem.

Kiedy biskup Tadeusz leżał w szpitalu św. Barbary w Sosnowcu – były to styczniowe dni, praca nasza nie osłabła, zresztą wszyscy do końca nie zakładaliśmy dramatu. Po niedyspozycji i wyraźnym osłabieniu chorobą, która objawiła się w końcu grudnia ubiegłego roku i potem po pierwszej terapii – szczęśliwie wrócił do domu – pamiętam było to 4 stycznia. Potem, niestety było gorzej i ponowny powrót do szpitala. Po konsultacjach z hematologami w Warszawie liczyliśmy nawet na pilny przeszczep wątroby – ale było za późno. Niemniej, w ostatnich dniach odebrał jeszcze wiele wizyt, naszych księży pożegnał błogosławieństwem Aronowym.

Przez całe lata nie zwalniał tempa pracy, bywały takie tygodnie, gdzie niemal bez przerwy kursowaliśmy między Warszawą (siedziba synodu i konsystorza) a podległymi parafiami w diecezji,

a przecież miał jeszcze katechezę w szkole – liceum Mickiewicza w Katowicach, spotykał się z młodzieżą akademicką, no i miał przecież wspaniałą rodzinę, ukochaną córkę Miriam...

Bywało, że pisał wiersze, wiem, że pisał ich sporo, wydał w ostatnich latach 3 tomiki i świetny w swej treści i formie – modlitewnik na niezwykle chwile pt. „Słońce ponad cieniem”. To ponad 50 modlitw jego autorstwa, wzbogacone artystycznymi fotografiami z Ziemi Świętej – Danuty Żwak-Szurman. Modlitwy te są refleksją nad sytuacjami w życiu, których doświadcza każdy z nas, to myśli, które kierujemy do naszego Pana – w radości i trwodze. To naprawdę piękny tomik – ślad, który zostawił nam autor.

Jeszcze w ubiegłym roku obiecałam biskupowi Tadeuszowi, że wydamy na jego 60. urodziny zbiór wybranych kazań z jego 35-letniego posługiwania, wystąpień z synodów i wielu uroczystości. To jest pewien rodzaj kroniki naszego Kościoła, ale pojawił się problem jak zatytułować ten zbiór, jak go nazwać? To było nie rozstrzygnięte od pewnego czasu. Kiedy po jakiś dwóch tygodniach od śmierci biskupa Tadeusza mogłam zajrzeć do jego prywatnego gabinetu na poddaszu – tam w widocznym miejscu, oparta o monitor komputera była kartka papieru z podanym przez niego tytułem właśnie dla tego przygotowywanego wydawnictwa. Chyba wtedy, przed ponownym powrotem do szpitala zdążył jeszcze nam to zostawić? To był jakiś znak dla mnie...

Wiedzieliśmy wszyscy, że tam w tej „dziupli” pisał w ciszy najchętniej, ale słuchał też dużo muzyki – Bacha, Cohena, Krajewskiego, Kaczmarek. Tam też najpewniej przygotował niezwykle ważną dla siebie i dla zboru ankietę skierowaną do naszych księży, pytając w niej o najistotniejsze wyzwania w posługiwaniu. Wiem, że podobną wersję ankiety chciał przygotować dla naszych aktywnych parafian, upatrywał w niej źródło wiedzy o stanie naszej duchowości, potrzebnej mu, aby lepiej sprawować swój urząd biskupa. W swych marzeniach nosił się też z pomysłem stworzenia w rodzinnym Simoradzu na cieszyńskiej ziemi niemal rodzinnego domu seniora, kameralnego, przyjaznego, adresowanego także dla małych grup parafialnych – w miejscu bardzo mu bliskim – tam dalej mieszka jego Mama. Póki co, tutaj w tym domu na Warszawskiej jest wszystko tak jak było, w gabinecie, w biurze, te same przedmioty, obrazy. Następcą biskupa Tadeusza który tutaj przyjdzie, na pewno znajdzie tę dobrą przestrzeń i dobrego Ducha...

**Andrzej Jonszta – długoletni współpracownik bp. Tadeusza Szurmana – przewodniczący rady parafialnej kościoła katedralnego w Katowicach**

„... pracowaliśmy razem nieprzerwanie od 1993 roku, kiedy przybył tu z poprzedniej parafii w Świętochłowicach. Nastąpił tu po znakomicie przez lata posłu-

gującym ks. Adamie Hławicze i dla nas – od razu zaistniał. Umiał bardzo dobrze rozmawiać z ludźmi. Inni nazywają to umiejętnością dialogu. Mogę śmiało zaświadczyć, że w jego rysie kapłańskim i biskupim było coś, co zwłaszcza w ostatnich latach zaowocowało – to liczne konwersje do naszego Kościoła. Te przejścia do wyznania luterńskiego uczyniło około 50-60 osób. Wiem, że nie było w tym żadnej agitacji biskupa Tadeusza, to jego osobowość, przykład, duchowość sprawiły, że te osoby znalazły tu swoją chrześcijańską przystań.

Jego dziełem dokonany jest „Słoneczna dolina” – ośrodek społeczny adresowany zwłaszcza dla dzieci gorzej sytuowanych materialnie, oczywiście dostępny dla wszystkich, nie tylko naszych parafian. Przez wszystkie dni tygodnia pracuje tam z młodzieżą blisko 50 wolontariuszy. Biskup Szurman cieszył się z tego zrealizowanego pomysłu, że jego osobiste doświadczenie w pracy z młodzieżą i dziećmi znalazło takie realne spełnienie. Ten ośrodek funkcjonujący w tej części Katowic to absolutnie rzecz nie do przecenienia.

I jeszcze jeden – może niezauważony moment obrazujący jego prawdziwą osobowość. Na pogrzebie, przy trumnie stało kilkunastu bezdomnych katowiczów. Niektórych widywaliśmy, gdy przychodzili na parafię po wsparcie. Wiem, że dyskretnie uchylał przed nimi drzwi nasz biskup. Nikt z nas tych ludzi nie zapraszał na ceremonię, no bo jak? Spontanicznie, z serca przyszli do kościoła, potem towarzyszyli mu w ostatniej drodze – to coś musiało oznaczać...

Powraca do mnie jeszcze wspomnienie naszego pamiętnego Sylwestra – Jubileuszowego Roku 2000 – w ten nowy wiek, razem z rodzinami po nabożeństwie, prosto z katedry poszliśmy wszyscy z bp. Tadeuszem na katowicki rynek. Na pytanie czego najbardziej by pragnął i czego mu należy życzyć – odpowiedział – „aby być zawsze zdrowym, bo tyle spraw...”. To pragnienie raz jeszcze usłyszałem, gdy ostatni raz byłem u niego w sosnowieckim szpitalu.

W moim życiu lata naszej współpracy – były wielką szczęśliwą kartą, którą obdarował mnie nasz Pan. Z całą pewnością wiemy, że ewangelicyzm na Górnym Śląsku miał niepowtarzalnego pasterza...”.

## EPILOG

Kiedy opuszczam parafię przy ul. Warszawskiej, jeszcze przejście przez skwer obok kościoła. Tam parokrotnie spotykałem biskupa Tadeusza na spacerach z psem. Najpierw była to pamiętna Kula – bohaterka jednego z wierszy, ostatnio – Argo. Sylwetka biskupa jak z Galińskiego i sytuacja, w której – pan i jego czworonożny przyjaciel rozmawiali. O czym – nie mogłem usłyszeć.

Takim Go zapamiętałem...

## Z wybranych wierszy bp. Tadeusza Szurmana

### Na początek

Malowałem pędzlem niezdarnie,  
nawracałem ludzi,  
ale nigdy nie pisałem wierszy.  
Może w słowo ulotne wierzyłem,  
może potrzebowałem czegoś więcej?  
Słowo bywa stałe, lotne i płynne  
A kto dobrze nim włada –  
rządzi, kształtuje, czasami myśli.  
Chyba nie chcę potęgi Słowa,  
chcę tylko sprawdzić  
czy przetrwa dłużej niż życie.

### Nadzieja

Kiedy brakuje ci słów  
i mokniesz na słońcu,  
poleć za widnokrąg  
w kolumnie złych dni  
i uwielbiaj...  
Gdy skrzydła ci przycięto  
i mądryś po szkodzie,  
pożycz arkę Noego  
z gołębiem w klatce  
i wzlatuj...

### Niemożliwe

Życie to nie zabawa,  
choć potrzebuje tańca.  
Życie to nie asceza,  
choć wymaga wyrzeczeń.  
Życie to miłość o twardości kamienia,  
co zawsze myśli o dwoistości,  
co jest ciałem, czasami duchem,  
a więc nie odejdzie, bo to niemożliwe.

### Modlitwa

Radość bez cierpienia  
to dzień bez nocy, kobieta bez męża  
ptak bez śpiewu i bogacz bez grosza.  
Cierpienie bez nadziei  
to nie dokończona opera, nie narodzone dziecko,  
zwiędły liść i odrzucony Dekalog  
Nadzieja bez Boga  
to kruchy lód jeziora, gleba bez wody,  
słońce bez ciepła, wiara bez wieczności.  
Boże, jeśli dajesz cierpienie,  
daj mi też radość i nadzieję...



Fot. Zbigniew Sawicz

**Bp Tadeusz Szurman** urodził się 9 lipca 1954 roku w Simoradzu na Śląsku Cieszyńskim, ordynowany na duchownego 19 listopada 1978 roku w Golezowie na Śląsku Cieszyńskim. Posługę wikariusza podejmuje w Świętochłowicach, gdzie od 1984 roku pełni funkcję proboszcza. Równocześnie, w latach 1989-1990 był administratorem parafii w Zabrze. Od 1993 roku zostaje proboszczem ewangelickiej parafii w Katowicach. W latach 1982-1986 był duszpasterzem młodzieżowym diecezji katowickiej, zaś w latach 1984-1990 Ogólnopolskim Duszpasterzem Młodzieży i przewodniczącym Komisji Młodzieżowej Polskiej Rady Ekumenicznej. W latach 1991-2001 był radcą diecezjalnym Diecezji Katowickiej Kościoła, w latach 1998-2002 był prezesem Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP. W październiku 2001 zostaje wybrany przez Synod Diecezjalny na Biskupa Diecezji Katowickiej, w urząd został wprowadzony w kościele katedralnym Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach 6 stycznia 2002 roku.

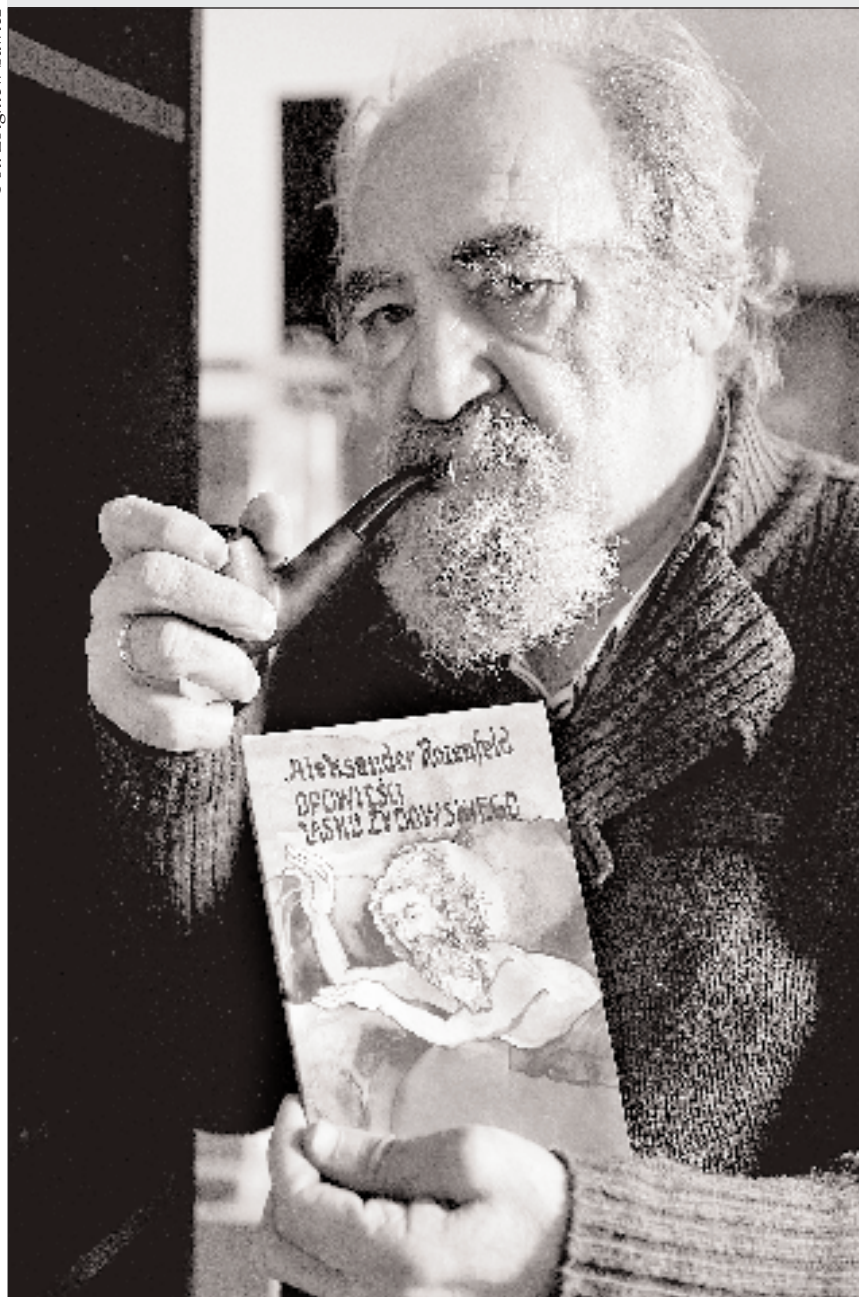
Od 2010 roku był zastępcą zwierzchnika Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce bp. Jerzego Samca.

Jest autorem wielu artykułów z dziedziny teologii, spraw społecznych, historii, współpracował z kwartalnikiem „Myśl Protestancka” i radą redakcyjną kwartalnika „Ewangelik”. Animował wiele przedsięwzięć kulturalnych i społecznych, za które wielokrotnie był nagradzany: był m. in. laureatem nagrody im. Karola Miarki oraz katolickiej nagrody im. ks. Emila Szramka.

W roku 2012 został honorowym obywatelem Miasta Katowice. Biskup Tadeusz Szurman był przewodnikiem duchowym i mentorem dla wielu pokoleń duchownych Kościoła. Zmarł 30.01.2014 r. w wieku niespełna lat sześćdziesięciu.

Z ALEKSANDREM ROZENFELDEM  
rozmawia WITOLD TURANT

Fot. Zbigniew Sawicz



także ich twórcą? – i jak to się ma do Twojej poezji? Pytam ponieważ czytelnicy otrzymali niedawno do rąk tomik twoich wierszy, pełnych zadumy, emocji, czasem gorczy i ironii, tomik zatytułowany „Jestem”.

– To są dwie różne rzeczy – moje wiersze i kontynuacja tradycji żydowskiego poczucia humoru. Nie zdarzyło mi się nigdy w życiu napisać satyrycznego wiersza. Dla mnie dowcip był zawsze rodzajem samoobrony. Kogo może interesować smętny Żyd?

– **A czy Żyd zawsze musi być smętny?**

– No właśnie. Na ogół Żyd jest smętny.

– **A ma powody?**

– W połowie wyimaginowane, ale ma. I nawet ta połowa wystarcza, żeby był smętny. Ja właściwie dowcip odkryłem drogą intuicji. Na ogół żyliśmy w czasach, kiedy było potwornie ponuro i nudno. Jedynym lekarstwem na to był żart sytuacyjny. Ratował nas, żebyśmy po prostu nie zwariowali. Ot, taka historia: w 1968 roku wylądowałem w Kielcach i na skutek różnych znanych dziś powszechnie splotów wydarzeń, z szefa placówki kulturalnej przekwalifikowano mnie na zaopatrzeniowca w Zarządzie Budynków Mieszkalnych. Pierwsze polecenie jakie otrzymałem od szefa, to był wyjazd do Warszawy po linę atestowaną do wind. Koledzy w dziale o mało nie umarli ze śmiechu, bo od pięciu lat nikt niczego stamtąd nie przywiózł. Cóż miałem zrobić? Pojechałem w ponurym nastroju. Wchodzę do gabinetu szefa tamtejszego działu zbytu i przedstawiam się. A on się mnie pyta (*tu charakterystyczny zaśpiew*):

– A skąd pan do nas przyjechał?

– Po pół godzinie wyjechałem z pięcioma tonami ładunku. Efekt był taki, że zostałem głównym zaopatrzeniowcem a dyrektor w stanie przedzawałowym wylądował w szpitalu.

– **Jednak główną stroną twojej osobowości, barwnej i złożonej, jest poezja.**

– Tak, ale to jest najtrudniejsza rzecz, o której można rozmawiać. I to zarówno w gronie samych poetów, jak i krytyków literackich. Dla mnie ostatnim rzetelnym krytykiem był Henryk Berezka. Dziś krytykami są na ogół niespełnieni pisarze. Istnieją rozmaite lobbies, których wyrazicielami są krytycy. Z drugiej jednak strony, jeśli wiesz sam się nie broni, nie ma o czym mówić.

# Czemu Żyd jest smętny

– Olku, powiedzmy jak to jest – znasz mnóstwo żydowskich dowcipów, tzw. szmoncesów, potrafisz je znakomicie opowiadać. Od kil-

ku lat mamy okazję ich słuchać, bo zostałeś katowiczanie. Ale ciekawi mnie, czy jesteś kolekcjonerem tych dowcipów i anegdot, czy

– Twoje wiersze są jednak głosem pewnego pokolenia, które ma za sobą niezwykle dramatyczne i bolesne doświadczenia.

– Sam sobie postawiłem taki postulat bycia strażnikiem pamięci. Należę do pokolenia urodzonego w czasach holokaustu. Wojnę przeżyło zaledwie kilkanaście osób z mojej bardzo licznej rodziny. Mama urodziła się w Odessie. Jej dziadek był wielkim rabinem Odessy. Rodzina uciekła przed bolszewikami do Polski. Mój dziadek ze strony ojca miał w Warszawie duży sklep, a babcia była jedyną Żydówką, która uczyła polskiego w katolickim gimnazjum, ale dom dziadka był już domem polskim. Rodzice w 1939 roku uciekli do Rosji, gdzie się urodziłem w rok później. Po wojnie znaleźliśmy się we Wrocławiu, a Marzec sześćdziesiątego ósmego roku, dość paradoksalnie okazał się dla mnie uniwersytetem polskości. To wszystko, a zwłaszcza wojenne losy stanowi taki ładunek, który można wyrazić jedynie wierszem.

– Czy twoje związki z katolicyzmem, to w jakiej mierze wpływ twojej babci, nauczycielki polskiego?

– Być może. Studiowałem na KUL-u, ale jeszcze jako niewierny, czy może raczej małowierny. Katolicyzm jest dla mnie nierozzerwalnie związany z polskością. Przed kilkunastu laty zostałem ochrzczony. Ale to nie zmienia faktu, że gdzieś tam i tak patrzą na mnie jak na garbatego.

– Widziałbym tu pewną analogię z postawą Romana Brandstaettera.

– Chyba można tak powiedzieć. Jestem nawet zaprzyjaźniony z dominikaninem o. Janem Górą, z którym także przyjaźnił się Brandstaetter. Właśnie u o. Góry zdążyłem go jeszcze poznać.

– Myślę, że na zakończenie naszej rozmowy przydałaby się jeszcze jakaś anegdota.

– Ale to nie będzie szmonces. Otóż ja do literatury wszedłem niejako anegdotą. Wyobraź sobie, że wysłano mnie do Stanisława Grochowiaka w sprawie mojej debiutanckiej publikacji. Zostałem zaproszony na piwo, ale odmówiłem, jako że piwa nie piję. Dopiero potem dowiedziałem się, że takie zaproszenie do warszawskiego „Jontka” oznacza akceptację. I tak oto mój debiut opóźnił się o rok.



Rys. Wojtek Grabowski

## Rozenfeld opowiada czym jest szmonces

**Czy przez dowcip można zostać zbanionym? Jedno jest pewne, że bez dowcipu życie byłoby zabójczo nudne. Bez dowcipu można by umrzeć. Żydowski szmonces jest darem Boga. Żydowski szmonces nie ma kolców.**

**Jest** przejawem miłości. Jak wiesz, wedle prawa żydowskiego nie można pochować człowieka, o którym nie można powiedzieć nic dobrego. I umarł taki skurwiel i cuchnie, więc gmina rozpisała konkurs. I zgłosił się facet, że powie coś dobrego o zmarłym nad trumną. Zebrani odetchnęli. No i słuchają: „Wszyscy wiemy, że zmarły był skończonym lajdakiem, oszustem i mordercą. Ale pozostawił po sobie dwóch synów, przy których zmarły był aniołem”.

Opowiem ci dowcip, który opowiada o moim przyjacielu. To znaczy pasuje do niego. Otóż Jurek mieszka pół roku w Izraelu, a pół w Rosji. W końcu władze nie wytrzymały i wezwały go, żeby się zdecydował, gdzie mu lepiej. A on na to „Zdies do dupy, tam do dupy, ale te przesiadki w Paryżu”. Wiesz to nie chodzi o ten Paryż. Wieża Eiffla, czy Montparnasse mnie nie powala. To chodzi o drogę. Tak naprawdę człowiek może zamieszkać tylko w drodze.

Rosyjski Żyd, nazwijmy go Rozenkranz złożył papiery w sowieckim biurze paszportowym na wyjazd do Izraela, wzywają go i pytają: Towarzyszu Rozenkranz czy wy

musicie koniecznie jechać do Izraela?, a gdzie mam jechać? pyta. Dają mu globus. Żyd kręci globusem, kręci, wreszcie pyta: a nie macie innego globusa?

Rok 1968 – wiadomo, że bez dowcipu nie można było żyć. Oto kilka próbek. Ogłoszenie w „Życiu Warszawy”: „Poszukuję pana, który w czasie wojny przechowywał mnie w szafie”. Nadal aktualne. Albo – autentyczne, nie żart: Na polskich Żydów lądujących w Ziemi Obiecanej czekał transparent po polsku: „Nie bądźcie za mądryzy, mądrzejści przyjechali przed wami”.

Szmonces to drwina z obyczaju, ten trwa wiecznie. Przykład: ksiądz, pop i rabin opowiadają co robią z datkami na świątynię. Ksiądz: kreślę w kościele duże koło, a datki podrzucam do góry, co spadnie do koła to moje, co na zewnątrz Stwórcy, pop: my też tak robimy, tylko na odwrot, a rabin: my nie kreślimy koła, datki podrzucamy do góry, co Bóg weźmie, to Jego, co spadnie na ziemię – moje.

Bez uśmiechu nie można wytrzymać. W najczarniejszych dniach okupacji dowcip ratował istnienie. Przykład drastyczny, ale prawdziwy – opowiedział mi go Żyd po opuszczeniu Auschwitz: „Kolejka do selekcji, na lewo do gazu, na prawo do pracy. Przychodzi kolej na rosnącego, dobrze zbudowanego Żyda. Do gazu! – pada polecenie, na to Żyd – *job twoju mat* – czwarty raz do gazu, już mnie oczy szczypią!...

„Nie pozwólmy, aby przestały nas radować istoty żywe i rzeczy, (...) nie buntujmy się przeciw naszym żądom, lecz opanujmy je i zwiążmy z Bogiem; nie poskramiajmy naszych namiętności, lecz uświęćmy je, aby uświęcone, spoczęły w Bogu. (...) Wszelkie pracierpienie pragnie dostępu do naszej radości pełnej zachwycenia.

(...) Nasza radość wznosi się, kiedy nie pragniemy już niczego poza radością Bożą – niczego poza samą radością.

(Martin Buber, *Opowieści chasydów*)

WIESŁAWA  
KONOPELSKA

# Żyjący w zachwyceniu

Lelów – 200 lat temu, 28 stycznia 1814 roku (7 szwat 5574 r.), na miejscowym cmentarzu żydowskim pochowano cadyka Dawida Bidermana, ucznia Elimelecha z Leżajska, Mosze Leiba

z Sasowa i Jakowa Icchaka Horowica zwanego „Widzącym z Lublina”. Należał do – jak to określa Martin Buber – najbardziej ujmujących postaci ruchu chasydzkiego i grona znanych ówczesnie

cadyków na ziemiach polskich. Jego myśli cytowane są do dziś przez chasydów na całym świecie.

„Mądry, a zarazem dziecinny, szczerzy wobec wszystkich, a zarazem chroniący w sercu jakąś tajemnicę, obcy wszelkiemu grzechowi, lecz broniący grzeszników przed prześladowaniem. (...) Przez długi czas nie chciał, by uważano go za cadyka, choć miał wielu wielbiących go zwolenników, którzy tego prostego człowieka – z pewnością słuszniej niż w przypadku innych cadyków – porównywali nawet z królem Dawidem. Długo stał za ladą w swoim sklepiku, z którego w dodatku nieraz odsyłał klientów do innych, biedniejszych kupców. Chętnie jeździł po okolicy, odwiedzał obcych Żydów po wsiach i w braterskiej z nimi rozmowie dodawał im otuchy, w miasteczkach zbierał wokół siebie dzieci, prowadził je na przechadzki, bawił się z nimi i muzykował, karmił i poił (...) samopas pozostawione na jarmarkach zwierzęta; szczególnie lubił konie i zawsze z naciskiem podkreślał, że tylko głupiec okłada je batem. (...) Za swoje najważniejsze zadanie uważał godzenie ludzi, toteż – jak głosi tradycja – było mu dane, że modlitwa odmówiona przez niego w miejscu kłótni przywracała pokój i zgodę. Nauczał, że chcąc ludzi nawrócić, nie trzeba ich łajać lub upominać, lecz należy obchodzić się z nimi przyjaźnie, łagodzić burze, które nimi miotają, i przez miłość doprowadzić do poznania Boga” – pisał Martin Buber w „Opowieściach chasydów”.

Następcą cadyka Dawida Bidermana został jego syn – Mosze, który przeziósł siedzibę dynastii z Lelowa do Jerozolimy.

\* \* \*

Podczas drugiej wojny światowej nekropolia (jedna z dwóch w Lelowie) uległa zniszczeniu, a w latach PRL-u na miejscu cmentarza postawiono pawilon Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Płyty z nagrobków – macewy posłużyły do ułożenia chodnika przy pobliskiej szkole.

Dopiero w 1987 roku, za sprawą Fundacji Rodziny Nissenbaumów rozpoczęły się prace zmierzające do odszukania grobu cadyka Biedermanna. Rok później z Izraela przyjechali Sonia i Zygmunt Nissenbaumowie, którzy wraz z jedynym ocalałym z zagłady mieszkańcem miasteczka Henrykiem Środą rozpoczęli poszukiwania. Wówczas odnaleziono płytę nagrobną cadyka Dawida. W tym samym roku władze Lelowa odsprzedały Fundacji część budynku handlowego, w której pod cementową posadzką znajdował się grób. Przemurowano ścianę, tworząc pod tym samym dachem pawilonu handlowego wyodrębnione pomieszczenia ohelu cadyka (na podstawie wspomnień Wojciecha Łygasia z Fundacji Rodziny Nissenbaumów). W 2011 roku Fundacja Rodziny Nissenbaumów ogrodziła teren cmentarza, a rok później przystąpiła do budowy nowego ohelu.







Zdjęcia: Arkadiusz Ławrywianiec

8 stycznia 2014 roku z okazji dwusetnej rocznicy śmierci Dawida Biedermana na murze ohelu umieszczono tablicę z napisem: „Pamięci cadyka Dawida Biedermana (1746-1814) oraz Żydów lelowskich, mieszkających na tej ziemi do Zagłady w 1942 r. Społeczeństwo Lelowa”.

\*\*\*

Rokrocznie do Lelowa, na święto jorcajtu (rocznicy śmierci) Dawida Biderma-

na na przełomie stycznia i lutego, pielgrzymują setki ortodoksyjnych Żydów – chasydów z całego świata. Po modlitwach przy grobie cadyka Biedermana chasydzi zasiadają przy wspólnym stole, tańczą i śpiewają, bo także w ten sposób, nie tylko żarliwą modlitwą można chwalić Boga.

\*\*\*

Chasydów przybywających do Lelowa od kilku lat fotografuje Arkadiusz

Ławrywianiec. Jego zdjęcia są nie tylko zapisem wydarzenia, które na stałe wpisało się w codzienność tej miejscowości, ale przede wszystkim są poszukiwaniem duchowości – jej wymiaru współczesnego w kontekście miejsca, emanującego nieustanną obecnością wielkiego, uśmiechniętego i dobrotliwego cadyka Biedermana.





Pogo (fragment)

# Podróż do granic rysunku

BOGDAN  
WIDERA

Cztery lata temu nie byłem na wernisżu *Echo-rysunków* Marka Głowackiego w Galerii Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”. Prace wtedy pokazane zobaczyłem później i zrobiły na mnie wrażenie. Ich tematem, najogólniej mówiąc, jest człowiek. Na białym tle pojawiają się ciemne, wręcz czarne postacie, fragmenty (tors, głowa); twórczość niby figuratywna, trudno ją jednak nazwać realistyczną.

Urodzony w 1983 roku w Zebrzydowicach Marek Głowacki jest absolwentem Wydziału Artystycznego w Instytucie Sztuki w Cieszynie Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Specjalizował się w grafice warsztatowej i w rysunku, co – jak mi się wydaje – wyznaczyło kierunek jego zainteresowań twórczych. A także naukowych, bo od 2007 roku pracuje w macierzystej uczelni w Zakładzie Rysunku, gdzie realizuje przewód doktorski z dziedziny Sztuki Piękne w zakresie rysunku. Swoje prace wystawiał w ostatnich latach w Polsce i za granicą, m.in w Warszawie, Poznaniu, w Czechach a nawet w Chinach oraz, oczywiście, w Katowicach (Biennale Plakatu, Praca Roku).

Kierownik Zbigniew Mędrala od jakiegoś czasu wraca do artystów, którzy parę lat wcześniej już w Galerii Ateneum swój dorobek wystawiali. Uważam, że to dobry pomysł, bo publiczność może zobaczyć, jak się dany twórca rozwija, w jakim kierunku poszły jego poszukiwania, czego przez ten czas dokonał. Dzięki tym „powrotom” do pomieszczeń przy ulicy 3 Maja 25, w lu-

tym miałem okazję uczestniczyć w otwarciu drugiej wystawy Głowackiego i przekonałem się, że pozostał wierny rysunkowi (choć to właściwie trochę technika mieszana, czy – jak się to określa – własna, bo artysta fragmenty niektórych prac delikatnie podmalowuje). Nadal jednak dominuje czerń (ewentualnie szarość) na białym tle i rysunki przedstawiają ludzi.

Dawno temu trafił w moje ręce *Traktat o malarstwie* Leonarda da Vinci. Był to taki podręcznik do nauki malowania, w któ-



Styks

rym włoski mistrz zdradzał nawet tajniki produkowania farb. Wydano jednak tę książkę w PRL, więc nie zawierała żadnych barwnych ilustracji, tylko czarno białe rysunki, czy też studia. Z oszczędności na jednej kartce umieszczono kilka twarzy wykrzywionych jakimś grymasem, z ustami rozwartymi do krzyku, zaś obok nich fragment ręki częściowo umięśnionej, częściowo zaś odartej do kości, była jakaś stopa w sandale itd. Wszystkie te części ciała rzucono na białe tło, jako że były to tylko szkice, które później składały się w całość przemyślaną i skomponowaną na obrazie. W książce oglądaliśmy fragmenty. Przypomniały mi się te rysunki podczas oglądania wystawy prac Głowackiego (zwłaszcza zatytułowanej *Pogo*, której fragment reprodukuje). Zapytałem nawet artystę, czy zna to wydanie *Traktatu*, okazało się jednak, że nie. Niemniej Głowacki jest twórcą, który buduje swoje prace z fragmentów właśnie. Na białym, „niezagospodarowanym” tle rysuje tors, część postaci, niewykończone sceny. Zastanawiałem się, skąd taki pomysł. I uzmysłowiłem sobie, że my tak właśnie postrzegamy rzeczywistość. Nie widzimy wszystkiego jak aparat fotograficzny. Na zdjęciu możemy, centymetr po centymetrze, dokładnie przyjrzeć się detalom architektonicznym, przeczytać szyldy nad sklepami, zobaczyć wszystkie postacie występujące w ulicznej scenie, rozpoznać marki samochodów itd. Natomiast w życiu docierają do nas jedynie fragmenty tego, co nas otacza. Głowacki wyciągnął z tego faktu konsekwencje – na swoich rysunkach umieszcza tylko to, na co mamy, zgodnie z jego zamysłem artystycznym, zwrócić uwagę. Reszta jest pustym tłem. To kojarzy się także ze snami, z których zapamiętujemy jedynie detale. Niby nasze marzenia (albo koszmary) rozgrywały się w pełnej scenerii, po przebudzeniu pamiętamy jednak tylko jakieś wyimki, części, postacie, nawet te znane nam z życia, jawią nam się jako dziwnie odrealnione twory, przechodzą jedne w drugie, mieszają się ze sobą, rozplývają się powoli w powietrzu. Wydaje mi się, że te nasze osobiste doznania sprawiają, że przemawia do nas twórczość Marka Głowackiego. Oglądamy czasem rysunki – nazwijmy to – dziwne, nierealne, niepokojące, a przecież nie są to obrazy nam obce, podobne nosimy w środku, zachowane przez pamięć, która również przechowuje dla nas tylko fragmenty.

O ile w warstwie treściowej obszar zainteresowań artysty niewiele się zmienił – w centrum jego uwagi pozostał człowiek, o tyle widać u Głowackiego stałe poszukiwanie możliwości, jakie w sobie jeszcze kryje rysunek. W tym zakresie autor jest wprawdzie nadal twórcą, ale staje się też – nazwę to – badaczem, eksploratorem, jakby chciał odkryć, czy medium, jakim jest rysunek, ma jakieś granice, i czy w ogóle da się do nich dotrzeć. W każdym razie ciekaw jestem spotkania w Galerii Ateneum z twórczością Marka Głowackiego za parę lat. Dotrze do granic rysunku? A może je przekroczy?

**Kościół prawosławny kierując się zaleceniami ojców I soboru powszechnego (20 maja 325 r. w Nicei) wylicza daty Wielkanocy, opierając się na pierwszej wiosennej pełni księżyca i dacie paschy żydowskiej. Wielkanoc w Kościele prawosławnym obchodzona jest w niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca i po zakończeniu paschy żydowskiej. W tym roku przypada ona 20 kwietnia.**

Sosnowiecka cerkiew służy swoim wiernym już od 125 lat. Przetrwiała niejedną burzę dziejową, oparła się także zakusom wielu kolejnych włodarzy, którzy chcieli zrównać ją z ziemią. Dziś jest jedną z dwóch świątyń prawosławnych województwa śląskiego (drugą wybudowano w 1998 r. w Częstochowie), wchodzi w skład diecezji łódzko-poznańskiej. Kiedy ks. mitrat Sergiusz Dziewiatowski (obecny proboszcz) przejął 1 stycznia 1979 r. sosnowiecką parafię, witany serdecznie i życzliwie przez ustępującego ks. Wiktora Rzeckiego, przyszłość cerkwi, nawet ów leciwy pobożny starzec malował w czarnych kolorach, wyrokuje, że to *parafia na wymarcie*. Trudno się dziwić skoro wiernych było wówczas zaledwie około trzydziestu. Dziś odwiedzają ją wierni m. in. z Zagłębia Dąbrowskiego, Aglomeracji Górnośląskiej, Ziemi Rybnickiej, Śląska Cieszyńskiego i wschodniej Opolszczyzny, co widać było 16 marca, podczas corocznej wizyty duszpasterskiej arcybiskupa Szymona, ordynariusza diecezji łódzko-poznańskiej.

W obrządku wschodnim przygotowania do Świąt Wielkanocnych, najważniejszego wydarzenia w całym roku liturgicznym, niewiele różnią się od katolickich. Poprzedza je okres Wielkiego Postu, podczas którego ogranicza się ilości spożywanych pokarmów i wyklucza mięso, ryby, nabiał i białe pieczywo. W Wielki Czwartek (Вел ик ий четверг) wierni uczestniczą w „12 Ewangeliach”. W Wielki Piątek (Вел ик ая ятница) w cerkwi na „świętym presole” ustawiany jest symboliczny grób Chrystusa przykryty płaszczem (całun przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa). Podczas Wielkiej Jutrni (z soboty na niedzielę) po okrążeniu świątyni kapłan po trzykroć uderza krzyżem w drzwi cerkwi, co symbolizuje odsunięcie kamienia od grobu zmartwychwstałego Chrystusa, intonując troparion

„Chrystus powstał z martwych, śmiercią podstępnie śmierć, i będącym w grobach życie dał”. W Wielką Sobotę (Вел ик ая суббота) podczas Boskiej Liturgii następuje poświęcenie pokarmów, którego można również dokonać podczas niedzielnego Nabożeństwa Wielkanocnego (Воскресение Христово), natomiast w Poniedziałek Wielkanocny podczas nabożeństwa odbywa się obrzęd przygotowania krzyżma, oleju, który przez cały rok używany będzie do namaszczenia podczas chrztu i konsekracji łożysk.

Pani Olga pochodzi z niewielkiej miejscowości pod Białymstokiem, do Dąbrowy Górniczej przyjechała pod koniec lat 70. Wiele starych tradycji przywiezionych z Podlasia stara się jeszcze przemycać do swojego domu. Mówi „przemycać” ponieważ wnuki niechętnym okiem spoglądają na zamierzając, ich zdaniem, obyczaj, ale na *korowaj* i *paschę* czekają cały rok.

Na Podlasiu do dziś na wielkanocnych stalach króluje *korowaj*, czyli kołacz, który gospodynie przygotowują z białej mąki pszennej lub żytniej, z dodatkiem jaj, mleka i cukru. Wypieki zdobią wymyślnymi ptasz-



Fot. Maria Szuka

# Troparion paschalny

MARIA SZUKA

kami lub lalczkami lepionymi z ciasta. Niezwykłym dodatkiem świątecznego stołu są inspirowane motywami z ikon malowane gęsie jaja.

Zawartość wielkanocnego koszyczka – wspomina pani Olga – trochę się różniła od tych współczesnych. Jajka wybierano ze skorupki, aby niczego co poświęcone nie trzeba było wyrzucać a między chlebem i wędlinami musiał znaleźć się także kawałek paski, bo tak się u nas mówiło na paschę.

– Jutrnia trwała długo, czasem nawet kilka godzin. Dopiero nad ranem w niedzielę kończyła ją procesja. Nikt wtedy nie narzekał, że jest niewyspany, czy że coś tam w domu jest jeszcze do zrobienia. Nie wyobrażam sobie, żeby kogokolwiek mogło zabraknąć na procesji. Dzisiaj wydaje mi się, że przygotowanie suto zastawionego stołu jest ważniejsze od modlitwy. Doskonale pamiętam wyścigi furmanek po wyjściu z cerkwi, kto pierwszy wrócił do domu, ten miał zapewniony dobry, obfity w plony rok. Zdarzało się, że ktoś zgubił koło a nawet wylądował w rowie, ale wszystko się zawsze dobrze koń-

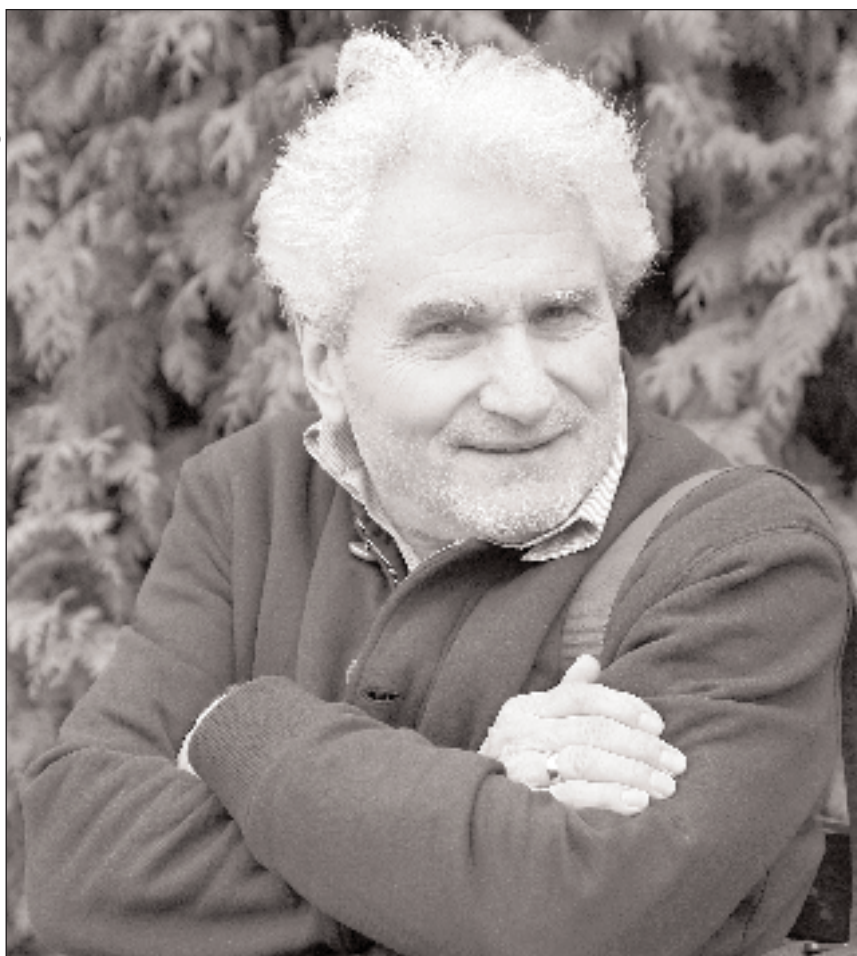
czyło. A ile było przy tym wrzasku i śmiechu, podobnie w śmigus dyngus, ale nikt wtedy nikomu krzywdy nie zrobił, dzisiaj boję się wyjść z domu. Po południu dzieci biegły do swoich rodziców chrzestnych po podarki, w domu także wszyscy wymieniali się drobnymi upominkami, czasami to były piękne pisanki.

Zgodnie z tradycją kulturową jeszcze przez wielu wyznawców prawosławia w czasie Świąt Wielkanocnych odwiedzają oni groby swoich bliskich zmarłych, zanosząc im pisanki, ponieważ Zmartwychwstanie Chrystusa jest radością zarówno dla żywych jak i umarłych a liturgia i teologia prawosławia skupia się wokół zwycięstwa Chrystusa nad śmiercią.

Pani Olga z uśmiechem powraca w swoje rodzinne strony. Chłopaki biegali od domu do domu, zbierali jajka, kiełbasy, słodycze. Wszędzie słychać było ich miłosne „konopielki”, oj czekały dziewczyny, czekały... to najpiękniejsze święta w roku, wszystko się budzi do życia.

5 lutego 2014 roku w Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbyła się promocja książki autorstwa Mirosława Słomczyńskiego pt. *Kamerzysta. Telewizyjne epizody i historyczne zdrapki*. W spotkaniu, oprócz autora, wziął udział bohater książki – Mieczysław Chudzik.

Fot. Agnieszka Sikora



**Tak wspominał między innymi Wojciech Kilar. A jaki był Śląsk z tych najwcześniejszych pana wspomnień?**

– Moja droga na Śląsk wiodła przez Zachodniopomorskie, gdyż na ogół ludzi z Wileńszczyzny oraz zachodniej czy północnej Białorusi kierowano na Wybrzeże. Po pobycie w obozach przesiedleńczych i po przejściu wielu różnych i długotrwałych formalności wraz z rodziną w 1957 roku pojawiliśmy się na Śląsku. Dlaczego na Śląsku? Ponieważ tutaj była praca. Mój ojciec przed wojną był zatrudniony na kolei, a dokładniej – w łączności kolejowej. Po wojnie wszystko się zmieniło, ale kolej wciąż była gwarantem stabilnej pracy. Po przybyciu na Śląsk znalazł zajęcie na kolei i po przeszkoleniu został kierownikiem pociągu. Taki zawód dawał mu satysfakcję, bo miał naturę podróżnika, która chyba była w naszych genach, bo ja również, mimo zupełnie innej profesji, ją odziedziczyłem. Śląsk był wówczas najbardziej przemysłowym regionem w Polsce i to był dla mnie szok, jak dla każdego, kto pochodził z terenów Wileńszczyzny czy Grodzieńszczyzny, gdzie przemysł był znikomy, były za to piękne krajobrazy: jeziora, rzeki, wzgórza, lasy itd. Z tak wielkim i ciężkim przemysłem zetknęliśmy się dopiero tutaj. Moja mama zawsze narzekała i wspominała, że u nas było pięknie i czysto, a tu musi firanka prac raz w tygodniu. Szokowało ją również to, że w tym przemysłowym krajobrazie, wśród dymiących kominów okna są wypucowane i wiszą w nich czyste firaneczki. To jej się podobało. Czy dobrze się tu czuła? Nie wiem, ale pewnie, gdyby tak nie było, próbowałaby gdzieś się przenieść. Myślę, że się w końcu zaaklimatyzowała, no i dożyła sędziwego wieku, 10 dni jej zabrakło do ukończenia 107 lat. Widać, to śląskie powietrze jej służyło.

**– Jak zaczęła się przygoda z filmem i fotografią? Czy to był przypadek, że został pan filmowcem?**

– To nie był przypadek, że wybrałem taki styl życia. Gdy chodziłem do szkoły w Wołkowysku, to wraz z kolegami tworzyliśmy grupę łobuziaków. Ja byłem jedynym Polakiem, pozostali to byli Rosjanie, Białorusini, Uzbecy, ktoś z Kaukazu... Niezwykła mieszanina. Językiem rosyjskim władałem bardzo dobrze, trochę mówiłem po białorusku, a polskiego właściwie w ogóle nie znałem. Mieśliśmy bardzo fajnego dyrektora – młodego, ambitnego, wykształconego, który żeby nas odciągnąć od łobuzerki, chciał nas czymś zainteresować. Założył więc kółko teatralne, zainspirował nas, żebyśmy wydawali miesięcznik, a także założył kółko fotograficzno-filmowe. I od tego się zaczęło, od 8 klasy. Oczywiście, wcześniej w domu u ojca był aparat fotograficzny i usiłowałem coś tam robić, ale dopiero szkoła pozwoliła mi się rozwinąć. Jeszcze jeden epizod jest wart wspomnienia. Otóż, w czasie przerw wakacyjnych pracowałem, żeby zarobić na książki. Znalazłem się w firmie, gdzie byłem pomocnikiem geodety, który nauczył mnie czytać plany, mierzyć ziemię, kołkować place budów, a przy okazji trzeba było fotografować. To była firma cywilna, która była przykrywką firmy wojskowej z siedzibą w Murmańsku. Nie miała nazwy, tylko numer, wtedy nie rozumiałem o co chodzi, ale teraz wiem, że jak się podaje numer firmy czy miasta, to chodzi o tajne sprawy.

**– Skoro nie znał pan języka polskiego, to jak pan sobie poradził na początku?**

– Oczywiście, gdy znalazłem się w Katowicach, to miałem problemy językowe. Ale bardzo pomogli mi studenci-wolontariusze z Akademii Sztuk Plastycznych. Był ta-

# Najważniejsze jest patrzeć

Książka Mirosława Słomczyńskiego to zbeletryzowana opowieść, osnuta na wspomnieniach Mieczysława Chudzika, operatora obrazu, związanego z katowickim ośrodkiem telewizyjnym od początku jego działalności, autora zdjęć do wielu programów TVP, reportaży, filmów dokumentalnych i fabularnych, realizowanych w kraju i za granicą, wyróżnianych i nagradzanych na krajowych i zagranicznych festiwalach filmowych. Pojawienie się na rynku czytelnicy książki Słomczyńskiego stało się okazją do rozmowy z jej głównym bohaterem.

– Urodził się pan na terenie przedwojennych Kresów Wschodnich, gdzie spędził pan dzieciństwo i wczesną młodość. Wraz z ostatnią falą repatriacji, w latach 50. XX wieku, przyjechał pan do Polski. Wie-

le osób, pochodzących stamtąd, wspominało po latach, że Śląsk przyjął ich z otwartymi rękami. Mimo wielu różnic kulturalnych czy językowych zostali tu dobrze przyjęci i szybko się zaaklimatyzowali.

ki akademik na ulicy Kasprzaka, na Koszutce. Tam chodziłem codziennie na pogaduszki, podczas których koledzy mnie poprawiali, tłumaczyli, jak należy dane słowo poprawnie powiedzieć. W tym samym czasie Urząd Wojewódzki szukał ludzi chętnych do wyjazdu na kurs do Warszawy, który miał przygotować ich do pracy w powstającym w Katowicach ośrodku telewizyjnym. Namawiano mnie, abym się zgłosił, ale się nie zdecydowałem – po prostu się bałem. Przede wszystkim wciąż jeszcze miałem problemy językowe, trudno mi było wszystko zrozumieć. Najpierw musiałem sobie to przetłumaczyć na rosyjski, a dopiero potem na polski. Poza tym odstawałem od rówieśników wyglądem, moje ubranie było inne, fryzura inna, oczy inne, ludzie się oglądali w tramwaju. Byłem dla nich obcy. Potem przeczytałem w „Panoramie” artykuł, że w Katowicach bardzo pręźnie działa Amatorski Klub Filmowy „Śląsk”. Bardzo mnie to zainteresowało, więc zacząłem go szukać. Znalazłem, siedziła mieściła się przy ul. Francuskiej. Dwa razy podchodziłem, bo nie miałem odwagi, żeby wejść. Aż w końcu wszedłem i spotkałem pana, bardzo miłego, sympatycznego, uśmiechniętego, potem okazało się, że to sekretarz klubu Bolesław Zieliński. Zaprosił mnie na herbatę, porozmawialiśmy i tak się zaczęło, ja się do tego klubu niejako przykleiłem i czułem się tam bardzo dobrze. Jak się okazało, że bardzo dużo potrafię zrobić, to zostałem chłopakiem do wszystkiego. Pierwszym moim wzorem do naśladowania, mistrzem, był prezes klubu Norbert Boronowski, zawodowy fotoreporter w „Panoramie”. Wywoływaliśmy taśmy filmowe, wszystko było robione ręcznie, ale technologię miałem opanowaną, a ponieważ posiadałem bardzo dużo wolnego czasu, to byłem na każde gwizdnięcie. Dostawaliśmy filmy, które robili członkowie klubu, ale wkrótce również zaczęły przychodzić materiały z telewizji. Interesujące i trudne w realizacji filmy robili Danuta i Jan Maćkowie. Pamiętam również, jak Edward Poloczek, znany fotografik śląski, pojechał z ekipą na Spitsbergen i tam robił mnóstwo filmów i zdjęć. Trzeba było to wszystko obrobić, a my baliśmy się strasznie, żeby czegoś nie zepsuć. Jak wspominałem, gdy powstała telewizja, to materiały filmowe, które były potrzebne do programów, były obrabiane w klubie filmowym przy ul. Francuskiej. Potem trzeba było biegać na ulicę Ligonia 37, gdzie obecnie stoi tzw. Deceber, a wtedy stała willa, w której mieściła się pierwsza siedziba TVP Katowice. Po jakimś czasie powstało tam laboratorium, do którego się przeniósłem, a moim szefem został Jerzy Badura.

**– Takich szefów-nauczycieli, mistrzów było chyba znacznie więcej w ciągu tych wszystkich lat?**

– Tak, oczywiście. Zresztą w ogóle w życiu miałem szczęście do nauczycieli. Dużo by wymieniać, ale wspomnę choć kilka nazwisk. Opiekunem mojego roku był najpierw Andrzej Ancuta, a potem Adolf Forbert, współzałożyciel Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, a następnie znacznie młodszy: Mieczysław Jahoda, Jerzy Wójcik, Witold Sobociński. Ponad dwa lata byłem szwenkierem u Mikołaja Sprudina, u którego przeszedłem niezłą szkołę zawodu. Miałem szczęście również pracować z Zygmuntem Samosiukiem, znacznie młodszym człowiekiem, który miał zupełnie inne, nowatorskie podejście do kamery. To patrzyenie na innych, lepszych, jak oni robią film było szalenie ważne. Szkoła szkołą, człowiek się oczywiście nauczył techniki, ale najważniej-

sze jest patrzyenie, co robi mistrz, bycie z nim i podglądanie go.

**– Jak doszło do współpracy z Poltelem?**

– Niemal od samego początku w telewizji była redakcja filmowa, a jej szefem był Tadeusz Koper, z wykształcenia reżyser po szkole filmowej. Bardzo do niego przylgnąłem. Traktował mnie może nie jak syna, ale młodszego brata i wziął pod swoje skrzydła. Redakcja funkcjonowała około 2 lat, a potem, w 1960 roku, w Warszawie podjęto decyzję, że produkcja filmowa zostanie wydzielona i w ten sposób powstała nowa jednostka. Przenieśli nas z dnia na dzień. I było to dziwne, bo pracowaliśmy w telewizji, robiliśmy wszystko dla telewizji, ale byliśmy jakby w innym zakładzie – w Zakładzie Produkcji Filmów Telewizyjnych w Warszawie z oddziałem w Katowicach. Jego szefem został Jan Maćków. Zakład zaczął się dość szybko i intensywnie rozwijać. Powstało nowoczesne laboratorium z bardzo dobrymi maszynami. W 1972 roku szefem Komitetu ds. Radia i Telewizji został Maciej Szczepański, który postanowił zrobić z telewizji nowoczesne narzędzie propagandy. Posłaliśmy w kolor, w technikę najnowszej generacji, a przy tym Szczepański rzucił żelazną ręką. Gdy moi koledzy przyjeżdżali z Zachodu, to się dziwili, że mamy taki sprzęt, jakiego nawet oni za dużo nie mieli. Szczepański postanowił zrobić własną wytwórnię filmową, która miałaby samodzielność decyzyjną i finansową. Wtedy powołał do życia Centralną Wytwórnię Programów i Filmów Telewizyjnych Poltel z oddziałem w Katowicach. Tu był potężny przemysł, tu odbywały się wszystkie najważniejsze masówki, więc telewizja potrzebowała własnych programów, a produkcja filmów w zespołach filmowych była kosztowna i nie zawsze chciano realizować tematy, którymi była zainteresowana telewizja.

**– Jak dziś można ocenić działalność Poltelu?**

– Uważam, że bardzo dobrze. Szkoda, że to wszystko upadło, że doprowadzono do likwidacji tego majątku. Był rok 1991. Z dnia na dzień zapadła decyzja o likwidacji Poltelu i wszystkie archiwa dosłownie wyrzucono na śmietnik. Myśmy nawet żartowali, że taśmy poszły na grzebień. Laboratorium zostało zniszczone, maszyny wyrzucone przez okno na podwórko. Były także budynki, które Poltel wcześniej przejął po Ośrodku Postępu Technicznego. Znajdowały się w nich: magazyny, stolarnie, świetna hala, administracja, montażownia, sala dźwiękowa – bardzo dobra, synchronizacyjna ze stołem trickowym, gdzie można było robić różne napisy czy wkopiowania. Były też kostiumy, rekwizyty, które Poltel wyprodukował przez lata swojej działalności. Ale cóż... przyszły takie czasy, że wszystko zostało sprasowane bez oglądania się na to, czy to jest potrzebne, czy nie. Zmarnowano pracę i zaangażowanie wielu ludzi, zniszczono materiały, które są nie do odtworzenia. A przecież w Poltelu wyprodukowano mnóstwo filmów dokumentalnych – więcej niż w Warszawie, również na potrzeby telewizji były robione filmy fabularne. Ponadto bardzo rozwinęły się usługi dla ekip zagranicznych. Kręcono na Śląsku sporo tytułów i Poltel zarabiał na tym dosyć dobrze. Już nie mówię, że mieliśmy mnóstwo wybitnych specjalistów w zawodach pomocniczo-twórczych, ludzi z ogromnym doświadczeniem. Tego nie da się nauczyć w żadnej szkole i oni też zostali straceni: stolarze, dekoratorzy, kostiumolodzy, charakteryzatorzy, garderobiane... A przecież bez nich film nie istnieje. Ludzie jednego dnia znaleźli się na bruku, bez

szans na znalezienie pracy w zawodzie. A byli to entuzjaści, którzy kochali film, pracowali dla niego, nie dla pieniędzy. To wszystko miły, że myśmy tu zarabiali złote góry. To bzdury. Moim zdaniem, stolicy zależało na tym, żeby w Katowicach wszystko sprasować. To była swego rodzaju zemsta za to, że za czasów Gierka podobno nam się tutaj żyło jak w Szwajcarii, że Śląsk to rzekomo była kraina miodem i mlekiem płynąca.

**– Jest w Katowicach na Uniwersytecie Śląskim Wydział Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kieślowskiego. Rozwija się, młodzi ludzie zdobywają mnóstwo nagród...**

– Ale Katowice z tego nic nie mają – w sensie tego środowiska, bo nie ma tutaj bazy produkcyjnej. Telewizja w ogóle przestała współpracować z Wydziałem. Więc ci młodzi ludzie uciekają do Warszawy. Nawet gdy kręcą etiudy operatorskie czy reżyserskie, to jadą do stolicy, a mogliby je robić w Katowicach, bo są tutaj dobrze wyposażone firmy. Presja warszawska jest jednak tak wielka, że uważają, że jeśli nie zrobią czegoś w Warszawie, to ich nie ma. Być może tak jest. Ale to jest kolejna konsekwencja likwidacji Poltelu i Zespołu Filmowego Silesia Kazimierza Kutza.

**– Wspominał pan, że odziedziczył w genach zamiłowanie do podróży, że były czasy, gdy nie było pana pół roku w domu. Czy były jakieś wyjazdy, które szczególnie zapadły panu w pamięci, niebezpieczne przygody?**

– Faktycznie, znaleźliśmy się parę razy z kolegami w sytuacjach dosyć niebezpiecznych. Był taki moment w historii, podobny do tego, co się obecnie dzieje na Ukrainie. Mam na myśli pucz Janajewa w Moskwie (nieudaną próbę przejęcia władzy w ZSRR w sierpniu 1991 roku). Wrz z kolegą Adamem Sojką wybraliśmy się jak idioci, samochodem, za własne pieniądze i znaleźliśmy się w środku konfliktu. Gdy to czasami wspominały, to uzmysławiamy sobie, że przecież mogli nas zabić. Wykazaliśmy się wyjątkową bezzmyślnością. Dziś nie byłbym już takim wariatem. Podobna sytuacja miała miejsce w Wilnie, gdzie oficer OMON-u zarepetował broń i powiedziało mi, że mam trzy sekundy, aby odejść, w przeciwnym razie mnie zastrzelą.

**Jakie ma pan plany na przyszłość?**

Z moimi młodszym kolegami, a muszę zaznaczyć, że nie była to moja inicjatywa, w grudniu 2013 roku złożyliśmy Stowarzyszenie Filmowców Śląskich. Zostało już nie tylko zarejestrowane, ale nawet mamy honorowego członka, którym został Lech Majewski. Głównym założeniem Stowarzyszenia jest „rewitalizacja” środowiska filmowego na Śląsku, aby filmowcy śląscy mieli możliwość poznania siebie nawzajem i swoich prac. Chcemy stworzyć grupę, która będzie mówiła jednym, silnym głosem o rzeczach, które nas wszystkich denerwują, a może dzięki temu damy wspólnie radę naprawić i to owo. Chciałbym, żeby władze wojewódzkie zyczliwiej spojrzęły na lokalne ambicje filmowców. Trudno, żeby się to środowisko błyskawicznie odrodziło i działało, jak onegdaj, ale może powoli, gdy w centrum Katowic zostanie wzniesiony nowy budynek Wydziału Radia i Telewizji, powstanie rzeczywiście porządna firma produkcyjna – oczywiście teraz prywatna, może spółka... Mam nadzieję, że jeszcze w swoim życiu będę miał satysfakcję, że na Śląsku działalność filmowa – w szerokim znaczeniu – będzie widoczna.

Rozmawiała  
AGNIESZKA SIKORA



## Jego „charakter pisma”

W Muzeum Barbary i Stanisława Ptaków mogliśmy oglądać wystawę „W stronę spektaklu. Emocje i ruch w szkicach Konrada Swinarskiego”. Reżyser uważany za jednego z najbardziej oryginalnych i najwybitniejszych twórców w historii polskiego teatru stworzył własny styl, inspirując do dziś wielu młodych aktorów i reżyserów.

Miał on też ogromny wpływ na aktorów, których spotykał na początku swej drogi twórczej. Anna Polony, wspaniała aktorka teatrów krakowskich, powiedziała w Katowicach przed spotkaniem z publicznością, że praca i obcowanie z Konradem Swinarskim miało decydujący wpływ na całe jej życie. Nie od razu jednak było tak różowo. Aktorka przychodząc do Starego Teatru zastrzegła sobie, że nie chce grać już więcej ról służących i pokojówek. Tymczasem jej pierwsza rola w Starym to była właśnie postać służącej. Już chciała zrobić awanturę dyrektorowi Zygmuntowi Hübnerowi, gdy nagle poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i zobaczyła po raz pierwszy Konrada Swinarskiego, który uwiódł ją natychmiast swoim łagodnym głosem, wzrokiem i uśmiechem. No i oczywiście zagrała tę niewielką rolę w sztuce Anonima „Żalosa i prawdziwa tragedia pana Ardena”

– Potem okazało się – wspomina Anna Polony – że w sztuce oprócz tej niewielkiej roli, jest ogromna ballada, którą śpiewałam. Trochę to było zapożyczone ze stylu brechtowskiego, czyli tak jak w teatrze Brechta, pomiędzy poszczególnymi scenami, zmieniało się dekoracje, a ja przed kurtyną, śpiewałam fragmenty ballady, które zapowiadały akcje. Taki typowy epicki teatr. Słowa staroirlandzkiej ballady napisała Agnieszka Osiecka. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Konrada Swinarskiego a było to przed salą prób, popatrzyliśmy się na siebie i ja natychmiast wtedy poczułam, że to jest ktoś niesamowity, ktoś wyjątkowy. Olsniły mnie przede wszystkim jego oczy. Spojrzał na mnie przenikliwie. Miał ogromne, piękne oczy i ja

w środku zrobiłam się miękka, i już nie taka nastroszona, i już nie taka cała na NIE. A przy okazji pomyślałam sobie: *O! Jaki przystojny chłopak*. Później, podczas próby powiedział: *Tam są dwie główne role*. Chciał mnie ulagodzić, miał ogromne poczucie humoru. Oczywiście rola główna była jedna i grała ją wspaniale Mirosława Dubrawska, a ja niestety byłam tylko służką. Konrad Swinarski był niesłychanie inteligentnym człowiekiem. Dowcipnym. Mądrym. Przenikliwie patrzącym i na człowieka i na świat, na te wszystkie mechanizmy, które naszymi działaniami kierują. Od razu się zorientowałam, że to będzie wyjątkowe zetknięcie się dwojga ludzi, z którego coś może wyniknąć. I rzeczywiście wyniknęło. Dziesięć lat współpracy.

„Pod batutą” Konrada Swinarskiego Anna Polony wykreowała m. in. *Joasa* w „Sędziach” i *Młodą* w „Kłatwie” S. Wyspiańskiego (1968). W obu jednoaktówkach stworzyła znakomite role. Krytyka rozpisywała się o nich z entuzjazmem.

Zagrałam – dodaje Anna Polony – u Swinarskiego jedenaście czy dwanaście różnych ról. A kroila się jeszcze „Gertruda”, do której realizacji jednak nie doszło. Był to różnorodny repertuar, grałam w różnych sztukach, bo i współczesnych, ale przede wszystkim w klasyce. Był Szekspir, Wyspiański i Mickiewicz z „Dziadami”... Było tego mnóstwo. I jeszcze ten Anonim. Ale był także i „Woyzeck”, w którym miałam niedużą rolę, ale jednak grałam... I był Krasiński z „Nie-Boską komedią” i Jean Genet ze swoimi „Pokojówkami”. Miałam więc pełny wachlarz wspaniałych ról, wspaniałych postaci. Jeszcze do tego współczesna sztuka polska, wówczas współczesna, bo teraz to już jest klasyka, mianowicie „Żegnaj, Judaszu” Ireneusza Iredyńskiego. No więc, przeżyłam w swojej młodości coś fantastycznego. Fantastyczne spotkanie z fantastyczną artystyczną... tego nawet nie można nazwać przygodą, to taki artystyczny wzlot! I jeżeli ktoś myśli, że miałam na początku swej drogi szczęście bo spotkałam Swinarskiego, to

myli się bardzo. Ktoś mi nawet powiedział – po nim już było z tobą tylko gorzej. Otóż nie, to jest nieprawda. Nie było wcale gorzej, bo to, czym mnie obdarował w tej naszej współpracy Konrad Swinarski, owocowało później wspaniałe! Ponieważ ja dopiero dojrzewając, starzejąc się, nabywając doświadczeń, w ciągu tych lat późniejszych, powoli dochodziłam do tej prawdy teatralnej, do tej prawdy aktorskiej, właściwie do wszystkiego... do jego przede wszystkim zamysłów, do jego intencji. Dopiero wtedy je odkrywałam. Po jego śmierci. Tak to czasami jest na tym świecie.

Gdy Anna Polony dowiedziała się, że Konrad Swinarski zginął w katastrofie lotniczej 19 sierpnia 1975 pod Damaszkim cały świat stracił dla niej swe barwy. Dziś nie chce wracać do tych bolesnych wspomnień. One są ciągle żywe – wywołują łzy i wzruszenie. Przynajmniej fragment wspomnień aktorki z *Kroniki Katowic* (tom XI): „Samolot się rozbił... Mnie zatkało. Mózg nie chciał przyjąć w ogóle tej wiadomości i tak stałam przez chwilę, stałam... i nogi się pode mną ugięły... Nie mogłam sama dojść do domu. Zadzwoeniłam po moje siostry, żeby po mnie przyjechały taksówką. Przyjechały i siedziałam pomiędzy nimi ściśnięta na tylnym siedzeniu, patrzyłam na drzewa na plantach krakowskich, na niebo, i myślałam sobie: Jakim prawem te drzewa są zielone, a to niebo niebieskie i słońce świeci?! Jakim prawem?! To wszystko powinno być czarne!! Jak ten człowiek zginął, to wszystko powinno być czarne. To było tak, jakby serce wyrwano człowiekowi z piersi. Tak myśmy to z kolegami czuli... To było okropne... Potem kazali nam grać *Wyzwolenie*. Myśmy cały czas grali to przedstawienie, nie to Konrad Swinarski umarł. Jeszcze na końcu, w trzecim akcie, pierwsze pytanie: *A cóż Konrad?* – kiedy rozmawiają ze sobą uczestnicy tej sceny... *Mam najzupełniej to wrażenie jak gdyby wśród nas był, jego nie widzimy go. A on zginie w dymie...*”

– Ale potem powoli to zaczęło do mnie dochodzić – dopowiada pani Anna. To był dla mnie ogromny dramat. Nie potrafię tego opisać. Dopiero wiele lat, czy wiele miesięcy, no dużo później, zaczęłam myśleć o tym w takich kategoriach – straciłam nie tylko przyjaciela, straciłam cudownego reżysera, swojego mistrza. Odszedł kawał mojego życia, kawał mojej przyszłości i nadziei...

**– Gdyby dziś Konrad Swinarski żył, jakby patrzył na to co dzieje się z polskim teatrem, ze Starym Teatrem, z tym wszystkim co wydarzyło się w Krakowie?**

– Nie mam pojęcia. Bo to, że mnie się to po prostu nie podoba, że ja się w tym źle czuję, to jest moja sprawa. Według mnie to nie jest już teatr, który człowieka przedstawia, to nie jest teatr, który się zagłębia w istotę i poszukuje sensu życia, istoty człowieczeństwa, skupia się na charakterach ludzkich, na działaniach człowieka, tylko to jest teatr, który pokazuje tylko mechanizmy, mechanizmy życia. Jak telewizja. To są wideoklipy. Przyzwyczaiłam się do czegoś zupełnie innego. I na czym innym wyrosłam. Dla mnie teatr jest zupełnie innego rodzaju sztuką, aniżeli ten, który teraz tworzą młodzi. A jak on by to odbierał? Trudno powiedzieć, ale Konrad potrafił się zmieniać. Potrafił iść razem z czasem, ze światem, niekiedy pod prąd, co mu niejednokrotnie zarzucano. Może i teraz by się odnalazł i tworzył świetne spektakle? Kto wie? Trudno za niego mówić, ale wiem jedno – był człowiekiem nieprzeciętnym i cudownym reżyserem.

# Kroszonki, palmy i wiosenne obyczaje

• 25. edycja konkursu „Górnośląskie Kroszonki 2014” w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu

Pomysł konkursu zrodził się 25 lat temu w Muzeum w Gliwicach. Przez 23 lata odbywał się pod nazwą „Najpiękniejsze kroszonki”. Uczestniczyli w nim kroszonkarze z terenu gliwickiego. Dwa lata temu imprezę tę przekazano Muzeum Górnośląskiemu w Bytomiu. Wtedy to rozrosła się formuła konkursu i odtąd mogą w niej uczestniczyć mistrzowie zdobienia jaj wielkanocnych z całego Śląska. W 25. jubileuszowej edycji wzięła w nich udział także przedstawicielka Żywiecczyny.

Tegoroczne spotkanie kroszonkarzy miało wyjątkowy, bardzo uroczysty charakter, bowiem łączyło w sobie historię konkursu – dorobek ponad 20 lat pokazano na specjalnej wystawie – z pokazem prac, które zostały zakwalifikowane, a część z nich nagrodzono w tegorocznym konkursie.



Kroszonki zgromadzone podczas 25. edycji konkursu można było oglądać w salach wystawowych Muzeum Górnośląskiego.

W tym roku zgłoszono 64 zestawy prac (po 5 sztuk każda) – w sumie 320 kroszonek. Spośród 57 osób, które wzięły udział w konkursie, najmłodsza miała 22, a najstarsza 90 lat. Prace napłynęły z całego województwa śląskiego, a po raz pierwszy swoje kroszonki zgłosiło 19 osób. Jury oceniło je w czterech kategoriach: rytowniczej, malowania woskiem, oklejania technikami tradycyjnymi oraz w kategorii technik nowatorskich.

Prace nagrodzone i wyróżnione w konkursie rokrocznie wzbogacały zbiory Muzeum w Gliwicach, a od 2012 roku powiększają zbiory Działu Etnografii Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

## • Palmy, sobótki i moje w Muzeum Miejskim w Tychach

Na początek wiosny i czas Świąt Wielkiej Nocy Muzeum Miejskie w Tychach przygotowało wystawę „O palmach, sobótkach i moju. Obrzędy i zwyczaje okresu wiosennego w Tychach i okolicy”. W czasie wernisażu odbył się pokaz zdobienia kraszanek (w Bytomiu były to kroszonki) w wykonaniu Teresy Drapały z Tychów i Leszka Jęczmyka z Katowic.



Pokaz zdobienia kraszanek podczas wystawy w Muzeum Miejskim w Tychach.

Wystawa ilustruje obrzędy i zwyczaje okresu wiosennego w Tychach i okolicy, między innymi czas Wielkiego Postu, okres Wielkanocy, obchody dnia Zielonych Świątek i Bożego Ciała. – Na ekspozycji można przekonać się, jak długa może być palma wielkanocna, poznać zwyczaj palenia sobótki czy dowiedzieć się, komu stawiano moja. Fotografie i eksponaty prezentowane na ekspozycji ilustrują okres od lat międzywojennych do współczesności. Założeniem wystawy jest pokazanie, co z tradycyjnej kultury ludowej rodzimych mieszkańców przetrwało do dzisiaj i co się zmieniło w porównaniu z latami trzydziestymi ubiegłego wieku – tak o wystawę skomentowała Agnieszka Szymula, autorka wystawy.

Zdjęcia: Witalis Szoltyś/Muzeum Górnośląskie



Wyniki 25. Edycji konkursu „Górnośląskie kroszonki” ogłosili (od lewej): dr Dominik Ablamowicz dyrektor Muzeum Górnośląskiego, Małgorzata Kłych z Działu Etnografii MG i Maria Lipa-Kuczyńska przewodnicząca jury.

Uroczystość wręczenia nagród zgromadziła bardzo liczne grono wykonawców – twórców tych niezwykłych dzieł sztuki, którzy przybyli często z całymi rodzinami. Zainteresowanie sztuką zdobienia wielkanocnych jaj nie maleje, a tajniki zdobienia przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Jak zauważyło jury konkursu, pojawiają się coraz to nowsze techniki zdo-



Jak wykonać kroszonkę techniką rytowniczą prezentował Szymon Dylus.

Foto: Agnieszka Słowińska

Wydaną przez „Księgarnię św. Jacka” książkę „Wyjątkowe spotkanie” Aleksandry Zapotoczny w kwietniu – miesiącu kanonizacji Polskiego Papieża – powinien przeczytać każdy, kto posiadał tę umiejętność. Ileż w niej pięknych i mądrych słów, pełnych miłości do drugiego człowieka. Całe to dobro sprowokowane zostało prostym pytaniem, zadany przez autorkę znanym i lubianym ludziom sztuki i sportu: *Kim jest dla nich Jan Paweł II?*

W Święto Miłosierdzia Bożego (27 kwietnia) będziemy przeżywali ogłoszenie naszego Papieża (choćby Włosi również mówią o Nim „nasz”) wraz z Janem XXIII świętymi Kościoła katolickiego. Popłynię niejedna łza. Będą wspomnienia z naszych niezapomnianych spotkań z Ojcem Świętym, zarówno podczas pielgrzymek do Ojczyzny, Światowych Dni Młodzieży, audycji w Watykanie czy w Castel Gandolfo. Znowu będziemy przyrzekali poprawę, uściśniami sobie dłonie na znak pokoju...

Aleksandra Zapotoczny była jedyną Polką pracującą przy procesie beatyfikacyjnym Jana Pawła II, a także współpracowała w Postulacji na etapie kanonizacyjnym tego procesu. Spod jej pióra wyszły bestsellery oparte na dokumentach procesowych: „Wielka księga cudów Jana Pawła II” i „Nowe cuda” oraz bardzo dobrze przyjęte przez czytelników książki: m.in. „Bliscy Święci”, „Nasz Papież”, „Atak szatana”. Serce, duszą i rozumem blisko związana z posługą Papieża z dalekiego kraju. Znakomita propagatorka Jego dzieła, zarówno w latach pontyfikatu jak i po śmierci wielkiego Polaka. W Rzymie tak jak ja, zakochana po uszy. Ukończyła tam Wydział Komunikacji Społecznej Papieskiego Uniwersytetu Salezjańskiego i Studium Procedur i Norm w Procesach Beatyfikacyjnych i Kanonizacyjnych przy watykańskiej Kongregacji ds. Świętych. Urodzona w Wadowicach, wychowana na Śląsku... Jest dziennikarką od 18 lat pracującą w Rzymie, obecnie akredytowana przy Biurze Prasowym Stolicy Apostolskiej. Jest redaktorem ukazującego się w siedmiu językach miesięcznika „Totus Tuus”, który wiernie towarzyszył procesowi beatyfikacyjnemu i kanonizacyjnemu rozpoczętemu żądaniem *santo subito*. Pismo to miałem szczęście poznać i chwalić od pierwszego numeru.

„Wyjątkowe spotkanie” nosi podtytuł: „artyści, dziennikarze i sportowcy o świętym Papieżu”. Lista współautorów, bo tak rozmówców Aleksandry Zapotoczny należałoby określić, jest długa i zaczyna: Michał Bajor, Ewa Bem, Izabela Beń, Andrea Bocelli, Angelo Branduardi, Barbara Bursztynowicz, Agnieszka Chrzanowska, Céline Dion, Halina Frąckowiak, Krzysztof Hołowczyc, August Jakubik, Otylia Jędrzejczak, Emilian Kamiński, Robert Korzeniowski, Antonina Krzysztoń, Michał Lorenc, Radosław Pazura, Ryszard Rynkowski, Irena Santor, Dorota Segda, Anna Seniuk, Józef Skrzek, Danuta Stenka, Robert Talarczyk, Magdalena Zawadzka, Krzysztof Ziemiec.

Do bólu szczerze i jednocześnie niezwykle zobowiązujące są słowa Radosława Pazury umieszczone na skrzydełku książki: *Wiary nie można się wstydić, wręcz trzeba śmiało o niej mówić, by inni także odkryli tę Drogę. Ja wcześniej, niestety, błędziłem... Takim punktem zwrotnym był wypadek, któremu uległem kilka lat temu. Wówczas moje życie się*

Pod patronatem „Śląska”

WYJĄTKOWE  
SPOTKANIE

ARTYŚCI  
DZIENNIKARZE  
I SPORTOWCY  
O ŚWIĘTYM PAPIEŻU

ALEKSANDRA ZAPOTOCZNY

Michał BAJOR Ewa BEM Izabela BEŃ Andrea BOCELLI Angelo BRANDUARDI  
Barbara BURSZTYNOWICZ Agnieszka CHRZANOWSKA Céline DION  
Halina FRĄCKOWIAK Krzysztof HOŁOWCZYC August JAKUBIK  
Otylia JĘDRZEJCZAK Emilian KAMIŃSKI Robert KORZENIOWSKI  
Antonina KRZYSZTOŃ Michał LORENC Radosław PAZURA Ryszard RYŃKOWSKI  
Irena SANTOR Dorota SEGDA Anna SENIUK Józef SKRZEK Danuta STENKA  
Robert TALARCZYK Magdalena ZAWADZKA Krzysztof ZIEMIEC

## Tajemnica świętości

*przewartościowało... Teraz wiem, jak i którzy iść, żeby miało ono sens. Istotą wiary jest umiejętność przyjmowania tego, co się dzieje w naszym życiu i uznawania za wolę Boga, a to jest najtrudniejsze. Umieć odczytywać wolę Boga, która jest czasami nie po naszej myśli... Zdarza się, że to Boże działanie bywa brutalne. To jedynie fragment niezwykłego świadectwa. Więcej o odnajdywaniu przez Pazurę drogi do Boga, w czym ogromną rolę odegrał Jan Paweł od Miłosierdzia przeczytacie w książce. Często rozmówcy Aleksandry Zapotoczny nazywają Papieża naszym ojcem lub po prostu tatą. Najpiękniej to ujęła Ewa Bem: *Jan Paweł II to mój Tata. Na pewno fakt, że mój prawdziwy nie był przy mnie od wczesnego dzieciństwa ma tu znaczenie. Tata, jako ostateczne słowo, podpora, obrona, ochrona, moc...* Już ten mały fragment powinien wystarczać zachęcić do sięgnięcia po książkę, w której odnajdujemy i nasze wspomnienia i najbardziej skrywane uczucia. We współczesnym świecie, w którym tak łatwo sztych się z drugiego człowieka, którym rządzi kasa i cynizm, boimy się głoszenia pewnych prawd. Ludzie sztuki pokazują nam, że nie wolno wstydić się dobra.*

Któż nie pamięta 2 kwietnia 2005 roku – momentu odchodzenia na oczach świata Świętego Papieża do Domu Ojca i dni to odejście poprzedzających? Ileż wtedy połało się łez, ile przyrzeczeń poprawy padło, przebaczyliśmy sobie nawzajem winy... Na jak długo wystarczyło nauki płynącej z tamtych przeżyć? Michał Bajor powiada: *Ostatnie tygodnie cierpienia, walki, dumy i czlowieczństwa tego niezwykłego Papieża miliarda ludzi zrobiły na mnie największe wrażenie w dotychczasowym życiu. Do dzisiaj, choć minęło już kilka lat, pamię-*

*tam każdy dzień z tamtego okresu. Tak jak przy wyborze Karola Wojtyły na Papieża, tak i w Jego ostatnim tchnieniu, byliśmy wszyscy razem... Szkoda tylko, że znowu na zasadzie zrywu, a nie zapamiętaniu na zawsze tego, co Głosił. Co, niestety, pokazały następne lata, kiedy już Go zabrakło. Przeróbmy więc raz jeszcze tamtą lekcję. Po stokroć warto. Wspaniale artystki: piosenkarka Halina Frąckowiak i królowa polskiej sceny Anna Seniuk przywołują poezję Karola Wojtyły i wołają: nie wolno o niej zapominać, Magdalena Zawadzka mówi: *Jest niesłychanie mądra, piękna i zrozumiała dla każdego, przez swoją prostotę. Muszę jeszcze przywołać słowa tak bardzo skrzywdzonej niedawno przez bezmyślnych, złych ludzi wspaniałej artystki, odtwórczyni niezapomnianej filmowej kreacji Faustyny Kowalskiej, Doroty Segdy: *Czuliśmy podziw dla Jego mądrości, ale kochaliśmy Jego serce. To było serce Jezusa Miłosiernego. Cierpiące za wszystkich, ale jasne i dobre – kochające. To dlatego Jan Paweł II powiedział światu o siostrze Faustynie Kowalskiej. Wiadział, że naszemu światu potrzebna jest miłość.* Takich pięknych słów, wruszających wspomnień i zadziwiających świadectw wiary jest w tej niedużej objętościowo ale o przebogatej treści książce dużo.**

Nie mogę powstrzymać się od wspomnień. Kiedy w 2003 roku byłem na papieskiej audycji w Castel Gandolfo Jan Paweł II był już bardzo schorowany i jeździł na wózku. Wcześniej wiedziałem, że będę miał możliwość powiedzenia Mu kilku słów, przygotowywałem je całą noc, żeby było najkrócej, w miarę mądrze ale od serca. „Gość Niedzielny”, w którym wówczas pracowałem obchodził jubileusz, o tym chciałem powiedzieć. Zacząłem mówić i... zapomniałem języka w gębie. Jan Paweł II bardzo mocno uściśnął moją dłoń, uśmiechnął się i coś powiedział. Usłyszałem tylko: wiem, wiem... Wyszedłem przed dziedziniec i rozryczałem się jak dziecko. Byłem na siebie zły ale chwilę potem... bardzo, bardzo szczęśliwy.

To wielka rzadkość, gdy już samo wzięcie książki do ręki sprawia tak dużą przyjemność. Świetna okładka zaprojektowana przez Elżbietę Gumulak, dobry papier, czysty druk, świetnie graficznie uporządkowana zawartość ozdobiona znakomitymi zdjęciami. Trudno uwierzyć, że nad tą tak bardzo satysfakcjonującą edycją pracowała jedna osoba – Bożena Pietyra (do tego bezbłędna korekta, co jest zupełną rzadkością na polskim rynku wydawniczym). Jeśli to wyjątkowe wydawnictwo nie znajdzie masowego odbiorcy to będzie to wyłącznie „zasługa” nieudolnego marketingu.

Aleksandra Zapotoczny przygotowuje książkę o... dziwnych relikwiach Kościoła katolickiego. Ukazuje się w Wydawnictwie Świętego Stanisława w Krakowie. – Już miała być gotowa, ale mam niemałe opóźnienie... – zdradziła mi autorka. Czekamy z niecierpliwością.

WITOLD KOCIŃSKI

21 marca w Teatrze Śląskim (Scena w Marlni) miało miejsce spotkanie z Aleksandrą Zapotoczny, jego organizatorem była Księgarnia św. Jacka. Gośćmi autorki byli Józef Skrzek i August Jakubik, spotkanie prowadził red. Jacek Filus.



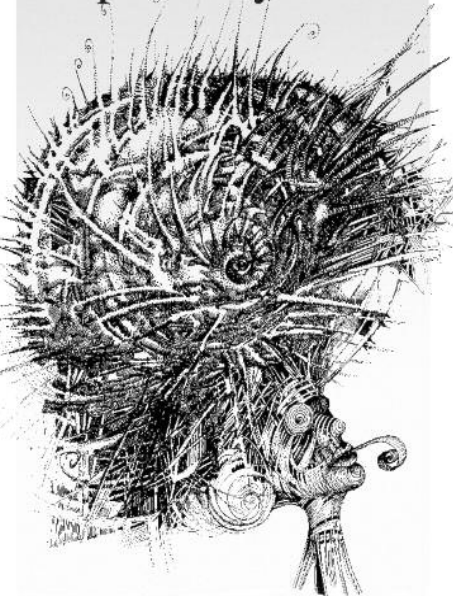
Nakładem wydawnictwa „Sapientia” w Katowicach ukazała się przed paroma miesiącami książka prof. Heleny Synowiec zatytułowana *Śląska ojczyzna polszczyzna z perspektywy edukacyjnej*. Jest mi bardzo miło, że tytuł tego dokonania nawiązuje do mojej książki z roku 1991 i do niniejszej rubryki, którą wiodę już dziesięć lat. Pracę katowickiej koleżanki, zasłużonej wykładowczyni Uniwersytetu Śląskiego i niezawodnej jurorki corocznego konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”, gorąco polecam wszystkim nauczycielom, i to nie tylko polonistom.

Ponieważ niedawno temu pisałem w naszym miesięczniku o *śląskim pieronie*, a i mówiłem o nim w swym telewizyjnym *Słowniku polsko@polskim*, bardzo mnie rozczulił fragment książki nawiązujący do artykułu ks. Emila Szramka *O pieronach górnos Śląskich* z roku 1920, w którym uczony duchowny przytoczył językową anegdotę. Oto górnik, przyniosłszy do domu krupnioki, zwrócił się do żony z prośbą: *Upiecz te pierony!* Usłyszał ten zwrot jego synek, który – zauważywszy, że jeden z krupnioków smażonych na patelni pęka – zawołał: *Mamulko, jedyn pieron puk*. Dziecko zostało natychmiast skarcone, ale nie zorientowawszy się, że matka uczyniła to za użycie „brzydkiego słowa”, zapewniała ją, że więcej się już nie odezwie, *choćby wszystkie pierony popukaty*. Oczywiście, do nieporozumienia doszło dlatego, że *pieron* to przecież nie tylko przekleństwo (tak go odebrała matka), ale często żartobliwe i pozytywne określenie czegoś lub kogoś, takie jak w wypowiedzi ojca o krupniokach.

Nazwałem wyżej ks. Szramka uczonym duchownym. Bo zaiste takim był! Urodzony w roku 1887 w Tworkowie koło Raciborza, doskonale znający gwara z domu rodzinnego i używający jej w kontaktach rodzinno-sąsiedzkich i lokalnych, poświęcił śląskiej mowie, nauce i organizacji życia naukowego na Śląsku całe swoje życie, wyznaczone kolejnymi etapami: szkoła ludowa w Tworkowie, gimnazjum w Raciborzu, Wydział Teologii Uniwersytetu Wrocławskiego, święcenia kapłańskie w roku 1911, praca duszpasterska w Miechowicach, Tychach, Zabrze, Mikołowie, od roku 1926 w Katowicach – jako proboszcza kościoła Mariackiego, kierowanie pracami przy budowie katedry katowickiej od roku 1927, działalność w Towarzystwie Przyjaciół Nauk na Śląsku – od roku 1927 w roli prezesa i redaktora wydawanych przez nie roczników, aresztowanie w roku 1940 i wywiezienie do obozu w Dachau, następnie do Gusen, potem do Mauthausen i znów do Dachau, gdzie został zamordowany – strumieniami lodowatej wody – w roku 1942. Jako męczennika wyniesiono go na ołtarze w akcie beatyfikacji w roku 1999.

Najbardziej znanym i najczęściej cytowanym dziełem naukowym ks. Emila Szramka – oprócz rozprawy doktorskiej poświęconej historii kościoła św. Krzyża w Opolu – jest na pewno *Śląsk jako problem socjologiczny* z r. 1934, ale w jego dorobku składającym się z około 200 prac dokonania językoznawcze mają nie mniejszą wartość.

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

# Książka Emil Szramek o dialekcie śląskim

Uderza jego ogromna wrażliwość na problemy językowe, a przede wszystkim rzetelna wiedza z tej dyscypliny, doskonała systematyczna lektura najważniejszych publikacji na temat kultury i gwara Śląska – takich autorów, jak Józef Łepkowski, Lucjan Malinowski, Kazimierz Nitsch czy Juliusz Ligoń.

Ekspozował przede wszystkim polski rodowód dialektu śląskiego, podpierając się opiniami na ten temat polskich i niemieckich badaczy, między innymi Jerzego Samuela Bandtkiego, Józefa Lompy, Johanna Gottlieba Schummela, a przede wszystkim Juliusza Rogera – z pochodzenia Niemca, naddwornego lekarza księcia raciborskiego, autora zbioru *Pieśni ludu polskiego na Gór-*

*nym Śląsku* z r. 1863, którego cytował w swym artykule *Co sądzić o gwarze śląskiej* z roku 1920: „Liczne germanizmy wciśnięły się do górnos Śląskiej polszczyzny (podobnie jak galicyzmy do innych języków nowożytnych), a w niektórych okolicach, gdzie polszczyzna styka się z czeszczyzną, wpływ języka czeskiego mocno czuć się daje; z tym wszystkim jednak mowa polskich Górnos Ślązaków w ogóle jest tym samym językiem, jakim mówi wiejski lud polski poza końcami Górnego Śląska”.

Wskazując zaś na relacje między gwara śląską a językiem ogólnym, ks. Szramek uwzględnił rezultaty badań dialektologicznych i dowodził za Lucjanem Malinowskim: „Mowa Ślązaków nie jest wcale czesko-morawsko-polsko-niemiecką mieszaniną i nie różni się tak dalece od języka piśmiennego, aby ten był niezrozumiały dla Ślązaków (...), a nawet w niektórych okręgach (np. kozielskim, raciborskim, rybnickim, pszczyńskim) język ludowy więcej zbliża się do literackiego aniżeli gwary ludowe np. okolic Warszawy lub Krakowa”. Powtarzał też za Karolem Miarką: „A czemuż to lud górnos Śląski za dobrych kaznodziej uznaje jedynie tych kapłanów, którzy mówią czysto po polsku? Czemuż to książki modlitwne lud czyta i rozumie czysto polskie? Dialekt wieśniaka naszego jest to język prawo-polski z czasów królów Zygmuntów”.

W zachowanych w dialekcie śląskim cechach archaicznych Emil Szramek widział szczególną wartość. Dlatego tak często podkreślał, że narzecze śląskie jest bliskie językowi staropolskiemu (Jana Kochanowskiego, Jakuba Wujka, Piotra Skargi) i stanowi – jak pisał – „sam miąższ i rdzeń polszczyzny”.

W swoich artykułach upowszechniał stan badań nad śląską polszczyzną, uwzględniając nie tylko rozprawy opublikowane – takie np. jak *O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków* (1894) ks. Karola Myśliwca, *Die polnische Mundart des Oberschlesischen Industriebezirks* (Berlin 1908) ks. Emanuela Nikla czy *Dialekty polskie Śląska* (Kraków 1909) Kazimierza Nitscha, ale też prace pozostawione w rękopisach, niewydane z powodu śmierci autora – chociażby ks. Michała Przywary.

Chwała mu i za to, że zwracał uwagę na sposób używania gwary, doceniając zarówno jej rolę w codziennych kontaktach językowych, jak i jej walory estetyczne. Powoływał się tutaj na ocenę mowy ludu okolic Opola i Gliwic sformułowaną przez geografa i poetę Wincentego Pola: „Myśli i uczucia wyrażają się tu bardzo prosto w starożytnych formach (...), jasność mowy wielka, bogactwo pojęć nieprzebrane, nie ma ani przewleknięcia w intonacji, ani zbyteknych skróceń lub elizji (...), przedostatnia głoska jest tu zawsze długa (chodzi na pewno o akcent na przedostatniej zgłosce! – dopisek mój – J.M.), wszystko, co się mówi, jest słyszaniem, wszystko, co się słyszy, wymówionem”.

Dla prof. Heleny Synowiec – słowa uznania i podziękę, że w swojej przebogatej treściowo książce znalazła miejsce dla jednego z najbardziej zasłużonych dla mowy serca Ślązaków, jakim był bez wątpienia ks. Emil Szramek.

Obecna wystawa przygotowana przez katowickie BWA pt. „Czas syntezy. Klasycy śląskiej sztuki” jest próbą przywrócenia i utrwalenia pamięci o kilku wspaniałych twórcach, składających się ku abstrakcji, oddziaływaniu samej materii obrazu, odwołujących się do wrażliwości odbiorcy. Jak trafnie zauważa w tekście do katalogu wystawy Zuzanna Sokołowska, twórcy ci rozwijając swoje działania poza konwencjonalne definicje sztuki, stworzyli nowy, charakterystyczny język własnej twórczości, otwierający drogę ku niezależnej kulturze, są to: Zenon Moskwa, Krystian Burda, Andrzej S. Kowalski, Andrzej Urbanowicz, Tomasz Struk, Andrzej Szewczyk i Ludwik Poniewiera.

#### Różnorodność płaszczyzn Zenon Moskwa (1929–1992)

Ten urodzony we Lwowie artysta, na Śląsk przeprowadził się pod koniec wojny. W Katowicach podjął studia na ówczesnym Wydziale Grafiki ASP w Krakowie. Zajmował się malarstwem, scenografią i pracą pedagogiczną. Od początku swojej twórczości skłaniał się ku abstrakcji, fascynowała go sztuka informelu. Od lat 60. poświęcił się całkowicie malarstwu materii, do tworzenia którego używał farb połączonych z naturalnymi materiałami, takimi jak ziemia, piasek, drewno, metal, szczątki różnych przedmiotów. Powstawały w ten sposób obrazy – obiekty o niezwykłych strukturach, wewnętrznej przestrzeni, na pograniczu malarstwa i reliefu. Niektóre kolaże artysty (tak jak prezentowany na wystawie „SSSSASSSS”) oddziałują na odbiorcę silnie abstrakcyjnym, mocnym znakiem. Moskwa sięgał po elementy materii codziennego, prozaicznego życia i nadawał im nowe znaczenie, funkcjonujące w sferze skojarzeń czysto obrazowych.

#### Rekonstrukcja czasu Tomasz Struk (1952–2004)

Pochodzący z Bytomia artysta ukończył Wydział Grafiki w katowickiej filii ASP w Krakowie. Zajmował się szeroko pojętą grafiką i malarstwem. Związany był z Katowicami, Berlinem i Paryżem, pomiędzy którymi nieustannie kursował. Laureat m. in. Grand Prix Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie. Jego twórczość jest wielowarstwowa, pełna odniesień do kulturowych motywów. Wszystkie prace Struka oscylują wokół zagadnień czasu, pamięci, obecności. Przyjmowały one kształty staropolskich portretów trumiennych, niektóre z nich pokrywał zrastrowany obraz bluszczu zarastającego ścianę starej synagogi, w innych można było odnaleźć zapis ruchu i światła odbijanego przez morskie fale. Wszystkie motywy przekształcane przez niego otrzymywały uniwersalny i ponadczasowy charakter. O obrazie wody w swoich pracach mówił: *Przez szereg lat kierunkiem podejmowanych przeze mnie podróży był brzeg morza. (...) Wpatrywanie się w wodę, bardziej niż książki przekonało mnie, że rzeczywistość jest zmianą, niepodzielnym ruchem, w którym przeszłość i teraźniejszość stanowią jedną całość. Być może tłumaczy to w jakiś sposób moje szczególne predyspozycje do posługiwania się wyobrażeniem wody.*

#### Wyjście poza obraz Andrzej Szewczyk (1950–2001)

Artysta urodził się w Szopienicach, studia odbył w cieszyńskiej filii US. Mieszkał i pracował w położonych nieopodal Kaczycach Górnych. Pod koniec lat 60. zaczął wykonywać swoje pierwsze assemblage i akcje arty-



## Katowickie BWA Klasycy śląskiej sztuki

**Kim są klasyki śląskiej sztuki współczesnej? Okazuje się, że odpowiedź na to pytanie sprawia trudność. Mimo iż możemy poszczycić się wieloma talentowanymi twórcami, ich dorobek był (i dotąd często jest) niedoceniany, źle promowany i w niewielkim stopniu archiwizowany. A co za tym idzie, osoby te odchodzą w zapomnieniu. Ze szkodą dla polskiej sztuki i wizerunku Górnego Śląska.**

styczne. Od 1977 r. podjął trwającą ponad 20 lat współpracę z warszawską Galerią Foksal. Przedmiotem jego działań było ciągłe eksperymentowanie z zagadnieniem obrazu, wykraczanie poza jego stereotypowe „ramy”. „Malował” obrazy na lustrach, kartach książek, używał do ich budowy gotowych desek ze wzorami do zdobienia ścian, konstruował wielkoformatowe płaszczyzny z tysięcy kawałków kredki i ołówków. Jak czytamy w katalogu wystawy: *Bliki był mu żywioł filozofowania, namysłu nad współistnieniem różnych jakości w sztuce i życiu, kierując się najczęściej intuicją i potrzebą scalania i integrowania obu tych sfer. Ze względu na wyrazistą i barwną osobowość, przylgnęło do niego określenie „erudyta wrażliwości”.*

#### Ezoteryka i mistycyzm Andrzej Urbanowicz (1938–2011)

Urodzony w Wilnie, studiował w Krakowie a następnie w Katowicach na Wydziale Grafiki. Jego sztuka była nierozłącznie związana z fascynacją dotyczącą filozofii starożytnej i średniowiecznej, okultyzmem, buddyzmem oraz jungowską psychologią głębi. Ze zainteresowania w drugiej połowie lat 60. doprowadziły do powstania grupy Oneiron. Pracownia przy ul. Piastowskiej 1 w Katowicach stanowiła ważne miejsce spotkań i promocji alternatywnego myślenia artystycznego i filozoficznego. Artysta zainicjował powstanie Galerii Śląskiej, organizował happeniny i konferen-

cje dotyczące sztuki. Przez pewien czas przebywał w USA, gdzie m.in. w 1979 r. otrzymał stypendium Fundacji Kościuszkowskiej. Po powrocie do Katowic zajął się działalnością parateatralną, związaną z autorskim Teatrem Oneiron 2. To, co charakteryzowało wszystkie jego działania, to próba wyrażenia duchowych, ponadczasowych wartości, niemożliwych do oddania jedynie słowem.

#### Synteza i ekspresja Ludwik Poniewiera (1935)

Artysta urodził się w Awirs w Belgii, ale od czasów swojej młodości związał się z Katowicami. Po ukończeniu katowickiego Wydziału Grafiki, należał do tutejszej grupy Artkał, prezentując prace na wszystkich jej zbiorowych wystawach. Zajmuje się malarstwem i grafiką. Jego pierwsze, na poły abstrakcyjne drzeworyty, w syntetyczny sposób podejmowały temat pejzażu. Ten pełen ascezy, oszczędny sposób opowieści cechuje całą jego twórczość. Na obecnej wystawie możemy zobaczyć kolorowe, geometryczne kompozycje składane z kilku płócien. Pełne wewnętrznej energii prace posiadają dużą siłę wyrazu.

#### Dramat materii Andrzej S. Kowalski (1930–2004)

Urodzony w Sosnowcu malarz, grafik i pisarz. Absolwent malarstwa krakowskiej ASP. Związany pracą pedagogiczną z Wydziałem Grafiki w Katowicach i cieszyńską filią US. Ekspresyjnie malowane, wielkoformatowe kompozycje artysty, utrzymane w ciepłych odcieniach ziemi, z domieszkami intensywnych kolorów są charakterystyczne dla jego twórczości. W latach 60. rozpoczął odważne eksperymenty ze strukturą obrazu. Najważniejsza była dla niego sama materia dzieła i jej wyraz. Tak mówił o swoich pracach: *Obrazy moje mogą być potraktowane jak pismo, którego właściwości tak czy inaczej świadczą o człowieku, a nawet tak czy inaczej go określają (...). Interesuje mnie dramat materii. Wyrażam go biegunowo skrajnymi płaszczyznami faktur: zupełnie płaską i spiętrzoną, nawarstwioną, spontaniczną.*

#### Iluzja i geometria Krystian Burda (1935)

Artysta urodził się w Rydułtowach, gdzie trafił do słynnej szkoły L. Konarzewskiego, a następnie na Wydział Rzeźby warszawskiej ASP. Po kilku latach po studiach wrócił na Śląsk, gdzie otrzymał pracę jako projektant wzornictwa przemysłowego w Hucie Silesia w Rybniku. W swojej twórczości artysta odwołuje się do konstruktywizmu, unizmu, minimalizmu i op-artu. Eksperymentuje z materiałami, poszukuje swoich rozwiązań technologicznych. W tylko sobie właściwy sposób zestawia różnorodne, kontrastujące formy i używa języka geometrii. W malarstwie bawi się kolorem, uzyskując iluzję wypukłości i głębi. Jego prace organizują wewnętrzne rytmy, nadając im specyficzną dynamikę.

\*\*\*

Wystawa „Czas syntezy. Klasyki śląskiej sztuki” jest cennym wydarzeniem. Wspaniale byłoby, gdyby ta ekspozycja nie stanowiła jednorazowego projektu, ale rozpoczęła cykl wystaw promujących kolejne osobowości.

MICHALINA  
WAWRZYCZEK-KLASIK



Andrzej Szewczyk, bez tytułu, technika własna, kredki, płyta pilśniowa



Zenon Moskwa, bez tytułu, pomiędzy 1964-1980, technika własna, płyta pilśniowa



Fot. B. Kubska

Tomasz Struk, „Sans title I”, 2000, papier, druk atramentowy

# CZAS SYNTEZY



Ludwik Poniewiera, F-XLV, 2011, akryl, płótno



Fot. E. Prazmowska-Bekiersz

Krystian-Burda-Dynamika, 1972, stal



Fot. B. Kubska

Zenon Moskwa, SSSASSSS, kolaż



BEATA SOSNOWSKA *Echo I*, olej, płótno, 120x100 cm, 2013



ANGELIKA SZKUCIK *Synosius – święto wiosny*, dwanaście video-obrazów, 2013



KAROLINA MALUTY *Kroniki*, olej, płótno, 80x80 cm, 2013



JOANNA KNAPEK *Odbicie historii mojego miasta*, dyptyk, olej, płótno, 140x100 cm, 2012



JOANNA TYĆ *Horyzont I*, blacha stalowa, emalia, 50x50 cm, 2012



SYLWIA BOŁDYS *Projekcja*, olej, płyta, 85,5x227 cm, 2013

Czwarty segment projektu realizowanego przez Katedrę Malarstwa Instytutu Sztuki Uniwersytetu Śląskiego nosi nazwę „Aktualia”. Następuje on po „Postawach, konfrontacjach”, „Twórczości jako spotkanie”, „Pokoleniach”. W każdym z nich uczestniczy podobna grupa artystów związanych z Katedrą Malarstwa: Jagoda Adamus, Ireneusz Botor, Krzysztof Dadak, Lech Kołodziejczyk, Elżbieta Kuraj, Roman Maciuszkiewicz, Adam Molenda i Tadeusz Rus. Każdy etap projektu obok prezentacji dzieł dopełniają rozważania teoretyczne – często będące osobistym zapisem procesu twórczego przy pomocy słowa. Obraz jest zatem egzemplifikacją postaw wobec sztuki w ogóle, wobec siebie samego, bądź wobec propozycji twórczych pokolenia wchodzącego w materię malarską, także dyskursem z zastanym „tu i teraz” z bagażem, jaki każdy absolwent uczelni artystycznej w sobie nosi. Może go akceptować lub odrzucać, może z nim dyskutować, albo świadomie pomijać, ale nigdy nie pozostanie wobec przeszłych faktów obojętny. Pozostają zawsze pytania o sens określonych zachowań i wizualnych efektów tychże.

„Aktualia” mają komentować czas teraźniejszy, sprawdzić, jaką pozycję wobec rzeczywistego „dziania się” zajmuje artysta, jak na obraz przekłada się jego obecność w owym „dzianiu się”.

Czy „Aktualia” da się oderwać od wcześniejszych trzech składowych tego projektu i rozpatrywać je wyłącznie jako wspomniane „tu i teraz”? W każdym momencie twórczości – nieważne, czy kilka wieków temu czy obecnie, zawsze powstające dzieło to „aktualia”. Jest w nim i postawa, i konfrontacja, jest spotkanie i demonstracja pokolenia. Jak zatem uczestniczący w projekcie rozumieją wieńczące projekt „Aktualia”? Odpowiedzi można znaleźć w towarzyszącej wystawie publikacji pod takim samym tytułem, będącej zbiorem szkiców – wypowiedzi artystów biorących udział w projekcie. Jagoda Adamus zauważa, że „zachowując przyznane im [dawnym dziełom – przyp. wk] kiedyś miejsce, przekraczają one granice dyktowane przez czas. Będąc starcami pochodzącymi z wieków współtworzących arsenał co najmniej kilku tysięcy lat, dotarli do wieku dwudziestego pierwszego, pozwalając się dotknąć, zobaczyć, posłuchać”. Autorka zauważa też, że „dwudziesty pierwszy wiek, choć jeszcze młody, wszedł od razu nie tyle na dwutorową drogę, która dysponuje dwoma kierunkami – kierunkami *do przodu* i kierunkiem *wstecz*, ale znalazł się w labiryncie autostradowych wiaduktów i ślimacznicy”. Dziś jest zatem wy-

## Czym są „aktualia”?

padkową jakiegoś wczoraj. Inaczej o „aktualiach” pisze Ireneusz Botor. Dla niego to nic innego jak poruszanie się w malarskiej materii, która w danym momencie służy zachowaniu stanu pamięci. Kiedy maluje odchodzące, rujnowane obiekty poindustrialne, to powstający obraz nie staje się odzwierciedleniem sytuacji, ile dokumentowaniem pamięci. Istniejące rzeczywiste przestrzenie, które malarz zatrzymuje w zamkniętym obszarze płótna to zapis stanu umysłu, to próba – wręcz magiczna – odczynienia zła. W twórczości Batora jest to mocno akcentowane. Przemijanie poprzez osobiste uczestnictwo w nim, ma stać się czasem teraźniejszym. Nie ma czasu teraźniejszego bez przemijania. Najwartościowsze dla tego artysty staje się to, co zwykle jest zakryte przed oczami publiczności. Tam, gdzie nie sięga powierzchowna dekoracyjność, upiększenie, podrasowanie rzeczywistość zaczyna się świat przeznaczony dla artysty. To, czego nie widać, zawsze jest mało atrakcyjne, ale – zdaniem Batora – w tym tkwi największa wartość. Przeciwstawia przestrzeni oficjalnej przestrzeń wstydlivą, wykluczoną, nazywa zapleczem rzeczywistości.

Bardzo intrygujące spostrzeżenia czyni też – zabierając głos w sprawie „Aktualii” Krzysztof Dadak. Przyjmuje interesujący punkt widzenia – artysta jako zaprogramowany, ciągle „aktualizowany”, przyspieszający i nieustannie wersyfikujący zmieniający się system wartości i hierarchii. Twórczość traktuje jako „bazę danych” o twórcach, jego kondycji psychofizycznej, o sposobie myślenia i stosunku do rzeczywistości. Drogą do rozwoju jest nieustanna konfrontacja i czujność względem otoczenia i próbą godzenia zaistniałych faktów z własnym światopoglądem. Czy – na przykładzie tej trójki artystów – „aktualia” postrzegane są zgoła odmiennie? Raczej nie – to tylko kwestia nazwania i przywołania innych kontekstów. Rozważania te można podsumować słowami pomysłodawcy projektu – Lecha Kołodziejczyka. Może u niego można znaleźć odpowiedź czym są „aktualia”. Ale chyba też nie do końca, choć dość stanowczo określa zadania dla współcze-

snego artysty: „Warto przypomnieć, iż takie problemy jak mit dziewiętnastowiecznego artysty eksponujący rejon ducha niedostępnego maluczkim, stwierdzenie Nietschego, iż „sztuka jest po to, aby nas nie zabiła rzeczywistość”, zagadnienie demokratyzacji sztuki, penetrowanie obszarów odrażających, okrutnych, powszechne obecnie demaskowanie kanonicznych form wypowiedzi artystycznej czy też współczesny nadmiar tzw. produkcji artystycznej – to tylko niektóre istotne treści, z którymi powinien zetknąć się obecny twórca, biorąc je pod uwagę w swych doświadczeniach artystycznych”. I po tym podsumowaniu nadal nie wiadomo, czy są „aktualia”, co mają nowego reprezentować? Wszak w każdym momencie historii malarstwa są jakieś aktualia i reagujący na rzeczywistość artyści. Najbliższe odpowiedzi na to pytanie jest – moim zdaniem – uwaga Romana Maciuszkiewicza: „Reakcja na otaczający świat jest naturalnym odruchem artysty”. I dodaje na zakończenie swojego wywodu: „Czasem stajemy bezradni wobec własnej twórczości, która w pewnym momencie musi zmierzyć się z zewnętrznością i choć niesie ze sobą więcej wątpliwości i trudnych pytań niż pewników, staje się imperatywem i uświadomioną koniecznością. To jedna z niezbywalnych cech twórczego, świadomego i odpowiedzialnego działania”. Aż chce się dodać: nie tylko artysty dnia dzisiejszego.

Wystawa zatytułowana „Aktualia” przyniosła pokaz twórczości nie tylko artystów – pedagogów, ale i ich wychowanków. Mimo różnic pokoleniowych każdy z nich maluje swoje „aktualia”. Każdy pieczętuje rzeczywistość przedstawioną w obrazie swoją wrażliwością, swoimi doświadczeniami i postrzeganiem realu. Jakże są to odmienne działania odrębne. Dla każdego z twórców – pedagoga czy twórcy – studenta „aktualia” dzieli różnica pokoleń. Każdy ma swoje „aktualia”, istniejące równolegle, jak w dwóch wymiarach. Różnorodność postrzegania, podbudowana wiedzą, umiejętnością konfrontowania, wyciągania wniosków i spostrzeżeń ze spotkań, z rozmowy pokoleń, dopiero w pełni daje obraz (ciągle przetwarzający się) okalającej nas i przenikającej rzeczywistości. Zatem sztuka – obraz malarski jest swoistą rejestracją naszego „tu i teraz”, czy poprzez sztukę twórcy chcą zmieniać świat, czy go opisywać. Jean Baudrillard pisał: „Losem sztuki zatem jest przekraczanie i prześciganie samej siebie ku czemuś innemu, a życie sobie...!”.

WIESŁAWA KONOPELSKA



– To, że serwituty przetrwały, ma w środowisku wydźwięk zdecydowanie pozytywny. Ludzie mówią, że Lasy Państwowe mają szacunek dla historii i tradycji – mówi nadleśniczy Nadleśnictwa Kłobuck Jerzy Milkowski.

# W kłobuckich lasach serwituty nadal respektowane

Tekst i zdjęcia:  
JERZY MACHURA

Wydawać by się mogło, że Powstanie Styczniowe, którego 150 rocznicę wybuchu obchodziliśmy w 2013 roku, to wydarzenie na tyle odległe, że jedynie pomniki, mogiły i filmy nawiązują do tamtych czasów. Ale okazuje się, że relikwety z tego okresu do dziś funkcjonują w leśnictwie, w gospodarce Lasów Państwowych. Mowa o serwitutach, nierozdzielnie związanych z wydarzeniami sprzed półtora wieku. Serwitutach, o których możemy pamiętać z lektur szkolnych, gdyż pisali o nich, opisując XIX-wieczne stosunki na polskiej wsi, Władysław Reymont w noblowskich „Chłopach”, Maria Dąbrowska w „Nocach i dniach” czy Eliza Orzeszkowa w „Nad Niemnem”.

Nazwa wydaje się archaiczna, nie pasująca do dzisiejszej rzeczywistości. Wedle terminologii prawniczej, serwi-

tuty to rodzaj ograniczonego prawa rzeczowego – służebność, uprawnienie chłopów posiadających ziemię orną, polany lub hale do korzystania z pańskich lasów. Nadawane były do początków XX w. Początkowo dotyczyły własności królewskiej lub dworskiej, później – gdy zmieniali się właściciele lasów – również prywatnej czy państwowej. W trakcie Powstania Styczniowego w 1863 r. Tymczasowy Rząd Narodowy ogłaszając uwłaszczenie włościan, gwarantował jednocześnie utrzymanie przywilejów serwitutowych, licząc na poparcie powstania przez chłopów. Manewr ten powtórzył potem zaborca – car Rosji w ukazie uwłaszczeniowym. Taka też geneza dotyczy serwitutów dzisiaj nadal obowiązujących w Nadleśnictwie Kłobuck, a konkretnie miejscowości Ostrowy nad Okszą, o której pierwsze przeka-

zy historyczne pochodzą już z 1241 r., a nazwa jej występuje w dekretach Władysława Opolczyka, z 1383 r. O Ostrowach wspomina też w swoich kronikach Jan Długosz (wywodzący się z Ziemi Kłobuckiej), jako o wsi za czasów króla Władysława Jagiełły.

Tę swoistą „wycieczkę w przeszłość” rozpoczynam od wizyty u nadleśniczego Nadleśnictwa Kłobuck, **Jerzego Milkowskiego**, który nie zaprzecza słuszności domniemania, iż przywilej serwitutowy może tu wywodzić się aż z czasów królewskich, że najpierw władcy Polski nadali go „osadźcom” wsi Ostrowy. Ale...

– *Jedynym aktem prawnym, jaki posiadam, a jaki potwierdza te służebności, jest dokument z czasów carskiej Rosji* – mówi nadleśniczy i prezentuje iście zabytkową księgę, spisana kaligrafiami – Protokół serwitutowy datowany latami 1899/1900, sporządzony przez Wysoką Komisję, a dotyczący majątku „Ostrowy”, należącego wówczas do jednego z członków carskiej rodziny, Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza, którego nazwisko pokaźną czcionką uwiecznione jest na okładce. Dokument ten nadleśniczemu powierzyli uprawnieni do serwitutów i jest on pieczołowicie przechowywany w siedzibie kłobuckich leśników.

I właśnie w oparciu o ten protokół, ostrowianie zaparli się i mimo zmieniających się ustrojów społeczno – politycznych utrzymali w mocy przywilej. A dziś Nadleśnictwo Kłobuck musi w dalszym ciągu realizować, rzec można, archaiczne serwituty. Jak w praktyce wygląda wypełnianie carskiego ukazu? Czy to wielki problem dla gospodarki leśnej? – *Ta służebność jest swego rodzaju ewenementem, ale i problemem, bo my za to musimy płacić. Rocznie kosztuje nas to ponad 7 tys. zł, w zależności od tego, jak ceny detaliczne się kształtują* – odpowiada nadleśniczy J. Milkowski.

Realizacja służebności następuje raz na trzy lata – na wniosek uprawnionych. Ze względów praktycznych porozumienia spisywane są nie z każdym z osobna, lecz z komitetem uprawnionych. To wygodniejsza forma dla nadleśnictwa. – *Uprawnieni sami decydują, kogo wybierają do grupy ich reprezentującej i upowazniają ją do rozmów z nami. A my wyliczamy wartość drewna według obowiązujących cen detalicznych, pomniejszając tę wartość o koszty zrywki i pozyskania* – wyjaśnia procedurę nadleśniczy.

Wydawane drewno powinno mieć cechy zgodne z zapisami serwitutowymi a w porozumieniu z reprezentacją uprawnionych ustala się odpowiednie miejsce jego składowania, miejsce, z którego uprawnieni własnym transportem je zabierają.

Czy każdy mieszkaniec Ostrów posiada taki przywilej? Czyli, czy liczba uprawnionych to stała liczba, czy też się rozrasta, poprzez spadki, dziedziczenie?

– Kiedyś były uprawnione 84 osady, bo serwitut to służebność przypisana do konkretnej osady – do domu, do gruntu jemu przynależnego. Z upływem czasu te własności dzieliły się, „szatkowały” i prawo do pobierania serwitutu też się dzieliło, ale mógł z niego korzystać wyłącznie ten, kto pozostawał na skrawku tej ziemi, do której ten przywilej był przypisany. Bo np. jeśli ktoś się wyprowadził i zamieszkał w innej wsi, nie był już właścicielem tego gruntu a więc i serwituty tracił, taka jest istota tego prawa – wyjaśnia J. Miłkowski, wspominając przy tym, że kiedyś mieszkańcy Ostrów zwołali zebranie ogólne wsi i wystąpili z wnioskiem, by i pozostali mieszkańcy mogli z serwitutów skorzysta. Nadleśniczy zakwestionował to, bo uprawnieni są tylko spadkobiercy prawni. A prawo spadkowe wchodzi tu w grę, o ile spadkobierca zostaje na gruncie. W przeciwnym razie ludzie by przyjeżdżali do Ostrów z innych wiosek a może i miast, osiedlali się tu powiększając grono uprawnionych. Czyli jest to lista zamknięta, sporządzona przez wspomniany komitet i za każdym razem legalizowana – uwierzytelniana. W tym celu komitet zwraca się do wójta, który czyni to z mocy sprawowanego urzędu.

Nadleśniczy dodaje, że zmiany zasły jedynie co do przedmiotu służebności. Kiedyś w zakres serwitutu wchodziło nie tylko drewno, ale i ściółka i tzw. gałęziówka:

– Na wsi zmodernizowano systemy grzewcze, więc ludzie teraz nie potrzebują gałęzi, czyli prawo to naturalnie umiera. Zresztą ściółka też dziś nie jest potrzebna, bo w gospodarstwach nie ma inwentarza, takiego pod którym trzeba by ścięłać. Kiedyś jeszcze stare chaty były gacone tymi liśćmi, żeby było w chałupie ciepłej.

W Królestwie Polskim do 1912 roku zniesiono serwituty w większości gospodarstw, a ostatecznie na terenach byłego zaboru rosyjskiego przywileje te znikły w okresie międzywojennym, głównie w latach 1926–1932. Tak się oficjalnie podaje. Ostatecznie? Ostrowy nad Okszą to więc swego rodzaju fenomen. Tym większy, że i mieszkańcy innych okolicznych miejscowości posiadali kiedyś taki przywilej, ale dziś pozostały jedynie Ostrowy. W innych przypadkach serwituty zostały wykupione przez państwo w oparciu o obowiązujące przepisy. Ludzie dostali odpowiednią gratyfikację i tym samym stracili uprawnienia do korzystania z lasu. We wsi Ostrowy opór był jednak tak duży, że państwo nie mogło tej służebności wykupić. Trudno zgłębić, dlaczego akurat w tej wsi przywilej przetrwał tyle lat. Ustroje polityczne się zmieniały i, co za tym idzie, prawo również, a ostrowianie nie oddali serwitutów. Nadleśniczy, który pracuje tu od wielu lat, też nie wie skąd taki skuteczny, wieloletni a właściwie już wielowiekowy opór:

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Choć wiem, że prowadzone były poważne rozmowy na temat tego by Lasy wykupiły serwituty. Lasy proponowały zamianę tych służebności za tzw. łąki Puchały, bo tak nazwano to uroczy-

sko. Lasy chciały część tych łąk przekazać, natomiast uprawnieni do serwitutów chcieli całe te łąki, i do porozumienia nie doszło – zachował się protokół z 1958 roku. Później jeszcze temat wrócił w latach 70., ale też bez skutku. Te łąki to teren dziki, niezagospodarowany, porośnięty trzciną. Pod względem ekologicznym to ciekawe zbiorowisko, ale tylko pod takim.

Nadleśniczy Miłkowski zaprasza mnie na wycieczkę do Ostrów, by pokazać, jak dobrze, z pożytkiem dla dobra ogółu, mieszkańcy tej miejscowości korzystają z serwitutów: – Oni sprzedają to drewno, spieniężają tę koryść, a uzyskane środki przeznaczają na cele społeczne – mówi, gdy zatrzymujemy się przed budynkiem szkoły. – Gdy w tej szkole budowano salę gimnastyczną komitet uprawnionych się dołożył. Podobnie było, gdy przy budowie kanalizacji sanitarnej wynikły jakieś dodatkowe koszty, mieszkańcy też je z serwitutów pokryli – z uznaniem podkreśla nadleśniczy

Jest też jeszcze jeden plus tego zjawiska: – To, że serwituty przetrwały, ma w środowisku wydźwięk zdecydowanie pozytywny. Ludzie mówią, że Lasy Państwowe mają szacunek dla historii i tradycji. I to tym bardziej utwierdza mnie w przekonaniu by realizować serwituty, mimo że to pewien kłopot i strata finansowa – podsumowuje nadleśniczy.

Tę „wycieczkę w przeszłość” kończymy na „Modrzewiowej Górze” – rezerwacie, ale i miejscu związanym z Powstaniem Styczniowym.

– Tędy przebiegał trakt zwany „zielonym” i tu, według przekazów okolicznych mieszkańców, najprawdopodobniej powstańcy wypoczywali i zostali zaskoczeni przez kozaków – doszło do krwawej potyczki – przybliży temat leśniczy Leśnictwa Zwierzyniec, Jerzy Mazurkiewicz. – Dowodem pamięci po tym zdarzeniu jest zawieszona na modrzewiu kapliczka – z wizerunkiem św. Eustachego, upamiętniająca czterech poległych tu powstańców (Kiedyś umieszczona była na buku, ale drzewo przewrócił wiatr).

\*\*\*

Ostrowy nad Okszą to nie jedyne w kraju miejsce kojarzone do dziś z serwitutami. Takimi służebnościami obciążone są np. lasy w Wąchoczu (woj. świętokrzyskie). Nad jeziorem Wigry natomiast zachowały się przywileje związane z prawem połowu ryb – tzw. brzegowe, a na Podhalu serwituty dotyczące wypasu owiec i bydła.



Protokół serwitutowy datowany latami 1899/1900, sporządzony przez Wysoką Komisję, a dotyczący majątku „Ostrowy”, należącego wówczas do jednego z członków carskiej rodziny, Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza.



W śląskim, zdegradowanym krajobrazie raz po raz wyrastają piękne, użyteczne postindustrialne symbole. Jak choćby położone w samym centrum Katowic obiekty kultury w miejscu dawnej kopalni czy gliwickie Centrum Edukacji i Biznesu, powstałe w powęglowej przestrzeni.

Mimo to ćwierć wieku po transformacji ustrojowej odzyskiwanie terenów po przemyśle, wraz z jego bezcennym, kulturowym dziedzictwem, pozostaje jednym z najtrudniejszych do rozwiązania problemów ekologicznych, społecznych i ekonomicznych.

Mamy w Polsce, według szacunkowych pomiarów, mniej więcej 800 tysięcy hektarów terenów poprzemysłowych. Liczba ta jest zmienna. Wciąż przybywa nowych, a z wieloma już zdiagnozowanymi, najgroźniejszymi zaszłościami „po truci” nie jesteśmy sobie w stanie do końca poradzić. Problem ten w największym stopniu dotyczy województwa śląskiego, gdzie przestrzeń po przemyśle zniszczona jest najbardziej.

To kilkanaście tysięcy hektarów terenów poprzemysłowych i nieużytkowanych. Tę liczbę uzupełnia około 3 tysiące hektarów przeznaczonych pod składowiska odpadów. I tysiące hektarów miejsc najbardziej zdegradowanych i często śmiertelnie skażonych, które powinny być oczyszczone już przed laty. Chodzi szczególnie o tzw. bomby nazywane ekologicznymi, choć w rzeczywistości to bomby chemiczne. Nie zdołaliśmy się z nimi uporać przez ostatnie 25 lat. Przynajmniej w skali „blokującej” przenikanie z nich do środowiska naturalnego najgroźniejszych toksyn.

## W przestrzeni Śląska

Do takich miejsc należy kilkuhektarowa powierzchnia po katowickiej Hucie Metali Nieżelaznych w Szopienicach, odległej zaledwie kilka kilometrów od centrum miasta. Po jej upadku, do dziś nie zdołano wywieźć i unieszkodliwić wszystkich szlamów cynkowych. Dalej sączą w głąb ziemi, rakotwórcze trucizny i niezniszczalne metale ciężkie.

Nie jedyny to problem szopienickiej dzielnicy. Upadły na początku obecnego wieku zakład nie przyniósł ludziom oddechu. Za to przyczynił się do powstania w jego okolicy getta biedy i patologii. Nie uda-

## Tereny poprzemysłowe w sieci



ło się też, mimo starań dawnej załogi, ocalić bezcennego dziedzictwa kulturowego po tym hutniczym przemyśle. Czy uda się zdobyć kolejne miliony złotych na rewitalizację szopienickiej dzielnicy Katowic?

Jeszcze większych pieniędzy potrzebuje Jaworzno na likwidację składowiska odpadów „Rudna Góra”, ulokowanego nad brzegiem potoku Wąwolnica. Potok dopływa do Przemyszy. Wraz z jego wodami przenikają do Wisły i Bałtyku strumienie pestycydów, cyjanów, fenoli i substancji, które ze względu na siłę rażenia trafiły na specjalną listę Konwencji Sztokholmskiej. To obecnie najgroźniejsze nie tylko w naszym regionie, dokładnie rozpoznane źródło trucizn (potwierdził to międzynarodowy projekt FOKS z udziałem śląskich naukowców) po starych zakładach „Organika -Azot”.

Ponad 20 lat trwa rozbrajanie jednej z największych w regionie bomb ekologicznych, pozostałości po 200-letniej dzia-

łalności produkcyjnej Zakładów Chemicznych „Tarnowskie Góry”. I końca nie widać, chociaż bliżej do niego niż dalej...

Likwidowanie tego niewyobrażalnego zagrożenia dla wód podziemnych – rezerwuaru wód pitnych dla Śląska, pochłonęło dotąd setki milionów złotych i zbyt dużo czasu. Marnowano go na pokonywanie przeszkód prawnych, rozwikływaniu prawa własności do części terenów po zakładzie i przepychanki natury administracyjnej. To norma w tego typu przypadkach.

Długo można wyliczać tereny poprzemysłowe, pozostawione na pastwę losu. Bezużyteczne, bo nawet nie oczyszczone, przynajmniej do poziomu, gwarantującego zainteresowanie nimi inwestorów. Są wśród nich i te ani urzędowo, ani naukowo niezidentyfikowane. Często ujawniają się same. Nagle i niespodziewanie, przez przypadek.

Jak splantowana hałda pogórnicza, przylegająca do Górnośląskiego Parku Etnograficznego (skansenu) w Chorzowie, którą zaczęto przed mistrzostwami Euro 2012 rozkopywać. Z nadzieją, że tu właśnie powstanie parking dla kibiców rozgrywek, zjeżdżających na nowy Stadion Śląski. Tymczasem rozkopana hałda, wraz z dostępem tlenu, zaczęła się palić w środku lata, zasnuwając nie tylko Chorzów czarnymi smugami dymów i odorami.

Podobnych przypadków choć w mniejszej skali było i będzie więcej. Nie wszystkie bowiem pozostałości po śląskim, starym przemyśle są „namierzone”.

To tylko jeden z powodów, dla którego naprawa szkód po przemyśle trwa tak długo...

## Inne przeszkody

Zgodnie z polskim prawem, za szkody wyrządzone w środowisku naturalnym odpowiada, a więc i płaci za ich spowodowanie, sprawca. Upadek przestarałego technicznie i technologicznie przemysłu, który „tlił się” od lat 70. ubiegłego wieku doprowadził nie tylko do zapaści gospodarczej. Wytworzył pustkę w przestrzeni polskiego prawa, regulującego postępowanie z terenami poprzemysłowymi.

Po 1989 roku prawo porządkowano i nowelizowano pod potrzeby demokratycznego państwa. Niemal w każdej dziedzinie. Wiele uczyniono dla ochrony środowiska. Nadano jej status ustawowy. Niestety tereny poprzemysłowe, z całą pa-







letą komplikacji, znalazły się poza tym statusem.

Przyjęty w kwietniu 2004 roku „Program rządowy dla terenów poprzemysłowych”, ze względu na przewidywane gigantyczne koszty ich porządkowania, z góry przewidywał ograniczenie działań rekultywacyjnych do wybranych miejsc. Tych stwarzających największe zagrożenie dla zdrowia ludzi i środowiska oraz terenów zdegradowanych o dużej powierzchni, których rewitalizacja była jednym z podstawowych warunków odzyskania ich dla nowych inwestycji i tworzenia nowych miejsc pracy.

Takie tereny w tym programie zostały wskazane. Na pierwszym miejscu tereny pogórnice węgla kamiennego i rud metali oraz pohutnicze. Dalej tereny po innych uciążliwych dla środowiska gałęziach przemysłu na obszarach Górnego i Dolnego Śląska. W drugiej kolejności do rekultywacji zakwalifikowano (bez podstawowych narzędzi) tereny poprzemysłowe w największych aglomeracjach.

Rządowy program, stworzony bez wsparcia zapisów prawa oraz deklaracji pomocy finansowej Skarbu Państwa (właściciela upadającego przemysłu), okazał się tylko pobożnym życzeniem.

Ze względu na skalę problemu w województwie śląskim nie można było dalej czekać bezczynnie. Podjęto własną próbę systemowego porządkowania terenów poprzemysłowych..

Doświadczony w tej dziedzinie dr inż. Jerzy Ziara z Głównego Instytutu Górnicstwa wspomina, że w 2004 roku, w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Śląskiego przystąpiono do tworzenia regionalnej bazy takich terenów. Liczyła ona kilkaset pozycji. I choć była niepełna, posiadała wiele wad i nie przyniosła spodziewanych efektów, to z całą pewnością okazała się pożytecznym, pionierskim doświadczeniem i przydatnym zasobem. Zwłaszcza w konfrontacji z rozwiązaniami rodem z Północnej Nadrenii – Westfalii, Nord-Pas de Calais we Francji czy belgijskiej Walonii. Wzorce z krajów Europy z długą tradycją zagospodarowywania obszarów poprzemysłowych, z pominięciem ich błędów, były i są nadal pomocne.

Podstawowy wniosek jest taki, że odzyskiwanie i cykliczne wykorzystywanie terenów po przemyśle w Polsce potrzebuje rozwiązań systemowych. Nie wspiera ich prawo, pozostawiając problem gminom. Przeszkody się nawarstwiają, proporcjonalnie do zmieniających się coraz szybciej trendów gospodarczych i wykorzystywania zbyt często zielonych przestrzeni. Ta jest ograniczona, poprzemysłowa czeka bezużytecznie.

Takimi terenami trzeba zarządzać mądrze. Zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju. Bez nadużywania ekologicznej przestrzeni do życia.

To kolejna luka, dotycząca ich porządkowania. I wielkie zaniedbanie. Mamy przecież w Polsce aż kilkanaście, często powielających swoją działalność instytucji ochrony środowiska. W żadnej nie stworzono przysłowiowego centrum zarządzania terenami zdegradowanymi i ochroną ich kulturowego dziedzictwa.

## Przełom?

**Jak** w tej sytuacji radzi sobie województwo śląskie?

Dalej tworzy zręby własnego systemu. Przełomowym przedsięwzięciem może stać się zrealizowany w Głównym Instytucie Górnicstwa wspólnie z Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego projekt pod nazwą Ogólnodostępna Platforma Informacji „Tereny przemysłowe i zdegradowane” (OPI – TPP). Jest on integralną częścią Otwartego Regionalnego Systemu Informacji Przestrzennej.

Projekt ten powstawał pod kierunkiem dr inż. Jana Bondaruka, kierownika Zakładu Ochrony Wód z Głównego Instytutu Górnicstwa.

Zdaniem twórców projektu, jego wielkim walorem jest możliwość skupienia pełnej informacji o górnośląskich terenach przemysłowych w jednym źródle i upublicznienie jej. Dotąd wiedza o terenach zdegradowanych przez przemysł drzemiała zamknięta hermetycznie w wielu instytutach naukowych i urzędach. Dostęp do niej był utrudniony. Często też kosztowny.

Zrealizowany projekt OPI TPP wkrótce umożliwi wszystkim zainteresowanym

korzystanie z tej zweryfikowanej i umieszczonej w sieci wiedzy o śląskich terenach poprzemysłowych. Pozwoli też konfrontować ją z posiadanymi informacjami. Sprzyjać też będzie w transparentnej przestrzeni sieci wymianie wiedzy o nich pomiędzy naukowcami i gminami. Jej wzbogacaniu, uzupełnianiu i aktualizacji.

Dotąd nie wszystkie gminy, dysponujące terenami poprzemysłowymi, które nadają się do włączenia w obieg gospodarczy i ponownego użytkowania przystąpiły do tworzenia śląskiej bazy. Chociaż warunkiem jest tylko wypełnienie interaktywnego formularza ich opisu – eTPP.

Uruchomienie w sieci Ogólnodostępnej Platformy Informacji o terenach poprzemysłowych i zdegradowanych w skojarzeniu ze środowiskiem przyrodniczym województwa śląskiego jest dziś koniecznością. Gołym okiem widać odchodzenie od monokultury przemysłowej i ciągle zmiany na mapie gospodarczej Śląska. Ta wiedza jest niezbędna inwestorom krajowym i zagranicznym.

Dlatego OPI-TPP czyli baza danych z województwa śląskiego, zawierająca kompleksową informację o terenach przemysłowych i zdegradowanych staje się ważną częścią regionalnej i krajowej Infrastruktury Informacji Przestrzennej. Wkrótce baza ta, wprowadzona przez GIG na portal Śląskiego Centrum Społeczeństwa Informacyjnego, będzie w stanie zapewnić sprawną obsługę pozyskiwania informacji o przestrzeni poprzemysłowej oraz ich optymalne wykorzystanie. Jako źródła wiedzy o jakości terenów poprzemysłowych i ich specyficznych walorach.

Korzyści tego systemu trudno przecenić. Będą oczywiście, gdy zainteresowani zaczną z niego aktywnie korzystać. To nowoczesne narzędzie systemowego zarządzania informacją o terenach poprzemysłowych w województwie śląskim powinno sprzyjać przyspieszeniu działań rewitalizacyjnych na terenach zdegradowanych. Stanie się to tym szybciej, im chętniej zaczną z systemem OPI-TPP współpracować wszystkie gminy i nadążą za nim „zreformowani” urzędnicy czyli nowoczesna e-administracja.

JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

# Odtwarzając amerykański sen

O siemdziesiątego szóstego w historii Oscara w najważniejszej kategorii otrzymał poruszający temat niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych połowy XIX wieku *Zniewolony. 12 Years A Slave* Steve'a McQueena – film niewątpliwie dobry, jednak równie niewątpliwie nie najlepszy, jaki powstał w 2013 roku. Każdy, kto na bieżąco śledzi premiery kinowe, mógłby wymienić co najmniej kilka tytułów, które jego zdaniem bardziej zasługują na Oscara dla najlepszego filmu. *Zniewolony* nie umywa się też do poprzednich (arcy) dzieł McQueena – *Głodu* (2008) i *Wstydu* (2011), które przecież „nie zostały przez Akademię zauważone”.

Zanim zaczniemy burzać się na niesprawiedliwości rządzące (ponoć) najważniejszymi nagrodami filmowymi na świecie, krytykować wybory tajemniczej Akademii oraz zastanawiać się dlaczego nie przyznano nawet jednej nominacji nowemu objawieniu tureckiego kina kontemplacyjnego, przyjrzyjmy się zasadom przyznawania Oscarów. Nie zapominajmy też o kontekście kulturowym, z którego się one wywodzą: wychowani na hollywoodzkich filmach, często uzurpujemy sobie prawo do ferowania wyroków na temat specyfiki amerykańskiej kultury, zapominając o tym, że nasza wiedza jest najczęściej tylko filmowym wyobrażeniem na jej temat. Oscary zaś, wraz z ceremonią ich przyznawania, są dorocznym świętem, które ma przede wszystkim podtrzymać mit American Dream, a nie wskazać najlepsze filmy, jakie powstały w ciągu ostatniego roku. Choć jako marka rozpoznawalna są na całym świecie, to fenomen *stricte* amerykański. Spójrzmy więc na Oscary okiem antropologa, który bada nieznaną mu kraj, a nie okiem krytyka filmowego, nastawionego przede wszystkim na wartość dzieła.

Na początku należy podkreślić, że w przypadku Oscarów mamy do czynienia z konkursem; aby film mógł wziąć udział w konkursie, przede wszystkim należy go zgłosić (do każdej kategorii z osobna). Jeśli ten banalny fakt połączymy z zasadą, w myśl której każdy film ubiegający się o nominację musi być wyświetlany w określonym formacie, w minimum jednym kinie w Los Angeles nieprzerwanie przez co najmniej tydzień, dostaniemy prostą odpowiedź na większość pytań o to dlaczego filmu X nie ma w gronie wyróżnionych. Amerykański kontekst wpisany jest w sam regulamin – w przedbiegach odpada tysiące filmów z całego świata, których producenci, agenci sprzedaży bądź dystrybutorzy nie mogą sobie pozwolić na amerykańską premierę. Do tegorocznej edycji Oscarów zgłoszono i zakwalifikowano 289 filmów pełnometrażowych (filmy dokumentalne i krótkometrażowe rządzą się innymi prawami). To liczba w historii Oscarów rekordowa, kiedy jednak porównamy ją z ilością filmów wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych w 2013 roku (3591 tytułów wg IMDB) okazuje się ona niewielka – zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że wśród zgłoszeń

znajdują się również filmy nieanglojęzyczne.

Drugim czynnikiem, mającym niebagatelny wpływ na ostateczne werdykty, jest sposób głosowania oraz sama struktura Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej, w skład której wchodzi przede wszystkim filmowcy wyróżnieni wcześniej nominacją do Oscara. Podzieleni są oni na *gildie* (aktorów, montażystów, operatorów itd.), które decydują o nominacjach we właściwych sobie kategoriach. Już tutaj rodzi się pytanie o to, skąd mieć pewność, że głosujący obejrzał wszystkie rywalizujące filmy. Jednak większe wątpliwości w kwestii miarodajności budzi runda druga: na etapie przyznawania właściwych nagród nominowanym, wszyscy członkowie Akademii mają prawo głosu we wszystkich kategoriach: i tak w kwestii Oscara za dźwięk Sandra Bullock ma do powiedzenia również wiele, co specjalista z tej dziedziny.

Akademia reprezentuje pewien demograficzny przekrój społeczeństwa amerykańskiego w wersji wyidealizowanej – w jej skład wchodzi ci, którzy spełnili *American Dream* bądź odziedziczyli go po rodzicach. Wiara w jego siłę jest nad wyraz widoczna w oscarowych werdyktach, podyktowanych uśrednieniem gustów szerokiego grona indywidualistów. Prowadząca tegoroczną galę Ellen DeGeneres stwierdziła, że wieczór może się skończyć na dwa sposoby – albo wygra *Zniewolony*, albo wszyscy członkowie Akademii są rasistami. W tym balansującym na granicy politycznej poprawności żarcie zawiera się kwintesencja kolektywnego myślenia gremium przyznającego Oscary, które od lat ucieka od wszelkich kontrowersji i polityki (ta ostatnim razem wdarła się na scenę Kodak Theatre bodaj w 2005 roku, kiedy Michael Moore odbierał statuetkę za *Fahrenheit 9.11*).

Obok *Zniewolonego*, wielkimi wygranymi tegorocznego rozdania Oscarów są *Grawitacja* Alfonso Cuaróna i *Witaj w klubie* Jeana-Marca Vallée'go. Zamiast rozliczać Akademię z każdej przyznanej statuetki z osobna, przyjrzyjmy się specyfice samych zwycięskich filmów. Rozgrywająca się w przestrzeni kosmicznej *Grawitacja* to wizualny majstersztyk o nikłej wartości intelektualnej – w warstwie symbolicznej banalna opowieść

o przezwyciężaniu traumy i ponownym stawianiu na nogi. Cuarón opowiada nam niegroźną przypowieść, rozpiętą między minimalizmem a nieznosną pompą i skąpaną w tabloidowym feminizmie. Wrażeniami, które dominują jest zachwytna warstwa wizualna i obojętność na losy bohaterów.

Z kolei *Witaj w klubie* budzi niesmak. Inspirowana faktami opowieść o Ronie Woodroofie, zarażonym wirusem HIV fanie rodeo, który walcząc o swoje życie, przy okazji przezwycięża swoją homofobię i pomaga znienawidzonym dotąd „pedałom”, to spóźniony o kilkanaście lat film rozliczeniowy, który miast rewidować, umacnia *status quo*. Za rażącymi przekłamaniami rzeczywistości (prawdziwy Woodroof był biseksualny), powierzchownym potraktowaniem problematyki AIDS oraz stereotypowymi reprezentacjami kobiecości i nieheteroseksualności, kryje się opowieść o patriarchacie, który pomimo własnych błędów, wyciąga pomocną dłoń w stronę wykluczonych. Wszystko zamknięte jest na kartach przeszłości, jakby twórcy filmu chcieli powiedzieć w imieniu Ameryki: „zmieniliśmy się, już dawno tacy nie jesteśmy”. To kolejna baśń, znacznie bardziej niebezpieczna niż *Grawitacja*.

Na tym tle *Zniewolony* zdaje się być wyjątkowo znuiansowany. Choć, tak jak w przypadku *Witaj w klubie*, mamy do czynienia z filmem w pewnym wymiarze rozliczeniowym, McQueen nie odcina swojej opowieści od terażniejszości. Problemy przez niego poruszane jawią się jako nader aktualne. Reżyser, miast poklepywać po plecach, prowokuje do stawiania sobie pytań o własne relacje z nietolerancją i rasizmem.

Wszystkie trzy filmy łączy „głęboko humanistyczne przesłanie” i poczekający finał, przywracający wiarę w ludzką dobroć, która zawsze zwycięża z bezwstydny systemem. Bohaterowie *Grawitacji*, *Zniewolonego* i *Witaj w klubie* z sytuacji, w które wrzucił ich los wychodzą z twarzą i dumą. Ubogaceni (przykrym) doświadczeniem, stają się lepszymi, silniejszymi ludźmi.

I tu chyba leży najprostszy klucz, którym w swoich werdyktach kieruje się Akademia jako zbiorowość: nie wypada wszak nagradzać wirtuozerskiego, ale bezwstydnie hedonistycznego *Wilka z Wall Street* Martina Scorsese albo nieco bardziej stonowanego, ale równie zabawowego i bezpretensjonalnego w swym charakterze *American Hustle* Davida O. Russella. Tym bardziej niebezpiecznie byłoby wyróżnić *Oną* Spike'a Jonze'a, który zamiast wychwalać człowieczeństwo, zwraca widzowi głowę posthumanizmem i wytrąca go z kolein jedyne go słusznego sposobu myślenia.

Z drugiej strony, sam fakt, że film Jonze'a znalazł się w gronie nominowanych do najważniejszej nagrody, sugeruje, że w przypadku Oscarów nie wszystkim jest takie oczywiste jak się wydaje.

PAWEŁ ŚWIERCZEK

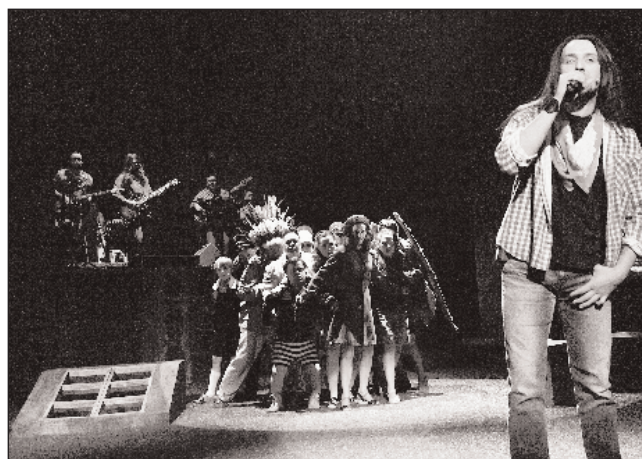
„Skazany na bluesa” – rzecz o Ryszardzie Riedlu, legendarnym wokaliście grupy Dżem – to wielki muzyczny hit Teatru Śląskiego, jakiego ta scena nie miała w swym repertuarze.

Recenzenci pozostają pod wielkim urokiem tej produkcji, choć niemal wszyscy wskazują na pewne niedociągnięcia spektaklu. Jednak publiczność wali do Teatru Śląskiego jak w dym i pewnie tak będzie przez kilka a może kilkanaście najbliższych sezonów, bo hit gra się tak długo, jak długo widzowie chcą go oglądać.

Sukces tego przedstawienia opiera się na dwóch filarach. Jednym z nich jest muzyka Dżemu, na której wyrosły już co najmniej dwa pokolenia młodych Polaków. Nic tak nie gwarantuje sukcesu, jak muzyka, która stała się już klasyką i która była wykonywana przez charyzmatycznego wokalistę, którego życie obfitowało w dramatyczne sploty i miało tragiczny wymiar. W teatrze ten filar wykorzystuje się z powodzeniem od lat – vide spektakle poświęcone Edith Piaf czy Jimowi Morrisonowi.

Drugim filarem sukcesu katowickiej sceny jest debiutujący w teatrze młody wokalista Tomasz „Kowal” Kowalski. Jego talent muzyczny został już wcześniej zweryfikowany i pewnie zdecydował o wygranej w prowadzonym przez Teatr Śląski castingu na rolę Riedla. Zwycięzca jednej z edycji programu „Must Be The Music”, wokalista grupy FBB z Trzebnicy, nie posiada warsztatu aktorskiego, ale za to ma bluesowy feeling, a przede wszystkim naturalny dar obycia ze sceną i – co ważniejsze – przekazywania widzom emocji. Szczególnie widać to w ostatnich scenach – kiedy rozmawia i śpiewa z synem, a przede wszystkim, gdy przejmująco wykonuje piosenkę – testament „List do M.”.

Tomasz Kowalski ma po prostu charyzmę, która potrafiła zakryć warsztatowe niedostatki i treść debiutanta do tego stopnia, że miało się po prostu wrażenie, iż Rysiek Riedel zmartwychwstał i zstąpił z niebios wprost na scenę Teatru Śląskiego. Towarzyszy Tomaszowi Kowalskiemu świetny zespół muzyków grających na żywo, z Adamem Snopkiem (instrumenty klawiszowe), Maciejem Lipiną (gitara), Sebastianem Kretem (gitara), Ronaldem Tuczykontem (gitara basowa) i Przemysławem Smacznym (perkusja). I kiedy grają każdy z dziesięciu przebojów Dżemu, Teatr Śląski aż drży w posadach, a publiczność daje się wciągnąć w zabawę, jak na praw-



Scena zbiorowa

## Wielki hit muzyczny

TEATR

dziwym wielkim koncercie – tańczy, wymachuje rękoma i wznosi okrzyki, jakby znalazła się na legendarnych ławkach Jarocina.

Spektakl oparty jest na scenariuszu Przemysława Angermana i Jana Kidawy-Błońskiego, na podstawie którego powstał w 2005 roku kultowy dziś film „Skazany na bluesa” z Tomaszem Kotem w roli głównej. To kanwa, na której pokazywane są najważniejsze fakty biograficzne Riedla. Jednak filmowe dialogi przeniesione na scenę nie zawsze brzmią dobrze, a materiał rzadko pozwala na zbudowanie pogłębionych ról aktorskich, mimo iż partnerami Kowalskiego są tak świetni aktorzy jak Adam Baumann, Ewa Kutynia, Dariusz Chojnacki, Alina

je pomysłem, dla którego inspirację znalazł w malarstwie śląskich prymitywistów z Grupy Janowskiej. Postaci, które zeszyły z płócien na scenę – święta Barbara, górnicy, rubensowskie piękności, karły, anioły, Niebieski Budda – nie tylko zatarły granicę między światem realnym a narkotycznymi fantazmatami rodzącymi się w jaźni Ryszarda Riedla, ale też pozwoliły wykreować z wokalisty Dżemu kolejną śląską ikonę.

Ten zamysł dobrze wpisuje się w cykl „Śląsk święty, Śląsk przeklęty”, który spektakl „Skazany na bluesa” zainaugurował w Teatrze Śląskim. Mam tylko jedną prośbę – by malarstwo Grupy Janowskiej, wcześniej już wykorzystane w Teatrze Śląskim w przedstawieniu wyreżyserowanym przez Roberta Talarczyka według powieści Kazimierza Kutza „Piąta strona świata”, nie stało się dyżurnym rezerwuarem plastycznych inspiracji towarzyszących kolejnym realizacjom poświęconym problematyce śląskiej, bo w ten sposób nie tylko można zniszczyć jego magię i siłę oddziaływania, ale także stworzyć martwą konwencję teatralną. Cóż z tego, że śląską.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA



Tomasz „Kowal” Kowalski w roli Riedla.

Przemysław Angerman, Jan Kidawy-Błoński *Skazany na bluesa*, na podstawie scenariusza filmowego „Skazany na bluesa”. Adaptacja i reżyseria Arkadiusz Jakubik, ruch sceniczny Jarosław Staniek, scenografia Joanna Macha, Kostiumy Agnieszka Werner, kierownictwo muzyczne Olaf Deriglasoff. Prapremiera 7 marca 2014 roku w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Wśród dzieł polskiej literatury okresu oświecenia *Rękopis znaleziony w Saragossie* pozostaje bez wątpienia pozycją szczególną – powieść erudyty, pisarza i podróżnika Jana Potockiego nie tylko bowiem znajduje wciąż nowych czytelników, ale i inspirowuje twórców innych dziedzin sztuki. Na scenie Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu adaptację powieści przygotował w tym sezonie artystycznym Paweł Świątek.

**O** *Rękopisie*... Potockiego mówić można w kategoriach fenomenu – choć powieść ze względu na swą zawiłą konstrukcję fabularną i oświeceniowy styl nie należy do łatwych w lekturze, to jednak grono miłośników piśmarstwa Potockiego nieustannie się poszerza. Niewątpliwie do popularności powieści przyczyniła się jej filmowa adaptacja w reżyserii Wojciecha Hassa z 1964 r., ze Zbyszkiem Cybulskim w roli kapitana Alfonsa van Wordena. O tym, iż urok fantastycznych przygód młodego oficera nie gaśnie, świadczą nie tylko kolejne adaptacje utworu, ale i wydana w ubiegłym roku hipertekstowa wersja powieści dostępna w internecie.

Choć dzieło Potockiego wyrosło na gruncie filozofii klasycyzmu, w dużym stopniu przekracza swą epokę. Oświeceniowy racjonalizm łączy się tu bowiem z romantycznym mistycyzmem, orientalizmem i fantastyką. Główny bohater powieści – młody kapitan gwardii walońskiej – z rozkazu króla podróżuje do Madrytu przez niebezpieczne i tajemnicze góry Sierra Morena. Na swej drodze napotyka szereg dziwnych postaci – muzułmańskie księżniczki Eminę i Zibeldę, kabalistkę Rebecę, starego Pustelnika i mieszkającego z nim opętanego Paszeka, czy wrzescie naczelnika Cyganów Don Avadoro. Swe przygody skrupulatnie opisuje Alfonso w tytułowym rękopisie, oddając przy tym głos także innym bohaterom i ich historiom. Staje się to możliwe dzięki zastosowanej przez autora kompozycji szkatułkowej, opierającej się na wielostopniowej konstrukcji fabularnej, w której jedna opowieść zawiera w sobie kolejną – w ten sposób liczba narratorów powieści nieustannie wzrasta. Wielowątkowość i polifoniczny charakter dzieła Potockiego stanowią nie lada wyzwanie dla czytelników i inscenizatorów, ale równocześnie decydują o jego atrakcyjności.

Poza wartościami poznawczymi – wraz z bohaterem *Rękopisu*... wędrujemy przez kraje Morza Śródziemnego, poznając ich kultury, tradycje i religie – powieść Potockiego staje się także źródłem treści



Zdjęcia: Bartosz Maz

## Na styku kultur i religii

TEATR

o charakterze filozoficznym i epistemologicznym. Te właśnie zainteresowały reżysera opolskiej adaptacji Pawła Świątka oraz współpracującego z nim dramaturga Mateusza Pakuła.

Z szeregu wątków, w jakie obfituje ponad 700-stronicowe dzieło, autorzy spektaklu wybrali te, które koncentrują się wokół spotkania z Obcym, czytając *Rękopis*... jako współczesną „opowieść o fascynacji innością i jednoczesnym leku przed nią, (...) opowieść o ksenofobii, fascynacji złudzeniami i uwodzeniu religijnym” (*fragment programu*). Wyraźne i interesujące sformułowane przesłanie spektaklu nie przekłada się jednak na skonstruowaną przez reżysera rzeczywistość sceniczną. Zamiast napięcia, niepokoju i tajemnicy, jakie stać się mogą źródłem spotkania odmiennych kultur i religii, twórcy przedstawienia proponują jedynie opowieść o bezrefleksyjnie poddającym się urokowi „nowości” bohaterze. Z jego kolejnych spotkań z orientalną kulturą i nowymi religiami nie wynika nic poza seksualną fascynacją mauretańskimi księżniczkami (Izabela Gwizdak i Karolina Piechota), czy wyznającą kabałę Rebecą (Grażyna Rogowska). O domniemanych nastrojach ksenofobicznych czytamy jedynie między wierszami. Ta

niez scenografia Marcina Chlandy – funkcjonalna i symboliczna zarazem. Jej głównym elementem jest wielkie, industrialne drzewo (szubienica braci Zolta) – wokół niego, na ruchomej platformie toczy się akcja przedstawienia. Istotne znaczenie zyskuje również światło, którego kolory zmieniają się wraz z kolejnymi scenami.

Wizualne walory spektaklu Pawła Świątka nie rekompensują jednak braku wyraźnej linii interpretacyjnej bądź chociażby próby wskazania kilku możliwych jej kierunków. W porównaniu do poprzednich projektów stanowiących efekt współpracy duetu Świątek-Pakuła (w tym również tych, które zrealizowane zostały na opolskiej scenie, jak *Dżuma*, czy jednoaktówki Becketta) inscenizacja *Rękopisu znalezionego w Saragossie* może rozczarować. Przede wszystkim dlatego, że powieść Potockiego pozbawiona została w niej swych największych atutów – dynamicznej i wartkiej akcji oraz zindywidualizowanych bohaterów, których subiektywne opowieści w dużej mierze decydują o atrakcyjności tego dzieła. Choć zamysł odczytania *Rękopisu*... jako współczesnej opowieści o spotkaniu z Innym i jego światem, wydawał się świeży i godny uwagi, to jednak nie udało mu się w pełni wybrzmieć na scenie.

MAGDALENA FIGZAŁ

Jan Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Przekład: Edmund Chojecki. Scenariusz i dramaturgia: Mateusz Pakuła. Reżyseria: Paweł Świątek. Scenografia: Marcin Chlanda. Kostiumy: Julia Kornacka/Arka Ślesiński. Opracowanie muzyczne i przygotowanie wokalne: Kamila Piękos.

Premiera: Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, 8 lutego 2014 r.



**Tak** zarekomendował utwory wykonywane na koncercie Instytucji „Silesia”, który odbył się w czwartek 13 lutego w Muzeum Archidiecezjalnym gospodarz wieczoru profesor Leon Markiewicz. Chodziło o utwory o wybitnej piękności i wielkim znaczeniu w historii muzyki: *Sonatę „Arpeggione”* D. 821 Franza Schuberta i *Sonatę d-moll* op. 40 Dymitra Szostakowicza. Zagrali je wybitni artyści: wiolonczelista Bartosz Koziak i pianistka Justyna Danczowska. Program uzupełniło popularne *Adagio i Allegro* op. 70 Roberta Schumanna, które, jak wiele utworów kameralnych okresu romantyzmu, zostało przez kompozytora opracowane równocześnie na kilka składów (jako instrument solowy do pomyślenia jest w nich także róg). Istotnie miłą w słuchaniu sonatę Schuberta uczyniła jeszcze miłszą maestria wykonawców, którzy podeszli do tej muzyki akcentując jej melodyjność, liryzm i równoczesny temperament odzywający się we fragmentach quasi-tanecznych. Wiolonczela Bartosza Koziaka brzmiała tu z cudowną lekkością, artysta zadziwiał gętkością artykulacji i rytmem, która nieoczekiwanie przybliżyła „Schwung” Schuberta do chopinowskiego rubata. Pianistka idealnie zgrała się z solistą zarówno pod względem rytmu, jak i barwy. Z dość opornego na rozkazy pianistów fortepianu, jakim dysponuje Muzeum, potrafiła wydobyć wyrównane, delikatne barwy i przepiękne pianissima.

Równie mistrzowski – odpowiednio bardziej „wzburzony” – był Schumann, zaś „zagadkowy” Szostakowicz zabrzmiął klasycznie, nowoczesnie, odkrywając jednak swoje związki z tradycją muzyki rosyjskiej – nie tylko Prokofiewem, obecnym w momentach „mechanicznych”, ale i Rachmaninowem – mrocznym, kapryśnym, historycznym. *Sonata d-moll* Szostakowicza wymaga od wykonawców idealnego zgrania się pod względem rytmu i dynamiki, co oczywiście nie stanowiło problemu dla obojga artystów. Wymaga wszakże też nierównie trudniejszej umiejętności wspólnego „gadania”; i w tym zakresie Koziak i Danczowska nie zawiedli słuchaczy, potrafiąc przy całej dyscyplinie, potrzebnej do zagrania tego trudnego dzieła, wnieść do niego trochę luzu, owej rosyjskiej przekory stanowiącej o prowokującym, właśnie zagadkowym statusie tego utworu. Zachwyceni słuchacze (wśród których widzieliśmy samą Kaję Danczowską) nie doczekali się bisu. Ale mogli kupić płytę, na której został utrwalony program koncertu – katowicki występ był bowiem elementem „trasy koncertowej” promującej tę płytę.

### Mesjasz w wielkim skrócie

**Trzy** dni później (16 lutego) w tym samym miejscu zabrzmiała kilkanaście recytatywów i arii z *Mesjasza* Haendla. Było to drugie (po prezentowanym w styczniu *Stworzeniu świata*



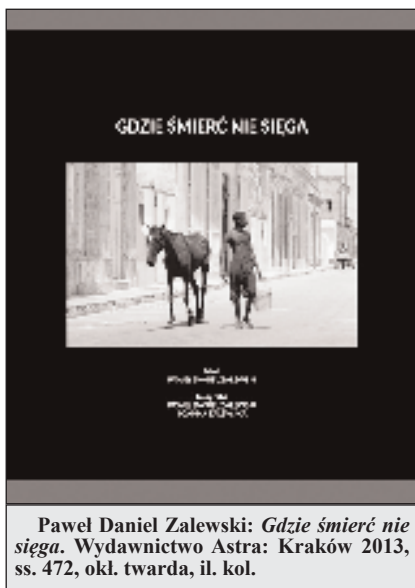
Haydna) przedsięwzięcie mające na celu włączenie do oferty programowej „Silesii” muzyki oratoryjnej. Już rozważyliśmy na tych łamach sensowność pokazywania oratoriów w kształcie okrojonym do części, która w poprzednich studiach uchodziła za mniej ważną, tj. do ustępów solowych. W przypadku *Mesjasza*, w którym nie występują konkretne postacie, jak w operze i klasycznym oratorium, a jedynie „anonimowe” głosy omawiają sytuację, sprawa sceniczności nie wydaje się aż tak ważna. Mieliśmy po prostu koncert pięknych arii barokowych, odmiennych „charakterach”, formie i nasyceniu środkami wykonawczymi. Słuchacze szczególnie gorąco oklaskiwali arie brawurowe, z którymi imponująco poradziła sobie sopranistka Ewa Majcherczyk, dysponująca odpowiednio nośnym, elastycznym i pewnym intonacyjnie aparatem głosowym. Jej koloratury, wykonywane pięknym legatem, były wręcz wzorcowe. Artystka udowodniła także, że rozumie się na założeń realizacji barokowych ozdobińców. Większe kłopoty z przebrnięciem przez wyzwania techniczne Haendlowskich partytur, takich jak koloratury, ale także „wędrowki” poprzez rejestry głosowe i realizacja efektów retorycznych mieli pozostali wykonawcy (Roksana Wardenga – mezzosopran, Sylwester Targosz-Szalonek – tenor, Jarosław Kitala – bas), i tutaj wszakże imponowała gotowość artystów do przejęcia się wymową wypowiedzianych słów i szacunek dla wspaniałości muzyki. Tym razem Wojciech Stysz – kierownik artystyczny wykonania – zaproponował akompaniament na klawesynie, który specjalnie sprowadzono do Muzeum. Dla „historycznej autentyczności” wykonania nie miało to żadnego znaczenia, niemniej przysłużyło się niezmiernie budowie „archaicznego” klimatu muzyki.

### Piosenki Lutosławskiego na płycie

**Pod** koniec ubiegłego roku ukazała się płyta *Lutosławski dzieciom*, wydana przez Polskie Radio, a za-

wierająca rejestrację niezwykle przedsięwzięcia Instytucji „Silesia” jakim był adresowany do dzieci koncert złożony z piosenek dziecięcych Witolda Lutosławskiego. Nie tylko „Silesia” przypomniała sobie (w związku z obchodzoną w 2013 roku Rokiem Lutosławskiego i Rokiem Tuwima) o istnieniu tych utworów – niemal równocześnie pojawiła się wersja nagrana przez wokalistkę jazzową Dorotę Miśkiewicz z zespołem Kwadrofonik. Obie rejestracje różnią się stylem interpretacji, ale i doбором utworów. Na płycie Polskiego Radia znalazły się nie tylko piosenki „Lutosa” faktycznie powstałe dla odbiorcy dziecięcego (w tym najbardziej znane piosenki do słów Juliana Tuwima), ale i utwory nie związane z tym „adresem”, mianowicie cykl *5 melodii ludowych* z 1952 roku, znany też w wersji skrzypcowej jako *4 melodie śląskie*. Ponadto wybrano kilka innych pieśni, do tekstów Agnieszki Barto, Janiny Osińskiej i Lucyny Krzemienieckiej. Pominięto w całości cykl pieśni do słów Kazimierzy Iłłakowiczówny, co można odczytać jako informację o dydaktycznym przeznaczeniu publikacji. Pieśni do tekstów Iłłakowiczówny to bowiem dzieło śmiało dysponujące nowatorskimi środkami wypracowanymi przez Lutosławskiego w początkach flirtu z awangardą, podczas gdy utwory zgromadzone na płycie to płody jego oficjalnej twórczości lat 50. XX wieku, pozostającej w zgodzie z dyrektywami socrealizmu, a więc nastawionej na zrozumiałość i unikanie eksperymentów. W latach 50. Lutosławski pisywał, częściowo dla zarobku, jak nie wahał się przyznawać w swoich latach późnych, rozmaite „przystępne” utwory: pieśni masowe (doczekały się one świetnej monografii pióra Małgorzaty Sułek), stylizacje ludowe i właśnie pieśni dla dzieci. W tych ostatnich czerpał pełną garścią z polskiej muzyki ludowej: są tam skoczne rytmy oberkowe, poważniejsze polonezowe, a ponadto cały repertuar neoklasycystycznych „smaczków” w postaci elementów motoryki, „kapryśnych” rytmów, akcentów itp. Niektóre pieśni były pisane dla wykonawcy dziecięcego i faktycznie trafiły do szkolnych śpiewników (np. *Kotek, Wróblek, Pióreczko*), inne jak *Ptasie plotki*, posiadające charakter popisowy, komponował Lutosławski z myślą o dorosłych wykonawcach. Figurowały w szkolnych płytotekach w epoce, kiedy w polskich szkołach uczono jeszcze muzyki.

Wykonawcami omawianej płyty są: mezzosopranistka Anna Borucka, pianista Grzegorz Biegas oraz Orkiestra Akademii Beethovenowskiej pod dyrekcją Mai Metelskiej. Każda pieśń poprzedzona jest recytacją tekstu – w tej roli występuje aktor Teatru Śląskiego Andrzej Warcaba. W książeczce płyty umieszczono kilka reprodukcji ślicznych dziecięcych obrazków powstałych jako ilustracje wierszy.



Paweł Daniel Zalewski: *Gdzie śmierć nie sięga*. Wydawnictwo Astra: Kraków 2013, ss. 472, okł. twarda, il. kol.

## Podróżowałem, czekając na przerzut

Temat podróży ma bogatą tradycję w literaturze. Wystarczy przypomnieć chociażby klasyczną powieść L. Sterne'a, przywoływaną tutaj nie bez przyczyny. Główny bohater *Podróży sentymentalnej* rejestruje otaczający go świat nie tyle faktograficznie, co emocjonalnie. Podobnie czyni Paweł Daniel Zalewski. Jego wędrowka z obiektywem przez kontynenty, miasta, wioski i obrzeża cywilizacji to nie tylko utrwalanie faktów, budowanie kolażu wiedzy o Ziemi, mozaiki odległych kultur takich, jak hinduska, mongolska czy arabska, ale nade wszystko uwiecznianie wzruszeń, napotkanych twarzy i uściśniętych dloni.

Równie często podróż pojawia się jako motyw albumów fotograficznych, jednak tom *Gdzie śmierć nie sięga* to nie zwykły fotoreportaż z licznych wycieczek autora, ale zapis synestetycznego odbioru świata oraz swoistego *dance macabre* pisarza-fotografa, który od kilku lat ucieka przed kresem egzystencji. Ów koniec mający na horyzoncie jako konieczność przypisana ludzkiej kondycji, a zarazem jako spersonifikowane fatum, przybierające twarz chłodnej Atropos ze skal-

pelem, którym próbuje przedwcześnie przeciąć nić życia.

Już w pierwszym zdaniu Zalewski ujawnia to, co w innych okolicznościach interpersonalnych byłoby sekretem: „Podróżowałem, czekając na przerzut”. Fraza ta stanowi doskonałą myśl przewodnią prezentowanego albumu, obezwładniającą emocjonalnie odbiorcę na początku lekturowej przygody. Oto bowiem naszym oczom ukazuje się zapis z progu istnienia, notatka nakreślona piórem i obiektywem pośpiesznie w poczekalni, w której jednym przemyca się dobre, innym złe wiadomości. Gdzie w oczekiwaniu na „przerzut zdrowia”, próbuje się złapać świat z jego *tu i teraz*, z feerią barw, płataniną kształtów, dźwięków i smaków. W tej ucieczce przed końcem daty tracą ważność, nie liczy się suma pokonanych kilometrów, marszruty i woli nie obciąża żadna misja, najistotniejsze staje się teraz smakowanie, przeżywanie chwil i spotkań. Dzięki temu książka *Gdzie śmierć nie sięga* to szczególna dokumentacja pasji życia. Mozaika osobistych podróży w głąb i przed siebie. Utrwalenie wyścigu z czasem, motywowanego przekonaniem, że zdąży się jeszcze ujrzeć i pokazać własne spojrzenie, zanim zamknie się niepowtarzalna księga twarzy.

Ten swoisty pamiętnik, a zarazem w pewnym sensie testament, to trzecia odsłona twórczości Zalewskiego, z którą miałam możliwość zapoznać się. Powieściowy debiut – *Ściana* (Wydawnictwo Poligraf, 2010) – zaskakuje językową dojrzałością początkującego pisarza, umiejętnością swobodnego snucia wielowątkowej narracji, interdyscyplinarną wiedzą oraz polisensorycznym obrazowaniem. Akcja osadzona zasadniczo w ograniczonej przestrzeni bloku rozbita zostaje na kilka wzajemnie się przeplatających strumieni czasu. W ten sposób autor unika linearnej budowy fabuły, w pułapkę której często wpadają debiutanci, co kończy się nadmierną symplifikacją świata przedstawionego oraz zubożeniem walorów artystycznych utworu. Drugi tytuł – *Bez pamięci* – nie został jeszcze opublikowany, jednak po lekturze jego maszynopisu mogę powiedzieć, że pisarz z jednej strony wykorzystał swój wrodzony talent do wyławiania surrealizmu ukrytego w fałdach życia, z drugiej dał dowód niemałego doświadczenia podróżniczego oraz zdolności transponowania go w literacką tkankę.

Album *Gdzie śmierć nie sięga* to kolejny krok w odkrywaniu możliwości twórczych, jakie kryją w sobie liczne wyprawy autora (Indie, Mongolia, Kuba, Tajlandia, Peru, Sri Lanka i in.). To odbicie osobowościowego kolażu, który buduje sylwetkę prezentowanego artysty: krakowianin, a równocześnie urodzony podróżnik, wychowany wśród olejnych farb i zagruntowanych płócien, fotograf biedy, synestetyk, smakosz tajskiej kuchni, filolog z wykształcenia i astralnego namaszczenia, uzależniony od rockowej muzyki, zo-

diakalna ryba, dusza niepokorna i niezwykle emocjonalna, kolekcjoner ekstremalnych przeżyć i spotkań z odmiennymi kulturami. Słowem, człowiek, który pomimo ciężącego nad nim fatum, wymuszającego ciągłą gotowość na nowy przerzut w drodze, ma ogromne szczęście do życia i ludzi. Ten pierwszy rodzaj powodzenia pozwala mu wykradać Atropos kolejne centymetry. Dowodem tego drugiego są wyjątkowe kadry z albumu, także te podpisane przestroją: „Nie! Kradniesz mi duszę! Nie fotografuj mnie! Chyba, że mi zapłacisz”.

Dlaczego książka Zalewskiego omawiana jest i polecana na łamach „Śląska”? Dwa są znaczące powody. Pierwszy zawiera się w tytule: *Gdzie śmierć nie sięga*. Górny Śląsk żył się, zrósł z odejściem bliskich, jak człowiek przyzwyczajony do największych nawet niewygód, dlatego rozumie i powolnie zanikanie, i gwałtowny finał. Wyjące syreny, kołyszące się szafka i szklanki, stypy i dymiące hałdy oswoiły nas z myślą, że co dzień duchy podziemi muszą zebrać swe żniwo. Śmierć towarzyszy nam niczym jedna z żywych, podobnie jak Joachimowi Rybce, stąd jej naturalna obecność także w prozie i poezji. Z tego źródła zrodziło się zapewne przeczucie podmiotu lirycznego z wiersza *Popiół* T. Kijonki: „(...) Przepaliła się jesień, w krąg liście skruszałe | (...) Czy nie czujesz co we śnie dzieje się z twym ciałem? || Nie miej złudzeń, zbyt wiele dokoła tych znaków. | Może to już ostatnia twa jesień biedaku, | I w pół przerwany sonet z trwogi onie-miały”.

Druga przyczyna, dla której omawiany jest album Zalewskiego to fakt, że Górny Śląsk ma o wiele więcej wspólnego z podróżą, aniżeli wydawać by się mogło na pierwszy rzut oka, zwłaszcza mniej zorientowanego, w którą stronę patrzeć. Tutaj ludzie od wieków peregrynują w głąb ziemi. Każdy zjazd do kopalni to wędrowka w czasie po skamieniałe kwiaty paproci, a zarazem freudowskie zstępowanie w głąb siebie. Nie sposób nie przypomnieć także dwóch zbiorów G. Morcinka – *Listy spod morwy* oraz *Listy z mojego Rzymu* – których treść układa się w powojenną tułaczkę autora po Europie oraz drogę jego dojrzenia do powrotu do Polski. Region ten naznaczony jest również przymusową wojenną poniewierką, której literackie przetworzenie zawiera powieść A. Lycki *Duchy wojny. Dziennik żołnierski 1942-1944*. A to przecież jedynie nieliczne przykłady. Temat podróży w czasie i przestrzeni po Śląsku to wątek godny szerszego opracowania, wykraczającego poza ramy recenzji. W tym miejscu pragnę zaproponować czytelnikom przede wszystkim towarzyszenie ekskursjom Pawła Daniela Zalewskiego, który przemierza świat wszerz i wzdłuż, próbując wygrać wyścig ze śmiercią i odnaleźć niezdołbyty jeszcze przez nią przy-czołek.

KATARZYNA BERETA

**C**hcąc oddać słuszną książkę, o której poniżej, czuję się zobowiązany do „zejścia na ziemię”. Jeśli pisarza, krytyka czy recenzenta można określić jako kogoś, kto obserwuje świat niczym wartownik galerii skazanców z wieży strażniczej, to z tym tylko zasadniczym zastrzeżeniem, że spośród lustrowanych przez siebie areztantów nie traci z oczu samego siebie. Tak postępować – jako krytyk literacki – zdaje się Józef Górdziałek, o którego książkę pt. „Kantory graniczne” niniejszym mi chodzi. Takimi też widzi twórców śląskich, których utwory poddaje sumiennej krytyce.

Co jednak znaczy „zejść na ziemię”? W przypadku człowieka jest to wymóg niejednoznaczny. Jest bowiem człowiek istotą kresową. Ziemia, po której stąpa jest naznaczona polityką, oplątana społecznymi zależnościami, wrze od jego namiętności czy kamienieje od gasnących oczekiwań, zmienia postaci wedle poetyckich czy wręcz magicznych interpretacji. Słowem: ziemią jest nie tak to, na czym człowiek krok stawia, jak to, co zostało przez niego stworzone.

Człowiek, którego próbuje zrozumieć Józef Górdziałek – i w tym jego postawa przypomina mi krytyków międzywojnia, słownych szermierzy ukazujących wielowymiarowość ludzkiego świata – jest szczególnie usytuowany. Tak w czasie, jak i w przestrzeni. Autor rozpatruje kontekst czterech znamienych dla historii dwudziestowiecznej Polski – zwłaszcza jej zachodnich rubieży – wydarzeń. Mianowicie: powstania śląskie, druga wojna światowa, okres peerelowski oraz czas transformacji przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Wszystko to ukazane zostało w planie symbolicznym. Obszarami granicznymi są tu np. mit i rzeczywistość, konwencja gatunkowa i świat przedstawiany, imperatywy artystyczne i świat realny czy obyczajowe konwenanse i dążenia jednostki, albo po prostu przełom epok.

Józef Górdziałek poszukuje w swych lekturach człowieka poddanego próbom, domagając się od literatury, aby była kuźnią ludzkiego charakteru. Wymóg konfrontacji jest tym bardziej uzasadniony, że bohaterowie interesujących autora utworów żyją na styku – kultur albo epok. Czytając ostatnią powieść Gustawa Morcinka „Górnicy zakon”, krytyk wytyka autorowi „pewną nieporadność literacką”, a to dlatego, że unika on poddania swych bohaterów zasadniczej próbie, sprowadzając ich „na margines teatru działań podstawowych”. Ów mankament niezupełnie rekompensuje przecież to, iż powieść Morcinka piastuje „ideę etyczną górników”, której nie sprzeniewierza się jej główny bohater Kurc. Dokonywana przez literaturę – konsolidująca wspólnotę – mitologizacja powinna uwzględniać pulsujące wciąż żądania rzeczywistości.

Parokrotnie podniesiony jest w „Kantorach granicznych” zarzut uchylania się autora od starcia ze światem realnym. Tak jest w przypadku Leona Bielasa. Jakkolwiek docenia Górdziałek groteskowo-satyryczną formę, poprzez którą Bielas

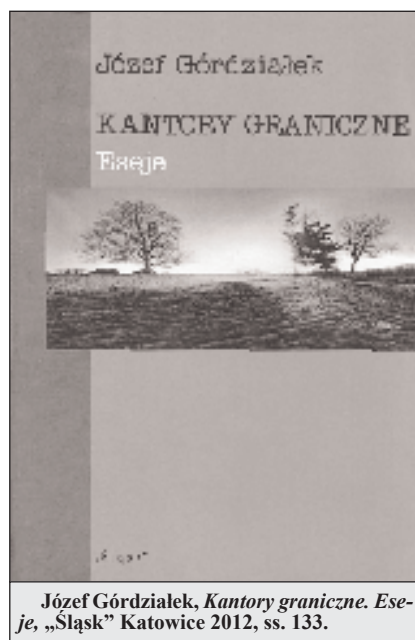
ukazuje zderzenie „odwiecznej” obyczajowości mieszkańców Konewki („Sławna jak Sarajewo”) z hitlerowskim najeźdźcą, to jednak dostrzega w tym sposobie przedstawiania rzeczywistości „opory autora wobec materii świata” i nazywa „kamufażem diagnozy” dokonywaną przez niego ocenę dramatycznych wydarzeń.

Podobne zastrzeżenia Józef Górdziałek wysuwa w stosunku do pisarstwa Jana Pawła Krasnodębskiego czy Włodzimierza Paźniewskiego. Parę zdań o tym drugim.

Włodzimierz Paźniewski, w swych esejach, opieczętowane codzienną polską rzeczywistością patetycznymi apoftegmatami, a te szeleszczą papierem. Krytyk zarzuca eseiście pozycję ironisty, który unika „osobistej odpowiedzialności”: „Krytyka, ironia, szyderstwo, groteska jako podstawowy instrument poznania, władztwa eseju nie wystarcza, nie trafia do współczesnego odbiorcy”. Chyba – dodajmy – że obracamy się w kręgu adorujących wzajemnie swe malkontentne komunały dla – chwilowego przynajmniej – dufnego zapomnienia o wadze własnego istnienia. Jeśli autor pisze o „trafianiu do odbiorcy”, to zarzut względem Paźniewskiego będzie słuszny tylko wówczas, jeśli owo trafianie rozumieć będziemy jako „trafianie w gusta”, lecz trafianie w sedno ludzkiej sprawy. Ze stron „Kantorów granicznych” przemawia troska o człowieka. Najważniejszy jest on i jego zmaganie się z materią rzeczywistości. Krytyk jakby wyraża czytelnicze oczekiwanie: „Pokaż mnie nie takim, jakim jestem, ale takim, jakim mógłbym być”. A możliwości zdają się być korekturą tradycji dokonaną przez odwagę...

... albo przez literaturę. Tak jest w przypadku bohaterki powieści „Naprzeciw Astrei” Niny Kracherowej, która mijając zamek na Ostrogu, „nigdy nawet ani razu nie pomyślała, że to zamek śląskich książąt Piastów z rodu królów polskich”. Dopiero lekturowe doświadczenia zmieniły jej optykę: „Nie był to już zamek niemieckiego księcia, lecz skarbnica wspomnień o przeszłości Ostroga i Raciborza”. To właśnie znaczy poszerzanie horyzontów. Człowiek potrzebuje znać nie tylko swe miejsce w szeregu, ale i miejsce tego szeregu w – jeśli nie kosmicznej, to na pewno historycznej – defiladzie.

Najbardziej inspirująca mnie myśl tej książki została wyrażona przy okazji prezentacji sylwetki oraz twórczości Bolesława Lubosza. Nic nie zapowiadało, aby ten aktywny społecznie dziennikarz okazał się literacką rewelacją. Stało się tak za sprawą jego poematu „Cztery pory odkupienia”. Potwierdzenie znajduje tu powiedzenie, że ktoś „przerósł samego siebie”. „Pokusiłmy się zaryzykować tezę, iż prawdziwa indywidualność pisarska ujawnia się w pełni dopiero wtedy, kiedy zaprzeczając dotychczasowej zwykłości przekroczy zaklęty próg przeciętności, dotychczasowej minimalnej możliwości. W każdej osobowości twórczej tkwi szansa na lepsze rezultaty kreacyjne niż zazwyczaj. Czasem do osiągnięcia podwyższonego standardu wystarczy zmia-

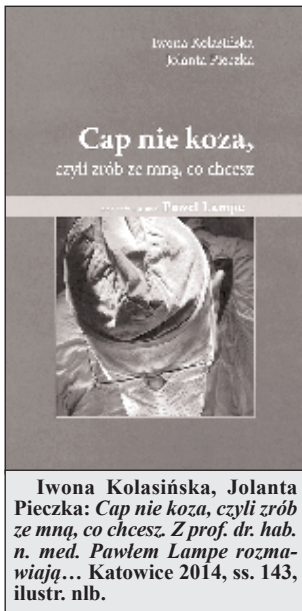


## Oddając sprawiedliwość widzialnemu światu

na motywacji, większy stopień pasji, odwagi, wytrwałości, wiary w siebie, dojrzałości po prostu”. Zdania to tak krzepiące, że pozwoliłem sobie na przywołanie dłuższego fragmentu. Myślę, że można ów passus ekstrapolować na człowieka w ogóle – na każdego mieszkańca Ziemi. To próbuje wywalczyć jako postulat dla literatury Józef Górdziałek – ukazanie dramatu ludzkiego uwikłania, heroizmu przekraczania ograniczeń czy niemocy dokonania wyboru.

Chociaż są w tej książce fragmenty oschle abstrakcyjne, czyniące lekturę mozolną, to jednak bezcennym wynagrodzeniem są te zdania, w których wyraża się krytyczny nerw autora. Jego czytanie jest konfrontacją człowieka poszukującego sprężyny ludzkich działań; przypomnianiem „starego” pisarskiego imperatywu „oddawania sprawiedliwości widzialnemu światu”. A świat to znacznie przekraczający granice „tu” i „teraz”.

DARIUSZ KOZŁOWSKI



Iwona Kolasińska, Jolanta Pieczka: *Cap nie koza, czyli zrób ze mną, co chcesz. Z prof. dr. hab. n. med. Pawłem Lampe rozmawiają...* Katowice 2014, ss. 143, ilustr. nlb.

## Co ma koza do trzustki, czyli o pasjach prof. Pawła Lampego

**C**ap to też koza, choć rodzaju męskiego! Tyle zoologia! Literatura i kultura wyróżniają kilka znaczących kóz, by przywołać tylko Dżali z *Dzwonnika z Notre Dame* Wiktora Hugo. Koza Amalteia podobno na Krecie wykarmiła Zeusa, a nasza literatura szczyści się kozą, (choć capem) zupełnie nadzwyczajną, Koziołkiem Matolkiem z książki K. Makuszyńskiego i M. Walentynowicza. Matolek był mędrcem, bo otwierał drzwi do krainy uśmiechu. Wywiad-rzeka z prof. Pawłem Lampem nawiązuje do tej znakomitej koziej tradycji, mimo że w tytule znajduje się twierdzenie *Cap nie koza, czyli zrób ze mną, co chcesz* początek swój biorąc z zabawnej anegdoty, ubarwiającej rozmowę. Ale tylko tytuł jest komiczny, reszta jest serio, a chwilami, gdy mowa o stanie polskiej służby zdrowia, wręcz przygnębiająca.

Rozmowa prowadzona przez katowickie dziennikarki Iwonę Kolasińską i Jolantę Pieczkę wiedzie czytelnika przez meandry polskiej rzeczywistości medycznej trudnej, powikłanej dla służ-

by zdrowia, bolesnej dla pacjentów, ale wyprowadza też poza codzienność, w góry, pozwalając dostrzec inny wymiar istnienia.

Paweł Lampe nie skrywa goryczy, gdy mówi o sytuacji w klinikach i szpitalach. Pokazując z jednej strony wybitnych lekarzy, ogromny postęp w możliwościach współczesnej chirurgii przewodu pokarmowego, zdumiewające operacje, z drugiej z goryczą wyznaje, że narzędzia do tych zabiegów pochodzą z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Zmieniają się pokolenia chirurgów, widzimy postaci nestorów (prof. prof. J. Gasińskiego, S. Szyszkę, Z. Górkę, docenta Paliwodę), kiedyś pionierów chirurgii trzustki, ich następców, potem dojrzewanie kolejnych generacji – a zaplecze szpitalne wciąż pamięta „wczesnego Gierka”. Ta gorycz mocno wybrzmiewa w książce i ma swoich konkretnych adresatów. Pisząc o swych poprzednikach w chirurgii przewodu pokarmowego, Lampe chyli głowę z szacunkiem, ładnie rysuje relację mistrz-uczeń, ale też wskazuje na powszechną niewiedzę na temat wkładu śląskiej medycyny w ogromny, światowy, postęp w tej dziedzinie. A zarazem apeluje o uhonorowanie ich w przestrzeni miasta i regionu, bo mogą być powodem do dumy dla Katowic.

Obok medycyny drugim ważnym nurtem są góry, życiowa pasja profesora. Są góry bliskie, rodzinne-Beskiły i wysokie: Tatry, Alpy, Andy i Himalaje. W tym wymiarze też Lampe zaistniał, nawet wchodząc do Księgi Rekordów Guinnessa, gdy na Aconcagui uratował kolegę, któremu perforował wrzód dwunastnicy. Topiąc lód i osolony płyn podając kroplówką, a sondą odprowadzając kwaśną treść z żołądka – ocalił człowieka. Uroczysko na Magurze, najbardziej własne miejsce na ziemi, przelamuje nastroj wypowiedzi, pokazuje inny wymiar życia; na dramatyczną walkę chirurga o ludzkie istnienie nakłada „niekończącą się opowieść o miejscu urodzenia”, pięknie gór i urodzie świata.

Dyskretne, acz dynamiczne pytania dziennikarek spleatają się w spójną opowieść z wypowiedziami prof. Lampego, a całości dopełniają znakomite fotografie, układające się w drugi nurt narracji. Na koniec jeszcze jedna refleksja, ukazała się prawie jednocześnie, wydana przez Znak rozmowa Jerzego Illga z Andrzejem Szczeklikiem, pt. *Sluch absolutny*. Warto te dwie książki porównać: dwaj wybitni lekarze, podobna polska współczesność i miłość do gór, a dwie różne postawy wobec życia, odmienne osobowości i filozofia.

KRYSTYNA  
HESKA-KWAŚNIEWICZ



## Świat już nas nie potrzebuje

**K**iedy William Wharton wydał swoich *Spóźnionych kochanków*, wywołał tym skandal. Czytelnicy oburzali się, że ośmielił się pisać o potrzebach seksualnych ludzi po siedemdziesiątce. Społeczeństwo zakłada, że na emeryturze człowiek jest już tylko dziadkiem, myśli o swoich dolegliwościach, chodzi na spacer, a przede wszystkim odwiedza przychodnię.

*Spóźniona kochanka* Jane Juski jest kolejnym potwierdzeniem wyjątku. W wieku mocno dojrzałym nadal można pragnąć drugiego człowieka w sposób fizyczny, a pociąg nie umiera w określonym wieku, bo tak chce otoczenie.

*Spóźniona kochanka* opowiada historię samotnej, bo przed wielu laty rozwiedzionej, emerytowanej nauczycielki, która daje w prasie ogłoszenie, obwieszczające światu o tym, że szuka mężczyzny, z którym chciałaby przeżyć chwilę uniesień, zanim skończy 67 lat.

Kolejne randki, na które umawia się kobieta stają się przyczynkiem do swoistego rachunku sumienia i analizy całościowego swojego życia. Bohaterka stara się znaleźć przyczynę swojej sytuacji. Dlaczego na koniec życia została sama. Oczywiście ma

rodzinę, przyjaciół, dorosłego już syna. Ale gdzieś w trakcie życia zatraciła samą siebie, żyła dla innych, a dla siebie nie znajdowała już czasu.

Kolejni mężczyźni, z którymi się spotyka, odkrywają w niej pokłady energii seksualnej, której się po sobie nie spodziewała. A jednak... są za starzy, by budować z nią trwały związek. I najczęściej kończy się na kilku upojnych dniach w pokojach hotelowych, kilku stosunkach, spacerach, rozmowach. Spóźnieni kochankowie rozstają się z niesmakiem. Ich ciała odmawiają posłuszeństwa. Zresztą w tak zwanej drugiej połowie życia, ta pierwsza część ciąży już tak bardzo licznymi zobowiązaniami, że nie sposób jej oddzielić, by zacząć wszystko od nowa. Kolejne próby sięgnięcia po spełnienie kończą się porażką i coraz głębszymi ranami w sercu bohaterki. Na szczęście ta nie traci poczucia humoru i umie podejść do wszystkiego z dystansem. Tak tłumaczy swoje nie do końca udane próby zbliżenia z drugim człowiekiem: „Gotowa byłam założyć się o wszystko, że Jonah chciał sprawdzić, czy jeszcze może. Poza tym, tak jak ja, nie miał co zrobić ze swoją namiętnością. Świat już nas nie potrzebuje. Jesteśmy starzy. Namiętność w naszym wieku?”

*Spóźniona kochanka* z pozoru wydawać się może emerytalną odpowiedzią na popularne ostatnio powieści erotyczne dla gospodyń domowych. Ale zawiadzie się ten, kto będzie szukał w niej pikantnych scen erotycznych. Owszem, są, ale napisane ze smakiem. Jane Juska poszła nieco dalej i napisała mądrą powieść o życiu, o tym, co w nim ważne, o czym wszyscy doskonale wiemy, że to miłość, ale na co dzień o to nie dbamy. Przebudzenie i odkrycie na nowo tej starej prawdy przychodzi czasem za późno. Dlatego kochanka jest spóźniona. Gdyby szanowała miłość i swoje pragnienia jeszcze w młodości, jej życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Jest to także powieść o samotności w świecie, w którym mamy wszystko na wyciągnięcie ręki, jesteśmy dobrze odżywieni, a podstawowe potrzeby są spełniane niejako taśmowo. Ale czy to wystarczy? Okazuje się, że najważniejsze w życiu to mieć się do kogo przytulić nad ranem...

KATARZYNA KRZAN



**K**siążki historyczne prasa (poza specjalistycznymi tytułami naukowymi) odnotowują dość rzadko i to w określonych przypadkach. Po pierwsze wtedy, kiedy wydarzenia z przeszłości nagle zaczynają się kojarzyć z dniem dzisiejszym i to właśnie ten kontekst współczesny zmusza do powrotu do faktów opisanych przez historyków, choćby (a może przede wszystkim) po to, żeby prześledzić jak się jakaś sytuacja rozwinęła, jakie były jej konsekwencje, jakie błędy wówczas popełniono. Wiadomo – historia jest nauczycielką życia. Literatura historyczna zostaje zauważona przez popularne media także wtedy, kiedy badacze docierają do źródeł, które zupełnie wywracają naszą dotychczasową wiedzę. Okazuje się na przykład, że odnalezione gdzieś po latach dokumenty zmuszają nas do rewizji utrwalonych „od zawsze” sądów. Trzecią grupę publikacji historycznych, którymi interesują się dziennikarze, stanowią prace zajmujące się wydarzeniami – nazwijmy to – „sensacyjnymi”. Pozornie do tej właśnie kategorii zaliczyć można książkę Edwarda Długajczyka, już choćby dlatego, że w podtytułe znalazły się te „afery szpiegowskie”. Ale czytelnik, który spodziewa się, że jest to jakaś „literatura akcji” z bohaterami w stylu Jamesa Bonda, mocno się rozczaruje.

Spróbuję na jednym przykładzie pokazać, czym różni się praca uczonego od twórczości dziennikarza poszukujących jak najatrakcyjniejszych dla masowego czytelnika sposobów opowiadania o historii. Sprawa dotyczy Wandy Sworowskiej, żony marszałka Sejmu Śląskiego Konstantego Wolnego. Podejrzewano, że z archiwum męża wykrał dokumenty związane z plebiscytem i powstaniami po to, żeby sprzedać je Niemcom. W tekstach dziennikarskich, które miałem okazję przeczytać, autorzy koncentrowali się na osobie pani marszałkowej. Wszyscy podkreślali, że była piękną kobietą (być może w ogóle najpiękniejszą na Śląsku). W dodatku emancypowaną – zdobyła zawód (w Paryżu zapoznała się z tajnikami nowoczesnej w tamtych czasach kosmetyki, potem miała własny zakład i pewnie ambicje, żeby stać się polską Coco Chanel). Szacowna do pewnego momentu pani marszałkowa pewnego dnia wdała się w romans z młodym oficerem, zapewne bardziej atrakcyjnym od zapracowanego męża i wyprowadziła się z domu zabierając eleganckie meble. Konstanty Wolny podobno ciężko przeżył rozstanie z żoną, ale w końcu się z nią rozwiódł. Nadal jednak dawał jej pieniądze, do wydawania których miała ogromny talent. Niestety, jej kochanek do bogatych nie należał. Dlatego musiała ukraść owe dokumenty i sprzedać je Niemcom (mimo to oficer piękną Wandę porzucił). Na to, że tak właśnie było nie ma jednak dowodów, poza listami Kazimierza Olszowskiego, posła polskiego w Berlinie. Ta szpiegowsko-miłosna historia na pewno przemawia do emocji czytelników, którzy może nawet byłiby w stanie przebaczyć Sworowskiej podwójną zdradę i dostrzec w niej ofiarę wojskowego uwodziciela.

Edward Długajczyk nie wdaje się w rozważania na temat urody pani Wandy, nie zajmuje się międzywojenną „love story”. Odwołuje się do konkretnych – wspomnianych wyżej listów, innej korespondencji oraz bardzo skąpych materiałów prasowych. Poseł Olszowski rzeczywiście wielokrotnie oskarżał żonę marszałka Wolnego o przekazywanie Niemcom ważnych dokumentów. Przede wszystkim jednak starał się zaszkodzić samemu Wolnemu. Cóż bowiem pisze? Oto kilka fragmentów listów zawartych w książce:

(...) *obserwowałem zawsze, że pan Wolny jest w utrzymywaniu papierów swoich człowiekiem bardzo nieporządnym i niesystematycznym. Poza tym, jak wiadomo, zapijał on zawsze robaka. Wobec tego wszystkiego jest dla mnie rzeczą zupełnie prostą, że pani Wolny wyciągnęła od męża, co tylko chciała, a następnie agentom niemieckim za pieniądze odsprzedała.*(...)

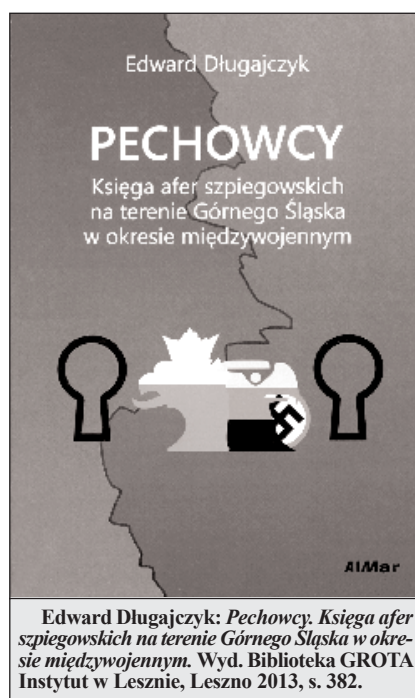
(...) *2. Zastanowić się nad możliwością sprawdzenia, czy pan Wolny nie posiada jeszcze jakich innych dokumentów i czy z tego tytułu nie może nam grozić jeszcze jakie niebezpieczeństwo.*

*3. Czy jest rzeczą możliwą, aby pan Wolny był nadal marszałkiem Sejmu. (...)*

W kolejnym liście Olszowski pisze już o marszałku per „p. Wolny” podtrzymując swoje rewelacje na temat wykradzionych dokumentów. Najciekawsze jest jednak podsumowanie całej tej historii. Autor *Pechowców* wyraźnie stwierdza, że w aktach „dwójki” zachowały się ślady świadczące o tym, iż Wanda Wolna rzeczywiście przekazywała Niemcom jakieś dokumenty... ale na zlecenie polskiego wywiadu! Poza autentycznymi aktami były podobno w tych materiałach również podróbki. Mocodawcy jednak jej za bardzo nie ufali, Jak było? Długajczyk nie wyklucza, że żona marszałka pracowała na dwie strony. Ale dopóki ktoś nie odkryje w jakimś archiwum kolejnych źródeł, trudno do końca sprawę wyjaśnić.

Jak widać historyczna wersja różni się mocno od tej dziennikarskiej. Mało romantyczna, nie przemawia do emocji czytelnika, za to jest prawdziwa, choć niedokończona.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że historyczna rzetelność wcale nie eliminuje z omawianej książki pierwiastka sensacyjnego. Śląsk był pograniczem, można się więc spodziewać, że tutaj wywiady polski i niemiecki szczególnie silnie ze sobą konkurowały. Autor uważa, że trudno zestawiać poziom pracy służb wywiadowczych obu państw. I wyjaśnia: *Każda odnotowywała sukcesy i ponosiła dotkliwie porażki. Nie ma śladów tryumfu, lekceważenia przeciwnika, nawet w chwilach bezspornego osiągnięcia. Praca wymagała pokory. Uczono się na błędach, aby popelniać następne.* Frapujące są też inne konstatacje Długajczyka. Zauważa na przykład, że pracę w wywiadzie podejmowali miejscowi, którzy traktowali ją jako normalne źródło utrzymania. Kwalifikacje mieli dość kiepskie, byli też marnie wynagradzani. Zdarzało się, że służyli „dwóm panom”, przy czym obu oszukiwali. Byli „po śląsku” rzetelni, rozliczali



## Marszałkowa Matą Hari?

się z każdej marki czy złotówki. Ceniono ich za spryt, inteligencję i umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Niestety, słabo przeszkoleni, często byli wyłapywani przez profesjonalistów z kontrwywiadu. Wtedy rodzina przeżywała tragedię – zostawała bez środków do życia. Za Hitlera karano ich śmiercią.

Na uwagę zasługuje też rozmiar zjawiska. Ze źródeł polskich wynika, że przed sądem pod zarzutem szpiegostwa stanęło 400 osób, spośród których 190 skazano. Dane niemieckie nie są znane, ale można chyba mniemać, że chodzi o podobne liczby.

Myślę, że ten szpiegowski pitaval, prezentujący sprawy polskie i niemieckie, wzbudzi zainteresowanie nie tylko czytelników zainteresowanych historią Śląska, ale i miłośników literatury opowiadającej o mało znanych a naprawdę sensacyjnych wydarzeniach z przeszłości, których bohaterami byli autentyczni ludzie.

BOGDAN WIDERA

**Stefan Szymburka: Po co literatura jeszcze jest? PI-SMA ROZPROSZONE.** Wybór, opracowanie i posłowie Grzegorz Olszański i Marian Jochemczyk. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2013, s. 278.

Cieszę się, że ta książka się ukazała, bo bardzo cenilem teksty Stefana Szymburki, miałem też okazję kilka razy z nim porozmawiać, oczywiście o literaturze. Potem przeważnie zostawało we mnie odczucie, że „rozmowa” z nim nie została dokończona, że jeszcze jakiś „zawsze fragment” dopisze albo dopowie. Tak się już nie stanie, ale przecież dzięki tej publikacji dotarł jednak do mnie jego głos z „drugiej przestrzeni”. Głos nieprzeciętnego badacza, krytyka i twórcy. Oryginalnego myśliciela z „własnym zdaniem”. Na książkę złożyły się eseje, artykuły, referaty a także wywiady (jeden z nich, związany z *Nagrobkiem ciotki Cili*, przeprowadziła z Szymburką moja redakcyjna koleżanka Wiesława Konopelska). Do wydawnictwa dołączona została płyta z nagraniem rozmowy z profesorem dla Radia Katowice Anny Musialik i Henryka Grzonki pt. *Niy wynokwiać*. Miłośnikom literatury tę książkę gorąco polecam.

**Helena Synowiec: Śląska ojczyzna polszczyzna z perspektywy edukacyjnej. Wybór zagadnień.** Wyd. „Sapientia”, Katowice 2013, s. 252.

Tę książkę powinni obowiązkowo przeczytać (wiem, że tego nie robią) liczni „specjaliści od języka śląskiego”, może wówczas dowiedzieliby się, o czym właściwie mówią. Z myślą o nich cytuję z tekstu *Sytuacja językowa na Śląsku*: „Na obszarze obecnego województwa śląskiego znajdują się: – trzy zespoły gwarowe wchodzące w skład dialektu śląskiego, odznaczające się swoistymi cechami: gwary południowośląskie (Cieszyńskie), gwary środkowośląskie (Śląsk przemysłowy, okolice Gliwic, Bytomia, Tarnowskich Gór) i gwary północnośląskie (okolice Lublińca)”, Autorka wspomina jeszcze o gwarach z pogranicza śląsko-małopolskiego (okolice Pszczyny i Mysłowic) oraz o gwarach opolskich, które występują poza terenem naszego województwa. Z książki można się dowiedzieć, jak bardzo to wszystkie gwary się między sobą różnią, przez co stworzenie z nich jednego języka jest niemożliwe i szkodliwe dla językowego bogactwa regionu. Dziękuję, Pani Doktor, za ten klarowny wywód.

**Z zakamarków szuflad, z zakamarków pamięci. Wystawa pamiątek rodzinnych tyszan.** Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2014, s. 52.

Ta książeczka o charakterze albumowym towarzyszy wystawie pod tym samym tytułem, którą w tym muzeum można jeszcze do maja oglądać. A warto. Wiem, bo sam ją zwiedziłem. We wstępie do publikacji prof. Marek S. Szczepański docenia misyjną działalność Muzeum Miejskiego, która przyczynia się do powstawania „wspólnotowej pamięci i zakorzeniania się w mieście o krótkiej historii”. Ze swej strony dodam, że autorka tekstu w książce Maria Lipok-Bierwaczonka znalazła klucz do serc tyszan, którzy chętnie włączają się do kolejnych inicjatyw muzeum i wzbogacają jego zbiory albo wypożyczają eksponaty na wystawy czasowe. Ta ekspozycja jest wyjątkowa, organizatorzy bowiem pokazali nie tylko przedmioty, zdjęcia, dokumenty itd. ale również zebraли związane z nimi opowieści, często o ludziach, którzy już odeszli. Na wystawie można więc m. in. zobaczyć maszynę do pisania Władysława Bochenka oraz wydany w podziemiu tom wierszy poety-górnika Józefa Krupińskiego.

**Sławomir Matusz: Licznik Geigera. 20 najważniejszych współczesnych wierszy w interpretacjach.** Wyd. Fundacja im. Jana Kochanowskiego, Sosnowiec 2013, s. 198.

Pewien francuski pisarz, którego nazwiska niestety sobie nie zanotowałem, napisał: „Poeta daje wierszowi nazwisko, czytelnik – swoją twarz”. Jest to dla mnie od lat jedno z najważniejszych i najprawdziwszych zdań jakie wypowiedziano o poezji. Czytelnik bowiem odbiera utwór poetycki „po swojemu”, czasem nawet wbrew intencjom autora, ale staje się dzięki temu współtwórcą. Matusz sam jest autorem wielu bardzo dobrych wierszy, więc tym bardziej byłam ciekawą „da twarz” poezji innych twórców. No i które spośród współczesnych utworów zaliczył do najważniejszej dwudziestki. Lubię czytać książki o poezji, których autor nie tylko rozbiera wiersz „na atomy”, ale też pisze, że coś mu się podoba (albo nie). *Licznik Geigera* przeczytałem więc z zainteresowaniem, co nie znaczy, że zawsze się z sędami Matusza zgadzam lub podzielałem jego wybory do poetyckiej listy „top twenty”. Widać mam inną „twarz”, ale książkę polecam – ciekawa.

**Eugeniusz Hajduk: W milczeniu i nadziei. Wiersze.** Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2013, s. 62.

Na stronie poprzedzającej każdy wiersz jest wydrukowane zdanie jakiegoś filozofa, poety, mówiąc najogólniej – sławnego człowieka, albo cytat z jakiejś świętej Księgi. Hajduk przytacza m.in. słowa Marka Aureliusza, Ezopa, Simone Weil, Szekspira, Machiavelliego itd. Ten cytowany fragment jest dla autora – jak mi się wydaje – źródłem inspiracji do napisania własnego wiersza. Raz będzie to prosta „wariacja na temat”, innym razem rozwinięcie „złotej myśli” w obraz czy anegdotę, czasem – coś w rodzaju polemicznego votum separatum. Przykład dla ilustracji. Cytat: *Powiedziałem i uspokoiłem swoje sumienie. Wulgata, Ezechiel.* Wiersz tytułowy „W milczeniu i nadziei”: *Czy modlitwa – to zapach morza / czy modlitwa – to zapach ogrodów / czy modlitwa – to zraniony ptak / krzykiem człowieka / w machującym krzyżem / który już nie jest drogowskazem / wskazującym drogę – do Pana // tradycja / w smutku i żalobie / wyciąga ręce do wszystkich świętych / a oni – tacy święci / jak – my.*

**Patryk Chrzan: Przekazy podprogowe.** Wyd. Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Będzinie, Będzin 2013, s. 60.

Zacznę od tego, że wydanie tego tomiku było główną nagrodą w szóstej już edycji Konkursu Poetyckiego zorganizowanego przez będzińską Miejską Bibliotekę Publiczną i Powiatową. Doświadczenie nauczyło mnie, żeby do takich informacji podchodzić z lekką nieufnością, zdarza się bowiem, że organizatorzy podobnych inicjatyw dostają pieniądze „na druk” i muszą je wydać niezależnie od poziomu artystycznego. Jednak *Przekazy podprogowe* są zbiorem naprawdę dobrych wierszy. Już otwierający tomik pt. „niedorzeczność” bardzo mi się spodobał. Cytuję fragment: *kie-dyś dzieci nie brano na pogrzeby / śmierć widziały w martwym kanarku / niedotykana jak uda młodej niani // wujek po prostu przestał odwiedzać dom / a zapach ryb, które przynosił co tydzień / stopniowo rozkładał się w pamięci / a ona wybaczała (...)* Autor jest z wykształcenia politologiem i dziennikarzem. Jest też na pewno poetą. Z satysfakcją odnotowuję, że wiersze publikował też w naszym miesięczniku. Zatem zachęcam do lektury.

# Anekdoty

HENRYK BZDOK

Było coś w tym, że na Warszawskiej 37 mieścił się „Marchoń”, a pod tym samym numerem na Raciborskiej nasza Buda, jeśli założyć, że myliły nam się czasem adresy, to i nie zawsze trafialiśmy tam gdzie należy.

Ale bez przesady, do Piwnicy dojrzwaliśmy na ogół po studiach, bywaliśmy tam wieczorami by z kimś pogadać po całodziennym siedzeniu w pracowni, z przerwą na szybkie coś w pobliskim barze. Nowicjuszom nie było wejść tak łatwo, przy drzwiach czuwało na zmianę dwu Cerberów, psychicznie i fizycznie podobnych do bohaterów ówczesnego filmu włoskiego „Ludzie i kaprale”, Toto i Paolo Stoppa czyli Franek i Spika.

Z pierwszym można było się ścichać napić, z drugim w najlepszym przypadku poszturchać.

Samotnemu bywalcowi najlepiej było się przy barze, zawsze przysiadł się kompan, nie zawsze znany.

Tych „nieznanych” było wielu, wchodzili bez problemów a wychodzili z Szwejkowsko zapisanymi mankietami która mucha czyj portret obesrała.

Dieter Treeck – pisarz, poeta, satyryk, krytyk sztuki, zamieszkały w Dortmundzie, wielce zasłużony w tworzeniu dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy Niemcami a Polską.

Sz szczególnie dla Krakowa, poprzez obustronną wymianę twórców, wystaw a także jako twórca komitetu restauracji zabytków Krakowa w Niemczech, zebrane środki przyczyniły się do renowacji wielu obiektów.

W Niemczech – twórca pierwszej Komunalnej Galerii Sztuki w Bergkamen, w której i ja wystawiałem, a także organizator imprezy artystycznej Berkamener Bilder Basar (I-VII), która była jednym z najważniejszych wydarzeń kulturalnych Północnej Nadrenii i Westfalii.

W imprezie tej brało udział między innymi liczne grono naszych plastyków i muzyków.

Dieter darzył Polskę szczególnym zamięłowaniem, bywał tu często i przyjaźnił się z bardzo wieloma artystami, był także o krok od zamieszkania w Krakowie, ale nagła śmierć małopolskiego współnika w tym przedsięwzięciu przeszkodziła w realizacji zamierzenia.



Zdarzało się także, że na ulicy Warszawskiej byli mundurowi, ci zaś bardzo lubili zaglądać do czyichś dowodów osobistych, szczególnie tym, których stan wskazywał na spozycie.

Tak i mnie kiedyś zatrzymano na rogu Francuskiej, a był to dzień w którym zniknęły mi dokumenty w piwnicznych niesprzyjających przygodnych okolicznościach.

Już mnie brali jako bezpaństwowca, gdy zegnający się z przyjaciółmi nieopodal stojący Witek Pałka, podszedł i rzekł:

... pójdzie go Panowie, ja go znam, to mój młodszy kolega.

Puścili...

Kiedyś potem siedząc przy barze w „Marchońcie” przysłuchiwałem się rozmowom starszych już uznanych kolegów artystów, wśród których prym wiódł mistrz pędzla Witold, mój niedawny wybawca.

Dysputa dotyczyła sztuki współczesnej, tej przez wielkie „S”.

Kiedy już omówione zostały wszelkie w tym zakresie problemy sztuki światowej, powrócono na nasze regionalne podwórko.

Zastanawiano się nad stanem malarstwa na Śląsku i w końcu padło sakramentalne pytanie:

– Jak myślisz Witek, kto jest najlepszym malarzem na Śląsku?

Zapadło krótkie milczenie, Witek Pałka zmarszczył czoło, dotknął i przetarł je dłonią, spojrział na sufit i rzekł:

– Wiecie, chyba ja!

No powiedz, co tu można obejrzeć poza dobrym serialem?



Rys. Henryk Bzdok

Spotkaliśmy się na Floriańskiej – wspominał Dieter, Jarek bardzo się ucieszył i rzekł: – Wpadnij wieczorem do Hotelu Polskiego, jestem tam z zespołem, pogadamy i coś wypijemy.

No i spotkaliśmy się wieczorem, potem się rozkręcało najpierw powoli, potem ktoś tknął instrument... później drugi i rozpoczęła się dzem sesja... wkrótce ktoś zza ściany przyszedł ze skargą, że grają za głośno, a Jarek na to: Weź pan fiaskę i przychodź tutaj... i przyszedł ten i przyszło tylu innych, że całe piętro się bawiło i nikomu to już nie przeszkadzało.

Od powstania Gminnej Biblioteki Publicznej w Godowie jej warunki lokalowe pozwalały jedynie na realizację podstawowych zadań. Wszystkie spotkania autorskie, konkursy czy zajęcia biblioteczne dla dzieci organizowane były przy współudziale innych instytucji, w ich siedzibach, co powodowało, że były utożsamiane z nimi, a nie z biblioteką. Potrzebę zmiany – prócz bibliotekarzy i czytelników – zaczęły dostrzegać także władze gminy. Dzięki wspólnym staraniom przeprowadzono gruntowny remont i adaptację dawnego budynku straży granicznej, w którym znalazła swoje miejsce biblioteka.

2010 rok był dla GBP w Godowie przełomowy. Wtedy poprzednia siedziba (54 m<sup>2</sup>) została zamieniona na lokal o powierzchni 225 m<sup>2</sup>, wyposażony w potrzebny sprzęt i nowe meble. Mieści się tu wypożyczalnia, czytelnia, oddział dla dzieci, sala warsztatowa, zaplecze administracyjno-gospodarcze, a także – w holu – galeria i stanowiska komputerowe dla czytelników. Odtąd biblioteka może kreować swój wizerunek jako instytucji przyjaznej, otwartej i aktywnej, której działalność wykracza daleko poza gromadzenie i udostępnianie zbiorów.

Upowszechniamy czytelnictwo i prowadzimy różnorodne formy działalności informacyjnej i kulturalnej o szerokim zasięgu, angażujące lokalną społeczność.

W 2011 roku przystąpiliśmy do Programu Rozwoju Bibliotek Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego. Wszystkie placówki skorzystały z możliwości, jakie dawał udział w Programie. Otrzymały zestawy komputerowe i urządzenia peryferyjne przeznaczone dla czytelników, darmowe oprogramowanie, a pracownicy uczestniczyli w szkoleniach, których efektem było napisanie *Planu Rozwoju Biblioteki na lata 2012–2015*. Biblioteka podejmuje coraz to nowe inicjatywy w różnych obszarach działania: poszerza ofertę swoich usług, wprowadza nowoczesne technologie, pozyskuje dofinansowanie własnych projektów w ramach dostępnych programów oraz współpracuje z organizacjami pozarządowymi, fundacjami i stowarzyszeniami.

Staramy się zaspokoić oczekiwania różnych grup odbiorców. Organizujemy zajęcia biblioteczne dla trzy- i czteroletnich dzieci (pt. „Ważne sprawy naszych pociech”), które nie uczęszczają do przedszkola. Najmłodszy dzięki zabawom z książką rozwijają wyobraźnię i wrażliwość oraz kształtują swoją odporność



*Biblioteczne Warsztaty Twórcze – zajęcia z tworzenia kwiatów prowadziła Teresa Strządala (2014)*

**B**  
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA  
BIBLIOTEK



*Otwarcie nowej siedziby biblioteki z udziałem aktora Franciszka Pieczki – urodzonego w Godowie (2010)*

Gminna Biblioteka Publiczna w Godowie

## Nowa siedziba – większe możliwości i niebanalne pomysły

emocjonalną. Nasza księżnica była jedną z 25 polskich bibliotek realizujących projekt „Muuvit – Ruszaj się i odkrywaj świat”, który łączył edukację, sport i nowoczesne technologie. Ponad 100 dzieci z całej gminy przez 30 dni zdobywało punkty za aktywność fizyczną w szkole, w domu czy na podwórku. Każde 10 minut ruchu nagradzane było jedną miłą wirtualnej podróży, którą dzieci odbywały na portalu Muuvit. Letnie wakacje to czas zajęć plastycznych dla młodych czytelników – Plenerowa Szkoła Małego Artysty, a zimą organizujemy „Ferie z filmem w bibliotece” przy współpracy z Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Prowadzimy Biblioteczne Warsztaty Twórcze, które umożliwiają lokalnym rękodzielnikom wymianę doświadczeń, a tym samym poznanie nowych technik artystycznych.

W ramach współpracy z Lokalną Grupą Działania Morawskie Wrota biblioteka podjęła się udokumentowania dziedzictwa architektonicznego i przyrodniczego Godowa, wydając album pt. *Ocalmy od zapomnienia – zanikająca architektura i przyroda Gminy Godów w fotografii* (2013). Reprodukcje zdjęć pochodziły ze zbiorów lokalnych instytucji oraz mieszkańców, których zaangażowanie przyczyniło się do powstania cennego i trwałego źródła wiedzy o kulturze naszego regionu.

Dzięki Konkursowi Grantowemu Aktywna Biblioteka zrealizowała dwa przedsięwzięcia. „Spotkania ludzi z pasją” pozwoliły skupić wokół biblioteki miejscowych twórców i osoby mające różnorodne zainteresowania. Cyklicznym spotkaniem, o których goście chętnie opowiadali o swoim hobby, towarzyszyły wystawy fotograficzne

i rękodzielnicze prezentujące ich dorobek. Projekt zakończył się w ubiegłym roku, ale spotkania odbywają się nadal. Tradycją stało się zapraszanie na nie mieszkańców przez samych pasjonatów, co niewątpliwie wpływa na powodzenie imprez.

Drugi projekt pt. „Biblioteka on-line” miał na celu zorganizowanie warsztatów dla seniorów z podstaw obsługi komputera i korzystania z zasobów Internetu oraz utworzenie własnego portalu internetowego. W 2013 roku została uruchomiona strona biblioteki ([www.biblioteka.godow.pl](http://www.biblioteka.godow.pl)), informująca o podejmowanych działaniach, z aktywnym newsletterem i katalogiem zbiorów on-line, za pomocą którego czytelnicy mogą zamawiać pozycje książkowe.

Co roku biblioteka bierze udział w Konkursie Grantowym Programu Równać Szanse. Uzyskane środki umożliwiają zorganizowanie cyklu atrakcyjnych zajęć dla młodzieży w wieku 13–19 lat. Każdy z projektów trwał pół roku. Pierwszy, realizowany w 2011 roku, to „Flash Time – warsztaty dziennikarsko-fotograficzne”. Rok później odbyły się zajęcia filmowe „zaKręcenie”, podczas których powstał film pt. *Biblioteka na perypetiach*. W ramach trzeciego projektu młodzieżowy zespół muzyczny Szol wydał płytę i dał dwa koncerty. W tym roku młodzież tworzy lokalną telewizję internetową TV Godów. Uczestnicy pod opieką instruktorów uczą się sporządzać materiały audiowizualne. Zdobyte umiejętności wykorzystują przy montażu krótkich filmów. Przygotowują zaproszenia na imprezy kulturalne, relacje z wydarzeń, wywiady, a także sondy uliczne. Rezultaty pracy młodzieżowej ekipy telewizyjnej można obejrzeć na kanale TV Godów na YouTube oraz Facebooku. Programy realizowane przez młodych czytelników promują nie tylko bibliotekę, ale całą gminę Godów.

Dzisiaj GBP w Godowie, inicjując różnorodne działania, chroni dorobek pokoleń, pełni funkcję lokalnego centrum edukacji, wspiera regionalne inicjatywy kulturalne i stanowi otwartą przestrzeń spotkań mieszkańców.

BOŻENA HOLESZ

*GBP w Godowie zajęła III miejsce w ogłoszonym przez Bibliotekę Śląską konkursie Gminne Koalicje na rzecz Rozwoju Bibliotek 2013.*



*„Spotkania ludzi z pasją”. Prelekcja Aliny Tomas – „Artystyczne rękodzieło” (2013)*



Imponująco zabrzmiały orkiestra i chór pod batutą Mirosława J. Błaszczyka. Znakomicie w tle prezentuje się lśniący prospekt organowy.

## Filharmonia Śląska – nowa przestrzeń dla muzyki

Pod patronatem „Śląska”

Rozbudowany i zmodernizowany gmach Filharmonii Śląskiej stał się imponującą budowlą. Blisko cztery lata trwały prace remontowo-budowlane. Przez ten czas zespoły filharmoniczne na co dzień korzystały z uprzejmości innych instytucji m.in. Akademii Muzycznej, Państwowej Szkoły Muzycznej im. Karłowicza w Katowicach czy Chorzowskiego Centrum Kultury.

Zmienił się nie tylko gmach: nowe rozwiązania architektoniczne, poprawiona akustyka, oświetlenie, dobudowana nowoczesna część z windą, kawiarenką i patio oraz pomieszczeniami biurowymi. Podczas koncertu inauguracyjnego nowy rozdział w historii Filharmonii Śląskiej, 28 marca 2014 roku zabrzmiały nowe, zaprojektowane przez prof. Juliana Gembalskiego organy, zbudowane przez renomowaną firmę „Karl Schuke Berliner Orgelbauwerkstatt” oraz fortepian marki Stainway&Sons. Popisowe koncerty na nowych instrumentach dali: Julian Gembalski, prezentując *Toccatę i Fugę d-moll* BWV 565 Jana Sebastiana Bacha oraz specjalnie przygotowane na tę okazję autorskie improwizacje, a także Piotr Paleczny, wykonując z towarzyszeniem orkiestry pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka *I koncert fortepianowy e-moll* op. 11 Fryderyka Chopina. Wieczór wypełniły tak-

że kompozycje dwóch wybitnych kompozytorów ze Śląska: Henryka Mikołaja Góreckiego *Trzy tańce* op. 34 i Wojciecha Kilara *Exodus*, które w tej nowej przestrzeni zabrzmiały z wyjątkową siłą, perfekcyjnie wykonane przez Orkiestrę i Chór Filharmonii Śląskiej pod dyktando maestro Błaszczyka. Dodać trzeba, że przygotowaniem chóru zajmował się chórmistrz Jarosław Wolanin.

Oddanie artystom i melomanom odnowionego gmachu było pierwszym, ale najważniejszym krokiem wejścia Filharmonii Śląskiej w jubileuszowy, 70. sezon artystyczny, który rozpocznie się we wrześniu tego roku.

Uroczysta gala otwarcia obiektu rozpoczęła się odsłonięciem popiersia Henryka Mikołaja Góreckiego – patrona śląskich filharmoników, autorstwa Zygmunta Brachmańskiego. Aktu tego dokonali Jadwiga Górecka, marszałek województwa śląskiego Mirosław Sekuła i dyrektor FS prof. Mirosław Jacek Błaszczyk.

Przybyli goście – a wśród nich swą obecnością zaszczylicili przedstawiciele kancelarii Prezydenta RP, Rządu RP, Parlamentu Europejskiego, posłowie i senatorowie, duchowieństwo z metropolią katowickim abp. Wiktoorem Skworcem, reprezentanci władz wojewódzkich i miejskich, oraz wielu instytucji kultury. Wszyscy



Jako pierwszy na organach zagrał ich twórca – Julian Gembalski, wydobywając niezwykle odcienie dźwięków z instrumentu.

mieli okazję zwiedzić budynek i poznać jego nowe możliwości.

Było wiele gratulacji, serdecznych słów i zapewnień oraz podziękowań skierowanych na ręce wykonawców a także wieloletniej dyrektorki Filharmonii Grażyny Szymborskiej.

Śląscy filharmonicy nie poprzestali na wielkiej gali otwarcia, ale przez kolejnych kilka dni prezentowali zainteresowanym melomanom wewnątrz, koncertowały wszystkie zespoły filharmoniczne prezentując atrakcyjny program, stworzono możliwość rozmów z artystami.

Zabytkowy gmach Filharmonii, datowany na 1873 rok, nastroczał wykonawcom i prowadzącym projekt wiele problemów. Podjęta przed czterema laty inwestycja była dzięki funduszom europejskim (21 mln zł z ponad 47 mln wydanych na tę inwestycję pochodziło z Unii Europejskiej) i pieniądзом przyznawanym przez samorząd województwa śląskiego. (wk)



Henryk Mikołaj Górecki ma odtąd swoje stałe miejsce w murach Filharmonii. Na zdjęciu: Jadwiga Górecka i marszałek województwa śląskiego Mirosław Sekuła.



Gośćmi gali byli wicepremier Elżbieta Bieńkowska i prof. Jerzy Buzek – b. przewodniczący Parlamentu Europejskiego.



Na honorowych miejscach zasiadli m.in. abp Wiktor Skworec, prof. Jerzy Buzek, marszałek Mirosław Sekuła i Piotr Uszok – prezydent Katowic.

fot. P. Stauffer



Inscenizacja historyczna w 90. rocznicę III powstania śląskiego – Góra św. Anny



Łukasz Schmidt (wilk) i Marcelina Połap – Olender w spektaklu „Czerwony Kapturek”

fot. Archiwum Ekostudio

fot. Archiwum Ekostudio



Krzysztof Wrona w roli jeńcy w spektaklu plenerowym „Życie za wszelką cenę” – Łambinowice, CMJW

fot. K. Krauze



Janusz Onufrowicz i Bartosz Dziedzic w spektaklu „Poświęcona przyjaźń” wg J. Steinbecka „Myszy i ludzie”

fot. K. Krauze



Andrzej Czernik



## Jubileusz Teatru Ekostudio

Opolskie Ekostudio świętowało piętnastolecie działalności, wystawiając premierę farsy „Morderczy pokój” (wg Clarka i Bobricka) w reżyserii Andrzeja Czernika, założyciela sceny, która powstała jako jeden z pierwszych prywatnych teatrów na fali przemian ustrojowych w naszym kraju. Ekostudio prowadzi szeroką działalność artystyczno-kulturalną, sięgając po klasykę (Wyspiańskiego, Reymonta, Szekspira, Mickiewicza, Mrożka, Czechowa, Steinbecka), realizując inscenizacje historyczne i plenerowe widowiska (m.in. ukazujące dzieje księcia opolskiego Mikołaja II, wjazd króla Jana Kazimierza do Opola, z okazji 90.

rocznicy III powstania śląskiego na Górze św. Anny). Teatr realizował również autorskie przedstawienia, ukazujące złożoną historię Śląska Opolskiego. Na terenie dawnego hitlerowskiego obozu Lamsdorf (Łambinowice), wystawił spektakl o zagładzie tysięcy jeńców radzieckich. W spektaklu „Zasypani” na przykładzie dwóch szeregowych żołnierzy (Polaka i Niemca), zasypanych w piwnicy zbombardowanego domu, pokazał studium zachowań ludzi w sytuacjach ekstremalnych. W swoim dorobku Ekostudio ma blisko czterdzieści pozycji, wielokrotnie prezentowanych nie tylko w Opolu ale także w Nowym Jorku i Brukseli: recitale piosenki, przedstawienia dla dzieci, wieczory poetycko-muzyczne, spotkania ze sztuką opolskich twórców, spektakle kabaretowe i komediowe, charytatywne akcje artystyczne. Scena działa od piętnastu lat i osiąga sukcesy (m.in. Złota Maska za wystawienie „Chłopów” Reymonta) dzięki zaangażowaniu i menadżerskim talentom jej dyrektora – Andrzeja Czernika, który jest w regionie prekursorem w zakresie prowadzenia prywatnej instytucji teatralnej, która nie jest dotowana ze środków publicznych.

fot. M. Przygoda



„Zemsta” A. Fredry z udziałem opolskich liderów sfery polityki, nauki i biznesu

## Scena pod gwiazdami

Prywatna instytucja kultury i jednocześnie interesujące zjawisko na mapie regionalnej kultury – tak lapidarnie można powiedzieć o Teatrze Ekostudio, który świętował piętnastolecie działalności artystycznej. Początki sceny sięgają wiosny 1999 roku, kiedy Andrzej Czernik, aktor Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, wystawił w Muzeum Diecezjalnym „Piłata” (nieco zapomniany dramat Wojciecha Bąka). Sukces spektaklu, zaplanowanego wcześniej jako jednorazowe przedsięwzięcie, zachęcił twórców do podjęcia kolejnych wyzwań ożywiających przestrzeń opolskich muzeów. „Pamiętniki Adama i Ewy” Marka Twaina oklaskiwano w Muzeum Śląska Opolskiego, poczyniła ekipa Ekostudio rozpoczęła przygotowania do plenerowych inscenizacji dzieł polskiej klasyki w niezwyklej scenografii architektury drewnianej skansenu w Bierkovicach. Pomyślniejsze Andrzeja Czernika zainteresowały Jarosława Gałęzę – dyrektora Muzeum Wsi Opolskiej, który udzielił teatrowi niezbędnej pomocy do realizacji ambitnych, ale także dość ryzykownych planów (m.in. ze względu na zmienność aury, ograniczenia techniczne, względy przeciwpożarowe). Ostatecznie w autentycznej wiejskiej zagrodzie na scenie pod gwiazdami wystawiono „Wesele”. Plenerowa inscenizacja dzieła Wyspiańskiego stała się artystycznym wydarzeniem, wzbudzając spore zainteresowanie mass mediów i podziw opolskiej publiczności. Następne przedsięwzięcie było jeszcze odważniejsze i trudne do przeprowadzenia. W czterech odsłonach (zima, wiosna, lato, jesień) postanowiono wystawić spektakl oparty na „Chłopach” W. Reymonta, ściśle wiążąc kalendarium teatralne z cyklem przyrody. Publiczność na podestach otulona kocami, krzepiąca się herbatą z termosów, jak i ta z wachlarzami w dłoniach i w letnich sukienkach, śledziła losy rodziny Borynów, przeczuwając, że uczestniczy w teatralnym misterium. Po latach plenerowego grania (stąd wzięła się nazwa teatru) Ekostudio otrzymało w Opolu własną siedzibę w budynku po dawnych warsztatach szkolnych. Dzięki temu powstało zaplecze niezbędne do stałego funkcjonowania sceny i do pozyskiwania dochodów na sfinansowanie działalności misyjnej teatru, który ze względu na formę organizacyjną nie otrzymuje dotacji ze źródeł publicznych. Choć Ekostudio prowadzone w ramach prywatnej działalności gospodarczej, musiało przede wszystkim samo zarabiać na siebie, to jednak zawsze potrafiło wspierać innych potrzebujących pomocy. Przykładem tego są liczne akcje charytatywne, na czele z głośną inscenizacją „Zemsty”, obsadzoną przez opolskich VIP-ów, dzięki której uzyskano znaczną kwotę na rzecz dzieła skrzywdzonych przez los. Nie tylko za te zasługi z okazji jubileuszu Teatru Ekostudio – Andrzej Czernik i jego współpracownicy w pełni zasługują na wdzięczność opolskiej publiczności i serdeczne życzenia pomyślności w realizacji nowych przedsięwzięć dawnej sceny pod gwiazdami.

JANUSZ WÓJCIK

# OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

## Wydarzenie na opolskiej scenie – „Opowieści z Narnii”

Na scenie Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu odbyła się premiera jednej z największych realizacji w historii opolskiej sceny: „Opowieści z Narnii: Lew, czarownica i stara szafa” w reżyserii Tomasza Koniny. Duża Scena została powiększona o kilkanaście metrów, pozwalając na stworzenie wspaniałej i jedynej w swoim rodzaju scenografii przenoszącej widzów w świat magii zaczarowanej krainy. Widowisko przygotowano z wielkim rozmachem, podczas scen batalistycznych wykorzystano najnowsze technologie realizacji widowisk. Przedstawienie obfitowało w efekty specjalne (m.in. mapping), kostiumy zaprojektowane przez Joannę Jaśko-Srokę nawiązywały do najbardziej wyrefinowanych pokazów mody. Pojawienie się na scenie *Białej Czarownicy* i jej dworzan w niesamowitych przebrańach zapierało dech w piersiach. Sunkia czarownicy była prawdziwym arcydziełem, konstrukcją pozwalającą „rosnąć” jej i unosić się ponad sceną. Znakomita gra całego zespołu aktorskiego i walory techniczne przedstawienia sprawiły, że zarówno dzieci jak i dorośli z największym zainteresowaniem oglądali przedstawienie. Spektakl jest pierwszą realizacją tej niezwyklej opowieści w polskim teatrze i już po premierze było wiadomo, że będzie wydarzeniem artystycznym sezonu teatralnego, wzbudzającym wielkie zainteresowanie publiczności.



Foto: Bartosz Maz

Opowieści z Narnii

## XXIII Konkurs Kroszonkarski

Ważną rolę w popularyzacji kultury ludowej Śląska Opolskiego spełniają od lat konkursy or-

ganizowane przez Muzeum Wsi Opolskiej, a wśród nich cieszący się największym zainteresowaniem konkurs kroszonkarski. W tegorocznym XXIII Konkursie Plastyki Obrzędowej „Kroszonki Opolskie” wzięło udział blisko 180 uczestników. Cieszy fakt, że najliczniejszą grupę stanowią ci, którzy startowali w kategorii młodzieżowej i dziecięcej (stu uczestników). Zdobienie jaj wielkanocnych jest na Opolszczyźnie najliczniej reprezentowaną dziedziną ludowej twórczości. Podczas konkursu powstały małe arcydzieła na kruchych skorupkach, wykonywane trzema technikami: rytowniczą (najpopularniejszą), batikową oraz techniką obszywania i oklejania. Jury oceniało prace zwracając uwagę na zgodność z regionalną tradycją, precyzję wykonania i ogólne walory artystyczne. Nagrody dla laureatów konkursu co roku są wręczane podczas Jarmarku Wielkanocnego w MWO. Wśród dorosłych uczestników główną nagrodę im. Jerzego Lipki przyznano Annie Ozimek, która wykonała swoją pracę techniką rytowniczą. W tej samej kategorii pierwszą nagrodę otrzymały również: Łucja Mandelka, Adrianna Joszko, Aneta Hurek, Wioleta Obrzud i Halina Jakubowska. Wśród dzieci i młodzieży pierwsze nagrody otrzymały: Justyna Simon, Karolina Nowak, Daniela Junghardt, Magdalena Czekala i Weronika Bujara. Muzeum Wsi Opolskiej zorganizowało konkurs przy współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Opolskiego oraz Opolskim Oddziałem Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

## Obchody Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

21-23 marca w Székesfehérvár na Węgrzech, przy współudziale tamtejszej Polonii miał miejsce cykl imprez i spotkań z okazji Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej zorganizowany tradycyjnie przez samorządy miast Székesfehérváru i Opola, a także Komitatu Fajér i województwa opolskiego. Tegoroczny Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej uświetnił koncert w Teatrze Mihaiya Vorosmarty z udziałem artystów węgierskich i opolskich. Opolszczynę reprezentowali uczestnicy Wojewódzkiego Przeglądu Twórczości Artystycznej „Opolskie Szmaragdy”, zespół „Shantazyści” z Lewina Brzeskiego, „Klub Wokalisty” z Krapkowic oraz grupa artystyczna „Inwencja” z Brzegu. Obchodom towarzyszyło także otwarcie dwóch wystaw: papieskiej wystawy fotograficznej w holu Teatru, ukazującej związkę Jana Pawła II z województwem opolskim oraz plenerowej przy ruinach historycznej bazyliki Romkért pt. „Wspólni Węgiersko-Polscy Święci”. W ostatnim dniu wizyty polska delegacja złożyła wieńce pod Krzyżem Katyńskim, odsłoniętym w Székesfehérvár 24 marca 2012 r. z inicjatywy tamtejszego węgierskiego Związku Kombatantów Dońskich.

## Jednym zdaniem

■ W Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w ramach obchodów 69. rocznicy wyzwolenia Stalagu 344 Lamsdorf odbyło się spotkanie pt. „Przeżyłem!”, którego bohaterem był Jarosław Furdala, nestor środowiska opolskich artystów ludowych, jeńiec obozów Wehrmachtu.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego zaprezentowano publiczności wystawę „Galopem z Wołynia czyli dzieje 19 Pułku Ułanów Wołyńskich” – eksponaty pochodziły ze zbiorów Stowarzyszenia 19 Pułku Ułanów Wołyńskich im. gen. Edmunda Różyckiego oraz kolekcji prywatnych.

■ W ramach cyklu „Twarze Opola” w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych odbyło się spotkanie „Fotografować to znaczy wstrzymać oddech... Opolskie w obiektywie Romana Kwasińskiego”, podczas którego została przedstawiona biografia i twórczość znanego opolskiego artysty-fotografika.

■ Podczas konferencji „Wokół Tragedii Górnośląskiej. Rozważania – analizy – polemiki”, którą zorganizowało CMJW i TSKN naukowcy z województwa opolskiego i śląskiego podjęli się próby zdefiniowania tragicznych wydarzeń, które miały

miejsce od 1945 r. na Śląsku, prezentując jednocześnie stan wiedzy na temat *Tragedii*, szczególnie w kontekście pamięci o tych wydarzeniach.

■ Teatr im. Jana Kochanowskiego wziął udział w ogólnopolskim projekcie „Dotknij Teatru” wystawiając spektakle: „Rękopis znaleziony w Saragossie”, „A ja, Hanna”, „Gaska”, zorganizował także warsztaty dla dzieci i młodzieży, podczas których młodzi widzowie mogli poznać teatr z drugiej strony sceny.

■ Pierwsze spotkanie z cyklu wykładów pt. „Śpiewki i piosenki. Pieśni ludowe w tradycji i inspiracji” odbyło się w Muzeum Śląska Opolskiego. Muzycy, etnologowie, animatorzy kultury oraz etnomuzykolodzy przybliżyli publiczności muzyczną kulturę ludową, zwłaszcza pieśni, a słuchacze mogli poznać warsztat etnomuzykologa.

■ Opolski Teatr Łaki i Aktora zaprosił publiczność na premierę spektaklu „Bajka o szczęściu” przygotowanego z myślą o najmłodszych widzach, którzy wraz z bohaterami przedstawienia mogli poszukiwać odpowiedzi na pytanie: czy posiadanie, bogactwo, majątek mogą przynieść prawdziwe szczęście?

## A jednak Muzeum (Górno)Śląskie!

Od jakiegoś czasu nie tylko facebook pełni jest apeli o obronę Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Co i rusz temat połączenia Muzeum Śląskiego i Muzeum Górnośląskiego jest obecny na łamach prasy regionalnej. Pomysł nie jest nowy, ale od chwili jego powstania budzący sprzeciw, zwłaszcza ludzi związanych z Bytomiem, gdzie Muzeum Górnośląskie ma swoją siedzibę. Od jakiegoś czasu symbolicznie obydwa muzea łączy osoba dyrektora – i tu i tam dr Dominik Ablamowicz. Zarządzanie dwoma tak wielkimi instytucjami to nie lada wyczyn, zwłaszcza że Muzeum Śląskie jest na etapie przeprowadzek i nieustannych problemów technicznych, o których donoszą media. Co jeszcze łączy obydwa Muzea? To nowa katowicka ulica imienia Tadeusza Dobrowolskiego – postaci wybitnej, dyrektora Muzeum Śląskiego od 1927 roku, twórcy znakomitych zbiorów malarstwa polskiego – będąca jakby przedłużeniem ulicy Jerzego Dudy Gracza, prowadząca do nowej siedziby Muzeum.

Zwykle jak podejmuje się oficjalne rozmowy na temat połączenia instytucji kultury, to wiadomo, że chodzi o pieniądze – tym razem samorządu województwa śląskiego. Na niczym tak łatwo się przecież nie oszczędza, jak na kulturze. Liczone w dziesiątkach milionów pieniądze, które wyciekają nie wiadomo jak, nie są tak ważne, jak debata nad kilkoma milionami dla kultury. Debata o połączeniu muzeów rozgrzewa do czerwoności – i nie tylko o ideę chodzi. Zwyczajnie pracownicy bytomskiej instytucji obawiają się – poza upadkiem prestiżu Muzeum i miasta zarazem – o swoje miejsca pracy. Bo instytucje kultury – jak wszystkie inne zakłady pracy zatrudniają specjalistów, którzy w znacznej mierze przepracowali tu, za pieniądze właściwie instytucjom kultury – wiele lat, często nie licząc czasu prywatnego, energii i serca. W kulturze wiadomo – sami społecznicy, oni tak mają.

Aż tu radni Sejmiku Województwa oficjalnie podjęli uchwałę „w sprawie podania do publicznej wiadomości informacji o zamiarze i przyczynach połączenia Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu”. Jak czytamy w informacji prasowej Biura Sejmiku „Głównym celem połączenia muzeów jest konsolidacja ich oferty programowej. Jednym z istotnych celów władz regionu jest ułatwienie mieszkańcom dostępu do szeroko rozumianej oferty kulturalnej”. Wiadomo też, co w przypadku tak gigantycznej inwestycji, jaką jest nowa siedziba Muzeum Śląskiego, jaką rolę spełniać będzie Muzeum Górnośląskie. Bo – jak czytamy – „Muzeum Górnośląskie w Bytomiu w obecnych warunkach ekonomicznych i organizacyjnych, mimo cennych kolekcji i zbiorów, nie jest w stanie uzyskać rozpoznawalności podobnej do innych muzeów, dla których organizatorem lub współorganizatorem jest Województwo Śląskie”.

A tu tak naprawdę chodzi o pieniądze na kulturę i realizację zapisów w projekcie unijnym. Czytamy w uzasadnieniu decyzji: „Oddanie do użytku nowej siedziby Muzeum Śląskiego w Katowicach – nowoczesnej, zlokalizowanej w centrum stolicy regionu, a jednocześnie wymagającej w kolejnych latach dalszych nakładów dla osiągnięcia wskaźników zapisanych w studium wykonalności projektu – utrwalać będzie przewagę konkurencyjną Muzeum Śląskiego, a co za tym idzie spowodować może postępującą marginalizację działalności Muzeum Górnośląskiego”. Może...

WIESŁAWA KONOPELSKA

## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

### Opowieść o Zofii Kossak

24 marca 2014 r. w Bibliotece Śląskiej odbyła się promocja najnowszej książki dr Joanny Jurgała-Jureczki *Zofia Kossak. Opowieść biograficzna*. Spotkanie poprowadziła prof. zw. dr hab. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, która zadbała, aby dyskusja wokół biografii autorki *Dzieciństwo* była merytoryczna i nieunikająca trudnych wątków z życia powieściopisarki.

Jurgała-Jureczka z właściwą sobie swadą opowiedziała nie tylko o głównej bohaterce promowanej publikacji, ale również wprowadziła zebranych w kulisy powstawania książki. Interesującą przedstawiła dzieje swej naukowej miłości do twórczości Zofii z Kossaków, opisała lata zbierania dokumentów, pamiętek, bibelotów po niedgdyjszej mieszkance Górek Wielkich, a także odnajdywania śladów oraz łączenia faktów w jedną spójną i prawdziwą opowieść. Efektem wieloletniej i prowadzonej z niezwykłą pasją pracy badawczej jest wydana przez PWN kolejna w dorobku Jurgała-Jureczki pozycja poświęcona Kossak-Szczuckiej.

Należy podkreślić za prof. Heską-Kwaśniewicz, że Pani Doktor jest wybitną znawczynią życia i twórczości autorki *Nieznanego kraju*, czego dowodem są nie tylko liczne publikacje oraz starannie przygotowana na spotkanie prezentacja multimedialna z bogatą ikonografią, ale również udzielone w Benedyktynie odpowiedzi. A pytania gości – ks. abpa D. Zimonia, ks. prof. J. Szymika, prof. A. Węgrzyniak oraz innych przybyłych – nie omijały trudnych zagadnień, jak związki Kossak z Wydawnictwem PAX, pomówień o antysemityzm czy plotki rozpuszczonej w czasach PRL-u przez media, że pisarka miała być sekretarką Bieruta. Jurgała-Jureczka w pogłębiony sposób naświetliła wszystkie problematyczne kwestie, ukazując postać założycielki „Żegoty” jako osoby przede wszystkim ratującej człowieka – i dosłownie; podczas wojny, i w przenośni: swoimi utworami krzewiącymi wśród czytelników wartości ogólnoludzkie i chrześcijańskie.

Na zadane w Bibliotece pytanie: co pozostanie po Zofii Kossak?, sądzę, iż należy odpowiedzieć: jej człowieczeństwo, głęboki humanizm, nonkonformizm oraz wierność etycznym zasadom. Głód tego wszystkiego odczuwa współczesne młode pokolenie, dlatego warto podsuwać mu lektury z dorobku Kossak-Szczuckiej. (KB)

### Pamięci Norberta Krocza

Zbliża się 20. rocznica śmierci pedagoga i współzałożyciela chóru „Resonans con tutti” z Zabrze, Norberta Grzegorza Krocza. Znany z perfekcjonizmu i daru wychowawczego, dyrygent jednego z najbardziej utytułowanych chórow amatorskich w Polsce, zmarł 29 kwietnia 1994 roku w Cork (Irlandia).

### Jednym zdaniem

■ W Gliwickim Teatrze Muzycznym odbyła się premiera musicalu Richarda Rodgersa i Oscara Hammersteina II pt. „Dźwięki muzyki” w reżyserii Marii Sartovej, pod kierownictwem muzycznym Wojciecha Rodka i ze scenografią Yves Collet, kostiumami Tatiany Kwiatkowskiej i z choreografią Jacka Badurka.

■ W ramach Festiwalu Podróżników „Rozjady” w Rybniku-Chwałowicach odbyły się Warsztaty Fotografii Podróżniczej, które poprowadził Marek Waśkiel – znany fotografik i dziennikarz, podróżnik, redaktor naczelny e-magazynu o fotografowaniu i podróżach.

■ W gliwickim Zamku Piastowskim pokazana została wystawa „Rynek – centrum średniowiecznego i nowożytnego miasta” prezentująca wyniki prac archeologicznych realizowanych na gliwickiej starówce w 2010 roku – największe-

Norbert Kroczek był absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie. Po uzyskaniu tytułu magistra sztuki z powodzeniem szkolili młodzież i dorosłych m.in. w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia w Gliwicach. Tegoroczne obchody rocznicy jego śmierci przybrały charakter muzyczny. 16 kwietnia o godzinie 18.45 w zabrzańskim kościele pw. św. Anny zabrzmi „Ein Deutsches Requiem” autorstwa Johannesa Brahmsa. Wykona je chór „Resonans con tutti”, Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zabrzeńskiej pod dyrekcją Sławomira Chrzanowskiego oraz soliści. Msza w intencji śp. Norberta Krocza odbędzie się natomiast 26 kwietnia o godz. 18:00 w kościele pw. św. Teresy w Zabrze – Mikulczycach. (gw)



Fot. Arch. chóru Resonans con tutti

### Malarstwo J.-L. Cerisier'a w Muzeum Śląskim

Określana we Francji przymiotnikiem *singulier*, czyli pojedynczy, osobliwy, niespotykany i szczególnie, twórczość Jean-Louisa Cerisiera gości w Muzeum Śląskim. Ekspozycję prezentującą malarstwo francuskiego przedstawiciela sztuki intuicyjnej, którego twórczość znajduje się w zbiorach najważniejszych francuskich muzeów kolekcjonujących sztukę naiwną można oglądać do 4 maja w Galerii Sztuki Pogranicza.

Jean-Louis Cerisier urodził się w 1957 roku w Châteaubriant (Francja). Lata młodości spędził w Laval i jest to faktu o tyle istotny, że w tamtejszym muzeum znajduje się bardzo bogata kolekcja sztuki naiwnej i tak zwanej „osob-



nej”, czyli takiej, którą trudno zakwalifikować, której trudno nadać jakąkolwiek etykietę. Z kształcenia jest nauczycielem języka francuskiego dla cudzoziemców. W latach 1989-1992 pracował między innymi w Liceum Francuskim im. René Goscinny'ego w Warszawie. Mieszkając w Laval, często odwiedzał tamtejsze muzeum, zafascynowany sztuką pierwszych francuskich prymitywistów. Zrodziło to w nim chęć podjęcia własnych prób malarskich. W 1974 roku spotkał się z malarzem Jacques'em Reumeau, który wywarł ogromny wpływ na je-

go jak dotąd wykopaliska, które prowadzono w miastach Górnego Śląska.

■ Na Scenie w Malarni Teatru Śląskiego, pokazano spektakl „Synek” (na podstawie tekstów: Marcina Gawła, Zbigniewa Stryja i Zbigniewa Kadlubka) – monodram wyprodukowany przez Zabytkową Kopalnię Guido w Zabrze i tam też grany na poziomie 320m pod ziemią, w wykonaniu Marcina Gawła, w reżyserii Macieja Podstawnego, nagrodzony Grand Prix II Ogólnopolskiego Przeglądu Monodramu Współczesnego w Warszawie.

■ Galeria ArtNova2 ZPAP w Katowicach zaprasza na wernisż malarstwa Elżbiety Zrobek.

■ W gliwickiej Czytelni Sztuki otwarta została wystawa *Milenium Radka Słzgi* – absolwenta malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, współtwórcy grupy PENERSTWO,



go wyobraźnię i sposób postrzegania własnej twórczości.

### „Opowiem Wam o Śląsku...”



Antoni Kreis, „Śląskie maddonny”

Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski byli organizatorami wystawy fotografii: „Opowiem Wam o Śląsku...” autorstwa Antoniego Kreisa. Śląsk dla wielu to – zdaniem Kreisa – egzotyczna, złożona i skomplikowana krajina, gdzie przy-

szło nam żyć, choć niekoniecznie z naszego wyboru.

Antoni Kreis jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, autorem licznych wystaw indywidualnych w kraju i za granicą oraz uczestnikiem wielu wystaw zbiorowych.

### W setną rocznicę urodzin ks. Jana Machy

„Wiek XX – czas męczenników” – pod takim hasłem w auli Wydziału Teologicznego UŚ w Katowicach odbywała się sesja naukowa, przygotowana przez Zakład Teologii Patystycznej i Historii Kościoła. Słowo wstępne wygłosił abp Wiktor Skworc, natomiast prelegentami byli ks dr Adam Tondera (pojęcie męczeństwa w Kościele), ks. prof. dr hab. Henryk Misztal (proces kanonizacyjny męczennika oraz pojęcie „in odium fidei”), o. dr Szczepta T. Praśkiewicz OCD (podstawa przebaczenia prześladowcom). Moderatorami sesji byli ks dr Adam Pawlaszczyk i ks. prof. dr hab. Jerzy Myszor. Drugą część sesji poświęcono była takim zagadnieniom jak straty w szeregach duchowieństwa diecezji katowickiej w okresie drugiej wojny światowej (ks. dr Henryk Olzar), o ks. Janie Masze mówił ks dr Damian Bednarski, prokurator



Fot. ze zbiorów Muzeum w Chorzowie

Ewa Koj przedstawiła temat nazistowskiego aparatu represji na Górnym Śląsku podczas okupacji niemieckiej 1939-1945. Poświęcono także uwagę Henrykowi Sławikowi, którego heroiczne dokonania przedstawił Michał Luty ze Stowarzyszenia „Henryk Sławik. Pamięć i Dzieło”.

Wydarzeniem towarzyszącym sesji była wystawa przygotowana przez Muzeum w Chorzowie oraz Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego pt. „Życzeniem moim było pracować dla Niego...” z okazji setnej rocznicy urodzin ks. Jana Machy. Patronat honorowy nad wystawą objęli ks. abp Wiktor Skworc Metropolita Katowicki i Andrzej Kotala prezydent Miasta Chorzów.

### „Ludzie z metalu”

W MDK „Południe” w Katowicach-Piotrowicach gościła wystawa „Ludzie z metalu” prezentująca prace absolwentów i studentów Pracowni Włóksłodruku prof. Jan Szmatocha z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Swoją szczególnie wizerunek Pracownia zawiadzcza kilkudziesięcioletniej tradycji oraz wyjątkowemu gronu profesorów i wykładowców. Wielu studentów i absolwentów Pracowni osiągnęło sukcesy. Moc nagród i wyróżnień jest związana z udziałem studentów i absolwentów pracowni w krajowych i międzynarodowych przeglądach grafiki, dowodząc, że grafika śląska nie porzucając tradycji skutecznie podejmuje dialog z tym, co aktualne w grafice światowej.

### „Afrykańska przygoda” w Ateneum



Spektakl „Afrykańska przygoda” przygotowany przez Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”, której twórcami są Mariola Fajak-Słomińska i Janusz Słomiński (scenariusz i reżyseria), Jolanta Brejdak (scenografia) oraz Paweł Dudzik (muzyka) przeznaczony jest dla najmłodszych widzów. Przedstawienie dla dzieci od 1 do 4 lat (mogą w nim jednak uczestniczyć nawet 6-miesięczne ma-luszki), to prosta historia o małym chłopcu, który we śnie przenosi się ze swojego pokoju do baśniowej Afryki i przeżywa tam zabawne przygody w towarzystwie egzotycznych zwierząt – słonia, żyrafy, zebry czy hipopotama.

W „Afrykańskiej przygodzie” występują: Katarzyna Kuderewska, Krystyna Nowińska i Beata Zawisłak.

### „Homo gemini” Marii Śliwy w Galerii „Katowice”

W Galerii „Katowice” Związku Polskich Artystów Fotografików można było zobaczyć wysta-



wę fotografii Marii Śliwy pt. „Homo gemini”. Wystawa jest otwartym projektem socjologicznym.

Autorka fotografuje bliźnięta w ich pokojach, by cyklicznie, co kilka lat wracać do nich z aparatem i rejestrować zmiany w ich fizyczności i otoczeniu. Projekt rozpoczęto w 2011 roku.

Maria Śliwa jest artystką fotografiką (członkinią Związku Polskich Artystów Fotografików), absolwentką Instytutu Twórczej Fotografii (UŚI w Opawie) i łódzkiej „Filmówki”. Jest też wykładowcą w średnich szkołach fotograficznych. Zajmuje się wieloma dziedzinami fotografii ale najchętniej portretem, aktem, martwą naturą. Ważniejsze wystawy indywidualne to: „Dziecko”, „Wizje” (martwa natura w ujęciu kreacyjnym), „Panopticum” (zderzenie świata kobiet i mężczyzn, pokolenia ludzi młodych i starszych), „One, oni”, „Relacje” (miedzyludzkie związki uczuciowe), „Jestem!” (projekt socjologiczny dotyczący mieszkańców Domu Pomocy Społecznej), „Mapa ciała” (akt).

### 90. urodziny Jerzego Lewczyńskiego

Autor bodaj najsłynniejszego zdjęcia współczesnej fotografii na Śląsku – wybitny artysta fotografik obchodził 90. urodziny!

Fotografowanie wiele znaczyło dla Lewczyńskiego od wczesnej młodości, kiedy to na rodzinnej Lubelszczyźnie, dokumentował to, co działo się w miejscowych społecznościach, historię i obyczajowość. Z czasem zainteresowania fotografią przerodziły się w tworzenie koncepcji artystycznych związanych z nowoczesnymi nurtami w sztuce europejskiej. Czerpał z tego świata inspiracje artystyczne, reago-wał na ówczesne mody i zjawiska, eksperymentował z materią fotograficzną. Przełomowym wydarzeniem było spotkanie ze Zdzisławem Beksińskim i Bronisławem Schlabszem. To spotkanie określano mianem zjawiska w fotografii polskiej – w sztuce polskiej w ogóle.



Fot. Z. Sawicz



Lewczyński, „Nieznany”, 1959

Był czołowym przedstawicielem Katowickiego Undergroundu, a fotografia pt. „Nieznany” z 1959 stała się jednym z symboli tego czasu.

Do najsłynniejszych cykli fotograficznych należy m.in. „Archeologia fotografii”, któremu poświęcił wiele lat twórczego życia.

Jest także teoretykiem fotografii, wiele publikuje. Jest autorem „Antologii polskiej fotografii”.

w 2012 nominowanego do Paszportów Polityki w kategorii sztuki wizualne.

■ Na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Puder i pył” – „Białas kontra Design” – tym razem gościem Zbigniewa Białasa była Irma Kozina specjalizująca się w badaniach nad sztuką nowoczesną i współczesną, historią urbanistyki i designem z Górnego Śląska.

■ Dom Kultury w Rybniku-Chwałowicach zaprasza na dwie wystawy fotografii zrealizowanych na Ukrainie: Anna Nieto Stanik pt. „Pozahoryzontalne” i Uli Strąk cykl zatytułowany „Ukraina (mój) portret”.

■ Muzeum Górnośląskie w Bytomiu przygotowało spotkanie, którego tematem była twórczość malar-ki Anny Bilińskiej-Bohanowiczowej.

■ Gliwicy melomani mogli w Palmiarni Miejskiej wysłuchać recitali fortepianowych wybitnych piani-

stów z Polski, Ukrainy i Japonii – Denis Zhdanov, Grzegorz Niemczuk i Ewa Poblacka i Rinko Kobayashi, którzy zaprezentowali utwory Fryderyka Chopina oraz powiązane z nimi tematycznie dzieła innych znakomych kompozytorów.

■ W dniach 27-28 marca w Katowicach miało miejsce wydarzenie pod nazwą „Barwy ziemi – Serbia” zorganizowane przez MDK „Bogucice – Zawodzie” w Katowicach, pod patronatem prezydenta Katowic Piotra Uusza, rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Wiesława Banysia i Konsula Honorowego Serbii Ranko Tomovicia, a w programie znalazła się projekcja filmów E. Kusturicy i S. Golubowicia, warsztaty tańca serbskiego, pokaz filmu Turystycznej Organizacji Serbii, wystawa fotografii „Nieznanne oblicza Serbii” oraz prelekcja i pokaz multimedialny „Święta i obyczaje Serbii”, inscenizacja teatralna, koncert i degustacja potraw serbskich.

■ W cyklu „Mistrzowie opery” Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” przygotowała koncert słynnych arii i duetów z oper Giacomo Pucciniego w wykonaniu Iwony Sochy (sopran), Anny Wiśniewskiej-Schoppa (sopran), Tomasza Kuka (tenor) i z akompaniamentem Larysa Zaban (fortepian).

■ W galerii „Ateneum” w Katowicach odbył się koncert z udziałem Adama Krzeszowa (wiolonczela) przygotowany przez Opium „Silesia”.

■ W cyklu „Mistrzowskie interpretacje” w Akademii Muzycznej w Katowicach z recitalem wystąpiła pianistka Sofya Gulyak (Rosja), która wykonała utwory J.S. Bacha, C. Francka, R. Wagnera, F. Liszta, N. Medtnera i S. Rachmaninowa.

■ Pieśni m.in. I.J. Paderewskiego, F. Chopina, W. Lutosławskiego oraz hymny K. Szymanowskiego wykonała podczas recitalu w Studio Koncertowym Polskiego Radia Katowice Ewa Biegas.

## Laureaci Złotych Masek w Sosnowcu

24 marca Teatr Zagłębia „pękał w szwach” (co ostatnio Teatrowi weszło już w nawyk). Tym razem tłumy ściągnęła 46. edycja Nagród Artystycznych „Złote Maski”. Zgodnie bowiem z tradycją, gospodarzem uroczystości jest teatr, w którym zrealizowano najlepszy spektakl a w 2012 niepodzielnie triumfował „Korzeniec”. Szczęśliwie twórcy gali zrezygnowali ze szczegółowych prezentacji wszystkich nominowanych. Uchroniło to od zbędnych dłużyżn, co niestety wielokrotnie na „Maskach” się zdarzało. Najlepsi (a przecież tylko tacy są nominowani) doskonale są wszystkim znani. Nie było więc ziewania, nie było pomruków na widowni. W nastrój doniosłego święta wprowił publiczność koncert ukraińskiej Formacji Wokalnej Tercja Pikardyjska. Śpiewacy-dyrygenci (zespół tworzy sześciu absolwentów Wydziału Dyrygentury Konserwatorium we Lwowie) z łatwością wciągnęli publiczność do wspólnego muzykowania. Było radośnie, nastrojowo, było też i wrzuszająco, kiedy ze sceny popłynęły echa niedawnych wydarzeń na Majdanie. Przy pożegnaniu nie mogło się więc obyć bez standing ovation. Nic więc dziwnego, że wręczenie nagród musiało poczekać, kilkanaście minut na „złapanie oddechu” było niezbędne. Po przerwie emocji nie zabrakło, można wprawdzie domniemywać, że nikt nie znał laureatów, ale pewności nie mam, wszak znamienitą większość publiczności stanowili najlepsi aktorzy, a ci wiadomo wszystko zagrają, cóż to dla nich zdziwienie... „Piąta strona świata” Kazimierza Kutza w reżyserii Roberta Talarczyka została uznana za najlepszy spektakl 2013 roku. Decyzja ta nie zdziwiła nikogo, już po premierze wiadomo było, że to hit! Nie zaskoczyło więc „złoto” dla Roberta Talarczyka (za reżyserię) ani dla Dariusza Chojnackiego (za najlepszą rolę męską, także za rolę Randle McMurphy’ego w spektaklu „Lot nad kukułczym gniazdem”). W województwie opolskim triumfował spektakl pt. „Morrison/Śmiercisyń”, wyreżyserowany przez Pawła Passyniego w Teatrze Lalki i Aktora imienia Alojzego Smolki. Przedstawienie zostało uhonorowane w 4 z 5 kategorii. Szkoda, że tak nielicznie zjawiała się ekipa z Opolszczyzny. Może w przyszłości dla połączonych gali należałoby poszukać większych obiektów? Na duże brawa zasłużyli prowadzący Małgorzata Sadowska i Grzegorz Kwasy – zrobili to sprawnie, dowcipnie, bez zbędnych dłużyżn. Najlepsza polska scenografka niezrównana Barbara Ptak (Złota Maską za kostiumy do spektaklu „Noc w Wenecji” w reżyserii M. Sławińskiego w Gliwickim Teatrze Muzycznym w Gliwicach) tak uległa emocjom, że zaprosiła na scenę dwóch dyrektorów Wincentego Grabarczyka (byłego dyrektora Teatru Nowego w Zabrze) i Pawła Gabarę (dyrektora Gliwickiego Teatru Muzycznego). Obaj panowie na „G” w towarzystwie wytwornej damy czuli się znakomicie a publiczność towarzyszą „perłkę” nagrodziła sowitymi oklaskami. Gospodarze po ubiegłorocznym deszczu nagród musieli się zadowolić jednym „złotem” – dla Pawła Walickiego za scenografię do „Bobiczka” H. Levina w reż. Ł. Kosa. W przyszłym roku czekamy oczywiście na więcej.

MARIA SZTUKA

## ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

### August Hlond w Czeladzi

24 marca w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” miał miejsce *Wieczór Augusta Hlonda*, podczas którego zaprezentowano wystawę poświęconą prymasowi ze Śląska. Życie i praca duszpasterska prymasa zostało pokazane na kilkunastu planszach zawierających interesujące materiały, liczne archiwalne fotografie i dokumenty. Wystawie towarzyszył katalog opracowany przez Andrzeja Drogonia i Łukasza Kobięłę z katowickiego IPN-u. Wystawa była znakomitym uzupełnieniem spotkania autorskiego, podczas którego Czesław Ryszka prezentował swoją najnowszą książkę poświęconą postaci prymasa ze Śląska. Znany publicysta i autor ponad 60 książek, zainteresowany głównie historią Kościoła mówił o Augustcie Hlondzie przybliżając jego dom rodzinny, dokonania, także wyjątkową osobowość i znaczenie także dla współczesnego Polaka. Spotkanie prowadziła Ewa Ambroży, dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej i opiekun merytoryczny GSW „Elektrownia”.

### „Korzeniec” w TVP Kultura

1 kwietnia w ramach Teatru Telewizji na antenie TVP Kultura zagościł sosnowiecki „Korzeniec”. Spektakl, który powstał na podstawie książki Zbigniewa Białasa, w adaptacji Tomasza Śpiewaka, wyreżyserowany przez Remigiusza Brzyka od premiery w maju 2012 r. zdobył już wiele prestiżowych nagród. Przypomnijmy tylko niektóre: tytuł najlepszego spektaklu w 45. edycji „Złotych Masek” i Złota Maską za najlepszą rolę kobiecą dla Edyty Ostojak (*Ester Plawner*), nagrodę główną dla R. Brzyka za reżyserię na Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” Zabrze 2012 i nagrodą aktorską dla Agnieszki Bienkowskiej, nagrodę za muzykę oryginalną dla Jacka Grudnia na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym *Boska Komedia* w Krakowie, główną nagrodę – Fanaberia Publiczności na Wałbrzyskich Fanaberiach Teatralnych 2012. Spektakl w nowej odsłonie, wprawdzie znacznie skrócony do potrzeb telewizji obejrzeć więc mogli wszyscy teatromani. Było warto!

### Ratunek dla zabytkowego kościoła

Smutkiem napawał widok pięknego, ale opadającego w coraz większą ruinę zabytkowego kościoła pw. św. Trójcy w Będzinie. Sąsiedztwo odnowionego traktu zamkowego ujawniło

syjące się w świątyni kamienie, pęknięcia i szczeliny w ścianach, nieszczelny dach. Zabytkowy XIV-wieczny kościół doczekał się prac remontowych. Parafii udało się wywalczyć odszkodowanie z tytułu szkód górniczych. Pierwszy etap prac zostanie zakończony pod koniec maja. Jak przystało na porządną robotę w pierwszej kolejności zostały zabezpieczone fundamenty dzięki stabilizacji podłoża, która polegała na wykonaniu specjalnych odwiertów iniekcyjnych w obrębie ścian fundamentowych były kościoła. W następnej kolejności zostaną zabezpieczone ściany świątyni i odnowione wnętrza.

### „Multikulti” Ireneusza Walczaka

28 marca w Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki odbył się wernisaż malarstwa Ireneusza Walczaka, zatytułowanej „Multikulti”. Artysta urodził się w 1961 roku w Świdnicy, jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydziału Grafiki w Katowicach. Dyplom z wyróżnieniem uzyskał w 1988 roku w Pracowni Grafiki Warsztatowej prof. Stanisława Kluski, Pracowni Malarstwa i Rysunku prof. Jacka Rykały oraz z projektowania u prof. Tomasza Jury. Dwukrotnie otrzymał stypendium: Ministerstwa Kultury i Sztuki (1988) oraz *The Pollock-Krasner Foundation* Nowy Jork, USA (1993). W 1988 roku rozpoczęła pracę jako pedagog w macierzystej uczelni w Pracowni Malarstwa i Rysunku prof. A.S. Kowalskiego. W swojej twórczości Ireneusz Walczak z właściwą sobie przenikliwością przywołuje elementy naszej tożsamości kulturowej: historie dobrze znane oraz zjawiska perypetyjne, funkcjonujące w świadomości jako tło donioślejszych zdarzeń.

### Dzień pamięci biskupa Adama Śmigielskiego

25 marca, w 22 rocznicę mianowania przez papieża Jana Pawła II biskupa Adama Śmigielskiego biskupem diecezjalnym nowo utworzonej diecezji sosnowieckiej w Muzeum Zagłębia w Będzinie odbył się „Dzień pamięci biskupa Adama Śmigielskiego”. Będzin bliski był sercu biskupa. Jego decyzją w 1997 r. zostało erygowane sanktuarium Polskiej Golgoty Wschodu przy kościele parafialnym NMP w Będzinie, pierwszej w Polsce świątyni – pomnika martyrologii Polaków na Wschodzie. Również z inicjatywy biskupa, po blisko 19 latach od powstania diecezji sosnowieckiej, w 2011 roku w Będzinie, został otwarty Dom św. Józefa, który zapewni mieszkanie i opiekę księżom emerytom i rencistom sosnowieckiej diecezji. Uroczystościom towarzyszyła wystawa. W Pałacu Mieroszewskich zaprezentowano pamiątki związane z księdzem biskupem, przechowywane w Domu św. Józefa, m.in. zdjęcia z czasów młodości, nakrycia głowy – piuskę i biret, futerał na mitrę, mucet, sutannę a także szelę, którą biskup miał na sobie podczas wizyty Jana Pawła II w Sosnowcu w 1999 roku. Z koncertem muzyki poważnej wystąpił Kwartet Dell'arte i chór Sarmatia Ars Bendzinensis.

Jednym zdaniem

■ Podczas VII Ogólnopolskiego Festiwalu Tancerstwa „Róża 2014” w Miejskim Domu Kultury wystąpiło w sosnowieckim Kazimierzu 83 zespoły (1162 tancerzy i tancerek), 55 trenerów, w różnych kategoriach wiekowych, uczestnicy reprezentowali 33 miasta z kilku województw.  
■ 8 marca w Klubie im. J. Kiepury w Sosnowcu (w Energetycznym Centrum Kultury) z okazji Dnia Kobiet odbył się koncert w wykonaniu Grzegorza Majzla z udziałem Ireneusza Krosnego.  
■ 13 marca w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu podczas Weekendu Kultury Irlandzkiej odbył się koncert zespołu Danar, jed-

nej najciekawszych polskich grup wykonujących muzykę celtycką, 15 marca wystąpiła legendarna Grupa Carrantuohill.  
■ Zespół „Rezerwat” wystąpił 15 marca w klubie 2Doors w Sosnowcu.  
■ 31 marca w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu koncertowała Śląska Orkiestra Kameralna, w programie znalazło się „Siedem Ostatnich Słów Chrystusa” Josefa Haydna.  
■ 29 marca w Zamku Sieleckim w Sosnowcu otwarta została wystawa zatytułowana „Tradycje Zmartwychwstania”, towarzyszącej warsztaty dla dzieci pt. „Wielkanocny koszyczek”.

## Dzieci z balkonu

Emerytowana nauczycielka z Bochni Eleonora Chmielarska, przechodząc ulicą, usłyszała krzyk dziecka stojącego na balkonie: – Ratujcie. Zaraz zjedzą mnie potwory z telewizji. Mama poszła do apteki, a ja się boję! Ratujcie mnie! – Jakie potwory? – zapytała nauczycielka. – No, te potwory z bajek! – To otwórz drzwi. – Nie mogę, bo zjedzą mnie potwory. W końcu nauczycielka pobiegła po mamę i potwory chłopca nie zjadły. Poirytowana Eleonora Chmielarska postanowiła jednak coś zrobić, żeby dzieci nie bały się potworów z telewizyjnych bajek. Jej dzieci i wnuki wychowywały się na pozbawionych agresji i innych potworności bajkach z bielskiego Studia Filmów Rysunkowych. Zapragnęła więc założyć w polskich szkołach Kluby Miłośników Bolka i Lolka.

Z tym pomysłem poszła do Zespołu Szkół nr 5 w Bochni. Zarówno dyr. Ewa Gardziel, nauczyciele, jak i rodzice odnieśli się do pomysłu z entuzjazmem. W ciągu paru tygodni powołano pierwszy klub. Sprawą zainteresowano filmowców Lolka – Romana Nehrebeckiego, syna Władysława Nehrebeckiego, pomysłodawcy serialu o sympatycznych urwisach, oraz Izabelę Thiel, córkę zmarłego ostatnio rysownika SFR Mariana Wantoly. Izabela Thiel dostarczyła bocheńskim dzieciom wiele prac ojca, a Roman Nehrebecki mnóstwo materiałów i dzieł plastycznych, które – w liczbie ok. 3500 – spłynęły do Bielska-Białej od dzieci z całego świata w czasie ubiegłorocznych konkursów z okazji 50. rocznicy pierwszej projekcji filmów z Bolkiem i Lolkim. Są nawet prace z Kataru, Nepalu, Japonii, Hong-Kongu, Indii, USA, Australii. Tomasz Gawor i Lech Kotwicz, którzy organizowali wystawę w bielskim MDK, chętnie podzielili się z dziećmi konkursowym dorobkiem. Nb. 1 kwietnia w bielskim Salonie Sztuk Rozmaitych „Bazyliśzek” odbył się wernisaż prac nagrodzonych podczas jubileuszowego konkursu Bolka i Lolka. W miarę rozwoju Klubów Miłośników Bolka i Lolka Roman Nehrebecki będzie przekazywał prace kolejnym klubom.

– Marian Wantola współpracował z wieloma grupami dzieci, gdyż kochał Bolka, Lolka, Rekisia i innych bohaterów kreskówek SFR. Dzieci z Bochni odwiedzają mu się, niestety już pośmiertnie Orderem Błękitnej Niezapominajki, której odebrała córka. Na terenie Bochni uczestniczyliśmy ostatnio wraz z Izabelą Thiel we wspólnych uroczystościach otwarcia Klubów Miłośników Bolka i Lolka z udziałem władz miasta i gminy oraz władz oświatowych. Kluby powstały nie tylko w Bochni, ale i w takich miejscowościach jak Pogwizdów, Dąbrowica, Nieszkowice. Dzieci zaśpiewały specjalnie ułożony hymn Bolka i Lolka. Odegrały scenki z Bolkiem, Lolkim i Tolą. W ZSG w Pogwizdowie świetnie zinscenizowały w sposób pantomimiczny jeden z odcinzków serialu. Obdarowały nas wielkim tortem z bohaterami kreskówek. Pani Chmielarska, pani Thiel i ja otrzymaliśmy honorowe członkostwo Klubów Miłośników Bolka i Lolka. Po tym, co zobaczyliśmy w Bochni i jej okolicach, to dla nas naprawdę wielki zaszczyt – opowiada Roman Nehrebecki.

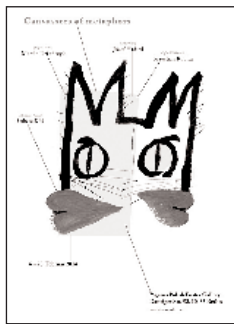
Syn Władysława Nehrebeckiego otrzymał od dzieci z Dąbrowicy chleb z napisem: „Na dalszą drogę Bolka i Lolka w ich przygodach po świecie!” Celem klubów jest bowiem wsparcie animacji polskiej, aby przywrócić produkcję świętych filmów, nie tylko z Bolkiem i Lolkim, ale i innymi bohaterami, którzy będą znów dostarczać polskim dzieciom radości, a nie przerażać je, jak to się w wielu przypadkach dzieje w naszych przesiąkniętych przemocą czasach. Dzieci z Bochni i okolicy marzą, aby kluby powstały w każdej polskiej szkole, a przede wszystkim, aby znów dzielni, pozytywni bohaterowie załadniali ścieżki świata w filmach animowanych, albowiem Koziołek Matołek, Rekisio, Miś Uszatek, a nawet Smok Wawelski nie wyganiają dzieci na balkon.

JAN PICHETA

# BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

## Wizyta akwizytorów

W lutym czwórka pracowników Zakładu Projektowania Graficznego Instytutu Sztuki Wydziału Artystycznego UŚ w Cieszynie – prof. Józef Hołard, dr hab. Łukasz Kliś, dr hab. Sebastian Kubica i dr Marcin Urbańczyk – prezentowała swe plakaty na wystawie „Canvassers of metaphors” w berlińskiej Pięgasus Polish Poster Gallery, której właścicielką jest Joanna Bednarska. – To są młodzi, bardzo zdolni ludzie. Wystawiają na całym świecie, mają wykłady od Chile aż po Ostrawę – twierdzi o swych współpracownikach prof. Józef Hołard. – Ja natomiast robię takie plakaty, że do końca nie wiem, co na nich jest – wyznaje tajemniczo profesor, który posługuje się skrótami poetyckimi, zresztą nie tylko w plakacie, lecz również malarstwie. – Łączy nas kilka istotnych spraw – powiada Łukasz Kliś. Razem pracujemy, razem dyskutujemy o projektowaniu graficznym, a specjalnie – o plakacie. Wszyscy czterej projektujemy plakaty. Każdy z nas robi to inaczej, ale wszyscy używamy metafory jako środka komunikacji wizualnej, nienachalnej. Nie używamy tych samych metafor, czasem używamy podobnych. Z metaforami jest jak z przerwykami: we czterech nie da się ująć jednej... To znaczy – da się, ale nieskutecznie. I jeszcze jedno – jesteśmy nieustannie w drodze. My, akwizytorzy metafor – wyznaje Łukasz Kliś. W lutym i marcu plakaty Józefa Hołarda można było również zobaczyć na wystawie w Galerii Akademickiej ATH w Bielsku-Białej, której kuratorem jest prof. Ernest Zawada.



Akwizytorzy metafor – plakat berlińskiej wystawy autorstwa Józefa Hołarda

## Jednym zdaniem

- 6 marca w Książnicy Beskidzkiej Juliusz Wątroba z Rudzicy promował kolejną swą książkę „Po skarb z busołą słońca”.
- Od 7 marca do 30 kwietnia w Galerii „Strzelnica” na Zamku Sulkowskich potrwa wystawa pn. „Kobieta zmieniająca jest...” malarstwa Poli Minster (Marzeny Naliwajko).
- W marcu ukazała się książka Magdaleny Legendź „Z notatek po ciemku” o teatracie i życiu teatralnym Bielska-Białej po 1989 r.
- 14 marca na deskach Teatru Polskiego premierowy spektakl musicalu „Zorba” z librettem Josepha Steina i tekstami piosenek Freda Ebba do muzyki Johna Kandra wystawił reż. Witold Mazurkiewicz.
- Od 18 do 20 marca w Galerii Bielskiej BWA odbywały się projekcje XXII Europejskiego Festiwalu Filmowego Euroshorts 2013.
- W marcu wychowankowie artystki i pedagoga Katarzyny Zaczek z grupy Walor ekspono-

## Wracamy po swoich...

„Powinniśmy wracać po swoich” – zgrupowanie partyzanckie NSZ „Bartka” 1945–1947” to tytuł wystawy, którą 25 marca otwarto w Muzeum Regionalnym im. ks. Zygmunta Bubaka w Bestwinie. Jej autorem jest Bogdan Ścibut, a konsultantem dr Dariusz Węgrzyn z katowickiego IPN. Ekspozycję zaprojektowały graficznie Małgorzata Baca-Ścibut i Anna Wajda. Wystawa to część projektu badawczego „Powinniśmy wracać po swoich”. Zamiarem jej organizatorów ze Stowarzyszenia Pokolenie jest zachęta mieszkańców Beskidów do rodzinnych wspomnień i wspólnego dokumentowania losów żołnierzy ze zgrupowania „Bartka”. Organizatorzy pragną, aby potomkowie „żołnierzy wykleptych” zgłaszali się do IPN z nowymi wiadomościami i wspomnieniami o partyzantach. Lista członków tej organizacji wolnościowej i pomordowanych przez siły komunistyczne jest ciągle otwarta. Jak stwierdził podczas wernisazu autor wystawy Bogdan Ścibut, w Bestwinie los oddziałów partyzanckich ogniskuje się jak w soczewce. Tu bowiem m.in. powstały i tu zostały zdradzone!

## Komentarz PRL-u



Dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz i Andrzej Baturu podczas wernisazu.

Do 6 kwietnia potrwa retrospektywna wystawa twórczości fotograficznej Andrzeja Batury w Galerii Bielskiej BWA. Ekspozycja przedstawia zarówno znane z różnych czasopism prace autora, jak i fotografie dotąd niepublikowane – w sumie ok. 200 zdjęć socjologicznych i reporterskich. – Wystawa jest komentarzem tych 50 lat, które przeżyłem jako dorosły człowiek w Polsce. To nie jest komentarz obiektywny, gdyż nie tylko tak wyglądała Polska. Uświadomiłem sobie, że to, co robiłem, to mój rewanż za lukrowany, wygładzony obraz rzeczywistości z oficjalnych mediów. Nawet mi do głowy nie przychodziło, że wiele z tych zdjęć ukaże się w prasie. Większość zdjęć robiłem do szuflady. Fotografowałem to, przeciwko czemu protestowałem. Dlatego ta wystawa jest dla mnie tak ważna – powiedział 7 marca podczas wernisazu Andrzej Baturu.

- wali swoje prace w Domu Kultury im. Wiktorii Kubisz w Bielsku-Białej.
- Od 15 do 30 marca w Mayak Art House w Bielsku-Białej ceramika i biżuterię artystyczną z mas polimerowych wystawiła Jagna Birecka.
- Premierowy spektakl widowiska muzycznego wg Williama Thackeraya „Pierścień i róża” w reż. Pawła Aignera wystawili 21 marca artyści TL Banialuka.
- Plakaty pt. „Wystawa WST – Struktury wizualne” Tomasa Jędrzejki i „Jazz is Paris” Iwo Cichy z Instytutu Sztuki cieszyńskiego Wydziału Artystycznego UŚ zakwalifikowano do udziału w Hong-Kong International Poster Triennial 2014.
- Bielski artysta Artur Pierściński dwukrotnie w marcu prezentował w bielskich placówkach kultury monodram wedle tekstu Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa Pietuszki”.

Fot. Krzysztof Morcinek





Lubię porozmawiać sobie z obrazami – nie jest bowiem prawdziwe powiedzenie: „Gadał dziad do obrazu a obraz do niego ani razu”. Opowiada ją niezwykle, często fascynujące historie. Zadają im pytania, bywa że nie od razu odpowiadają, trzeba do nich wracać by usłyszeć odpowiedź. Czasami się pokłóce, częściej pochwałą. Są i takie obrazy, które zachwyca formą niczym jubilerskie cacko, ale treści nie warto szukać, bo jej tam po prostu nie ma. Dlatego wolę te gadatliwe, nawet jeśli są przegadane...

Na ostatniej wystawie w katowickim Muzeum Archidiecezjalnym była nadzwyczajna okazja do takiej rozmowy: najszczerzej, bolesnej ale i pełnej nadziei. Swoje „malarstwo na szkle z Zakopanego” zaprezentowała Janina Walczak-Budzicz. Mogliśmy podziwiać jej cykl „Moja Pasja”, który gościł już na czterech wystawach krajowych. Ascetyczne wnętrza sali wystawowej rozświetliły niezwykle kolory obrazów



Ascetyczne wnętrza sali wystawowej rozświetliły niezwykle kolory obrazów Janiny Walczak-Budzicz.

## Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach

# Bolesna rozmowa

Jak powstał ten przejmujący cykl obrazów na szkle? W 2012 roku minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski przyznał Janinie Walczak-Budzicz stypendium twórcze. Projekt obejmował cykl pt. „Moja Pasja”, złożony z piętnastu obrazów malowanych na szkle, o formacie 1,0 x 0,7 m (wymiary szkła) – czternaście stacji Drogi Krzyżowej i piętnasty obraz ukazujący Zmartwychwstanie. Jak uważa sama artystka: temat Drogi Krzyżowej zawiera w sobie mistyczne przesłanie, skłaniające do refleksji i skupienia nad tajemnicą sensu cierpienia w życiu człowieka. Jednocześnie temat obrazu wieńczącego Pasję – „Zmartwychwstanie”, jest przesłaniem, wyznacznikiem tego sensu, który daje nadzieję na pokonanie bariery śmierci już poza Golgotą. Zmartwychwstanie Chrystusa otwiera dopiero właściwą perspektywę nowego życia bez cierpienia, choć droga do tego życia paradoksalnie prowadzi właśnie przez cierpienie. (...) Niech wszyscy, patrząc na te obrazy poczują w sercach tę nadzieję i przekazują tym, którzy ją stracili.

„Moja Pasja” Janiny Walczak-Budzicz to rozpaczliwy krzyk: nie bądźcie faryzeuszami, nie bądźcie hipokrytami, nie niszczyć Kościoła chowając się pod jego szatami. Na obrazach malarka przypomina siedem

grzechów głównych, jako przyczynie Męki Pańskiej, o których większość rozmyślających nad ofiarą Chrystusa woli nie pamiętać. Nawiązuje do historii Polski, Europy i chrześcijaństwa od czasów Chrystusa, aż po dzień dzisiejszy. To nie jest kolejne banalne przedstawienie jednego z najbardziej znanych tematów w dziejach sztuki sakralnej. To własne, mądre przemyślenia oparte na patriotyzmie (tym prawdziwym, nie politykierskim bajdurzeniu), podyktowane miłością do bliźniego (każdego!) i miłosierdziem. Obrazy pani Janiny nie oszczędzają nikogo, kto miał kroczyć drogą Chrystusa zbacza na manowce łajdactwa, pazerności, obłudy. Piętnują tych, którzy z racji swoich zawodów i podejmowanych misji powinni kochać i łączyć ludzi w imię wspólnego dobra, tymczasem dzielą i szerzą nienawiść dla własnych, materialnych bądź politycznych korzyści. Obrażają, wyzywają i niszczą. Obrywa się księżom a nawet dostojnikom kościelnym – tym oczywiście, którzy się o to proszą. Dzięki Bogu nie ma ich zbyt wielu... Oj, było o czym rozmawiać z tymi pięknymi obrazami. Nie chcę wierzyć w to, że „Moja Pasja” jest ostatnim projektem malarskim Janiny Walczak-Budzicz. Tesknienie już do kolejnych rozmów z jej dziełami. Podziwiam wyobraźnię, wyczucie koloru i śmiałość kontury. Zachwyt budzi umiejętność ukazania jednym ruchem pędzelka każdego ludzkiego uczucia: radości, smutku, rozpacz.

Wszystkie obrazy podzielone zostały na pola. W części środkowej umieszczony został główny temat a w tle artystka ukazała tych, którzy na przestrzeni wieków cierpieli z Chrystusem. Pola boczne zakwitły kwiatami, tak charakterystycznymi dla podhalańskiego malarstwa na szkle. Anioły w narożnikach trzymają narzędzia męki i przedmioty nawiązujące do konkretnej sceny Drogi Krzyżowej. Natomiast dół obrazów podzielony na trzy części zawiera sceny ilustrujące siedem grzechów głównych. Są one współczesne i historyczne, co

świadczy o niezmienności ludzkich postaw, tych samych błędach popełnianych zarówno współcześnie jak i dawno temu... Zawsze jednak jest nadzieja, że kiedyś będziemy lepsi, że się zmienimy... Nie ma przecież innej drogi do lepszego świata niż ta z Chrystusem... Wieńczący cykl obraz „Zmartwychwstanie” jest optymistyczną puentą dramatu pasyjnego. Zmartwychwstały Chrystus wpisany został w owal niczym w wielkonożną pisanek – symbol nowego życia.

Nie będę przywoływał opisów stacji Drogi Krzyżowej, choć są one ważną częścią ekspozycji. Trzeba je w samotności przeżyć i przemyśleć. Na dłuższą chwilę zatrzymam się jedynie przy Stacji II – „Chrystus bierze krzyż na ramiona”: *Na ramiona Chrystusa Krzyż wkładają z ironicznym uśmiechem... hitlerowiec i stalinowiec, przedstawiciele totalitaryzmu, który niejedną krzyż włożył na „ramiona” narodów. U ich stóp szakale czają się do skoku, po drugiej stronie hieny szarpiać za suknie Zbawiciela. W tle nad sceną wkładania Krzyża zaczyna się historia... (...) Na dole obrazu Pycha, ta która pchnęła i pcha dalej do walki mieniących się katolikami – tych, którzy krzyżem podpierają swoją nienawiść i chęć do eliminowania wszystkich „niewiernych”, zapominając o ewangelicznych przesłaniach... (...) I dzisiejsi „krzyżowcy” wygrażający krzyżem i wyklinający wrogów Kościoła i Chrystusa (albo tylko inaczej myślących...), a wybitnie przyczyniających się do pomnażania liczby owych wrogów... Pycha nie zna granic i jak mówiono jest matką wszystkich dalszych grzechów głównych. Dotyka każdego środowiska i każdego stanu...*

Dorobek artystyczny Janiny Walczak-Budzicz był prezentowany na wielu wystawach, zarówno indywidualnych jak i zbiorowych, m.in. w Zakopanem, Warszawie, Krakowie, Kazimierzu nad Wisłą, Częstochowie, Białymstoku, Radomiu, Kaliszu, Lublinie, Zielonej Górze, Toruniu, Katowicach, Rabce, Wrocławiu oraz zagranicą: w Norwegii, Rosji, Niemczech, Francji, Kanadzie, Chinach, Peru i na Słowacji. Artystka była wielokrotnie nagradzana na konkursach krajowych i zagranicznych. W 2004 roku przyznano jej prestiżową nagrodę im. Oskara Kolberga za zasługi dla kultury ludowej i całokształt pracy artystycznej. Pani Janina jest również uznaną poetką, publicystką i działaczką społeczną. Pisze gwarą i językiem literackim. Często podkreśla fakt, że kilkanaście lat współpracowała z ośrodkami kultury na Słowacji, organizując wystawy podhalańskiej twórczości ludowej, swoje własne oraz wystawy twórców słowackich w Polsce. Uczyła również malarstwa na szkle dzieci i młodzież słowacką, organizowała pokazy, prowadziła także kursy dla dorosłych m.in. w Muzeum Etnograficznym w Warszawie.

WITOLD KOCIŃSKI



II stacja – „Jezus przyjmuje krzyż”, 100x70 cm



„Pieta”, 37x50 cm

Zdjęcia z katalogu „Moja Pasja”, za zgodą Autorki

# MOJA PASJA

JANINA WALCZAK-BUDZICZ



„Zmartwychwstanie”, 100x70 cm



„Oblicze Chrystusa”, 100x70 cm



nauka | sztuka | kultura

# Słowem, najlepsze!

„Słask” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe

ul. J. Ligonia 7, 40-036 Katowice, tel. 32 258 07 56, faks: 32 258 32 29

e-mail: redakcja@slaskwn.com.pl, handel@slaskwn.com.pl

[www.slaskwn.com.pl](http://www.slaskwn.com.pl)